SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO
ISSN 2719-9096 NR 1-2 (21-22) / 2026

OSTOJA

BERLIN – WARSZAWA – WILNO

CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE





Detal nastawy ołtarzowej św. Mikołaja z Bazyliki Mariackiej

NASZE DZIEDZICTWO – TAK!

12 i 13 listopada 2026 r.

↕

UNSER ERBE – JA!

12.–13. November 2026

Część druga Polsko-Niemieckiego Sympozjum *Doświadczenia i Perspektywy Powrotów Dóbr Kultury*

Zweiter Teil des deutsch-polnischen Symposiums *Erfahrungen und Perspektiven der Rückgabe von Kulturgütern*

ORGANIZATORZY / ORGANISATOREN

- Pomorski Wojewódzki Konserwator Zabytków – **Dariusz Chmielewski**
- Proboszcz Bazyliki Mariackiej w Gdańsku – **ks. prałat Ireneusz Bradtke,**
- Stowarzyszenie Pielęgnowania Tradycji Bractw Dworu Artusa – prezes **Janusz Jaśkiewicz**
- Verein der Freunde der Stiftung „Kulturgut hansischer Städte" e.V. – Vorsitzender des Vorstands **André Esperling**
- Nestor gdańskich wojewódzkich konserwatorów zabytków – **Mirosław Zeidler**

PATRONAT HONOROWY / EHRENSCHIRMHERRSCHAFT

- Wojewoda Pomorski Beata Rutkiewicz
- Marszałek Województwa Pomorskiego Mieczysław Struk
- Prezydent Miasta Gdańska Aleksandra Dulkiewicz
- Arcybiskup Metropolita Gdański Tadeusz Wojda SAC
- Gdańskie Towarzystwo Naukowe
- Stowarzyszenie Konserwatorów Zabytków

PARTNERZY I SPONSORZY / PARTNER UND SPONSOREN

- Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej / Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit
- Fundacja Pro Basilica Gedanensis
- Kancelaria Głuchowski Siemiątkowski Zwara Adwokaci i Radcowie Prawni
- Kancelaria Adwokacka s.c. Kaczmarek & Kurowski

PATRONAT MEDIALNY / MEDIENPARTNERSCHAFT

- Czasopismo społeczno-kulturalne „Ostoja"
- Radio Gdańsk
- TVP Gdańsk
- Gość Niedzielny
- Gdańsk.pl

Podnieście oczy



IRENEUSZ ST. BRUSKI

Są dzieła, które przekraczają granice architektury. Nie tylko zachwycają formą, lecz także skłaniają do zatrzymania się i zadania pytań o to, co w życiu najważniejsze. Do takich dzieł należy Sagrada Família – niezwykła bazylika w sercu Barcelony, w której Antoni Gaudí pozostawił świadectwo artystycznego geniuszu i głębokiej wiary.

W 2026 roku, w setną rocznicę śmierci Gaudíego, jego dzieło osiągnęło kolejny ważny etap. Zwieńczenie Wieży Jezusa Chrystusa monumentalnym krzyżem przybliżyło realizację zamysłu, który twórca pozostawił przyszłym pokoleniom. 10 czerwca papież Leon XIV przewodniczył Mszy św. i pobłogosławił wieżę. Hasło związane z jego wizytą – „Podnieście oczy" – zabrzmiało w tym miejscu jak wezwanie szczególnie potrzebne w czasach, gdy tak łatwo zatracić szerszą perspektywę i zagubić to, co naprawdę istotne.

Na okładce „Ostoi" widzimy fragment fasady bazyliki, z której Chrystus spogląda na Barcelonę. W dole rozciąga się miasto, pulsujące codziennym życiem, pełne ludzkich nadziei, trosk i niepokojów. W górze trwa znak przypominający, że istnieje perspektywa szersza niż doraźne sprawy. To obraz, który skłania do pytania, czy potrafimy spojrzeć dalej niż na własne interesy i dostrzec sens wykraczający poza codzienność.

Gaudí wierzył, że architektura może prowadzić ku Bogu. W naturze dostrzegał harmonię stworzenia, a w kamieniu – możliwość wyrażenia tego, co przekracza słowa. Sagrada Família stała się modlitwą zapisaną w materii – dziełem, w którym światło, przestrzeń i organiczne formy opowiadają o wierze. Jej budowa rozpoczęła się w XIX wieku i trwała dłużej niż życie twórcy, stając się zadaniem kolejnych pokoleń. To świadectwo, że wielkie dzieła wymagają cierpliwości, wytrwałości i zaufania, a ich sens wykracza poza granice jednego ludzkiego życia.

Dzieje Sagrady Famílii wiążą się również z wizytami trzech papieży. Jan Paweł II odwiedził plac budowy w 1982 roku, Benedykt XVI poświęcił świątynię w 2010 roku, a Leon XIV przewodniczył tegorocznym uroczystościom związanym z ukończeniem Wieży Jezusa Chrystusa. Dla nas, Polaków, szczególne znaczenie ma obecność papieża Polaka w tej historii. Jego nauczanie przypominało, że wolność nie jest jedynie prawem, lecz także zobowiązaniem, a życie wspólnoty wymaga trwałych wartości.



FOT. © ALEXANDER LACHERBAUER

Dziś wezwanie „Podnieście oczy" możemy odczytać również jako pytanie o kondycję naszej ojczyzny. Trudno patrzeć bez niepokoju na rzeczywistość, w której polityczne spory przesłaniają sprawy najważniejsze, a wzajemna niechęć wypiera troskę o kraj. Niepokój budzą także sytuacje, w których interesy zewnętrzne zdają się przeważać nad polską racją stanu. Współpraca międzynarodowa jest niezbędna, nie może jednak oznaczać rezygnacji z samodzielnego myślenia ani osłabienia podmiotowości państwa. Partnerstwo nie oznacza podległości, a sprawowanie władzy powinno być służbą narodowi, nie przywilejem rządzących.

Historia uczy, jak wysoką cenę wspólnota płaci za wewnętrzne skłócenie i krótkowzroczność tych, którzy nią kierują. Siła państwa nie rodzi się z podsycania konfliktów, lecz z odpowiedzialności, uczciwości i zdolności do porozumienia tam, gdzie ważą się losy kolejnych pokoleń. Różnice poglądów są naturalne, ale nie mogą przesłaniać tego, co powinno nas łączyć – troski o dobro naszej ojczyzny.

Może właśnie tego uczy nas Sagrada Família. Wielkiego dzieła nie wznosi się dla doraźnego poklasku ani korzyści jednego pokolenia. Potrzeba wizji, wytrwałości i wspólnego wysiłku. Także ojczyzna wymaga myślenia wykraczającego poza polityczne rachuby i interesy chwili.

W tym numerze „Ostoi" zapraszam Państwa do spotkania z Antonim Gaudím i jego dziełem – architekturą, która wyrasta z wiary, a zarazem przemawia językiem zrozumiałym niezależnie od miejsca i czasu. Choć od Barcelony dzielą nas niemal dwa tysiące kilometrów, przesłanie Sagrady Famílii pozostaje nam bliskie. Przypomina, że to, co najważniejsze, nie zna granic i może łączyć ludzi ponad podziałami.

Spojrzenie na tę niezwykłą bazylikę staje się więc także okazją do refleksji nad nami samymi – nad tym, co cenimy, co nas łączy i jaką przyszłość wspólnie tworzymy. Być może najważniejsze pytanie, jakie stawia przed nami dzieło Gaudíego, nie brzmi, jak wysoko potrafimy budować, lecz ku czemu kierujemy nasze wysiłki i co pozostawimy po sobie następnym pokoleniom. ■

> *Wszystko, co zostało stworzone przez człowieka, znajduje się już w wielkiej księdze natury. Artyści nie potrzebują pomników wznoszonych na ich cześć, ponieważ ich dzieła są ich pomnikami. Z tego powodu oryginalność polega na powrocie do źródeł. Ale człowiek nie tworzy... on jedynie odkrywa. Ci, którzy szukają praw natury jako wsparcia dla swoich nowych dzieł, współpracują ze Stwórcą. Naśladowcy i kopiujący nie współpracują. Dlatego oryginalność polega na powrocie do początku.*
>
> Antoni Gaudí

w numerze

3 Sutarski: Jak długo będziemy
4 Sztumski: Rok polskiej pamięci
6 Bruski: Człowiek, który budował ku niebu
14 Palermo: Krzyż rozświetlił noc
16 Smoliński: Reus – miasto Gaudíego
18 Być blisko ludzi. Wywiad z ks. Dariuszem Białkowskim
24 Europa. Przemoc wobec chrześcijan
25 Światowy Indeks Prześladowań 2026
26 Polska. Rośnie liczba przestępstw z nienawiści
27 Sutarski: Chrześcijańska Europa – zagrożenia i poetycka obrona
30 Woźniak: Dlaczego na nas to spadło?
35 Sztumski: Ptaki wracają
36 Świegocki: O czasie
39 Bielecka: Mój Jasio nie żyje
44 Dom, który był większy od Polski. 80 lat Instytutu Literackiego
49 Mój dom w Maisons-Laffitte. Rysunki i szkice Józefa Czapskiego
50 Pite: Międzynarodowy Dzień Tańca 2026
51 Konwiński: Sztuka tańca ma wielką moc
52 Paźniewski: Afera Sokala
54 Królikowska-Avis: Demolowania porządku moralnego ciąg dalszy
56 Kutyma: Czerwony pasek
57 Kubiński: Jestem szczerze zdziwiony
59 Gadowski: Wyspa prawdziwej wolności
59 Epoka więdnących książek
59 Czy katolicy w Polsce mają prawa polityczne?
60 Ukraiński szok
60 Przykry felieton o przemilczanych sprawach
62 Prandota: Geograficzna wycinanka – cz. 4
64 Nowości „Ostoi”
64 Truszczyński: Spokojny głos z Warmii
65 Kabaret Małgorzaty Todd
66 Strefa Gazy. Będziemy nieść pomoc...
66 Sprzeciw wobec zmian w edukacji

NA OKŁADCE

I strona: Humberto Silva, *Chrystus nad Barceloną*, 2008 ©

IV strona: Ireneusz St. Bruski, *Portes dels Evangelis*, 2026 ©





















SZTUKA • LITERATURA • SPOŁECZEŃSTWO
OSTOJA
BERLIN – WARSZAWA – WILNO

ISSN 2719-9096
CZASOPISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

☐ **REDAKTOR NACZELNY:** Ireneusz St. Bruski, tel. +48 531 507 527
11-041 Olsztyn, ul. Kardynała Hozjusza 12/3, e-mail: ostoja-redakcja@wp.pl
☐ **WSPÓŁPRACA AUTORSKA:** Andrzej Bartkowski, Marta Berowska, Marzena Burczycka-Woźniak, Witold Gadowski, Bożena Kociołkowska, Elżbieta Królikowska-Avis, Joanna Paszkiewicz-Jägers, Mirosław Prandota, Lech L. Przychodzki, Peter Raina, Wojciech Reszczyński, Andrzej Sikora, Konrad Sutarski, Kazimierz Świegocki, Małgorzata Todd, Stefan Truszczyński
☐ **KOREKTA:** Radosława Pieniężna-Grabowska
☐ **DTP:** Dobrochna Bugiera
☐ **DRUK:** BookPress
☐ **WYDAWCA:** Stowarzyszenie im. Witolda Hulewicza w Warszawie
☐ **KONTO:** Bank Pekao S.A. nr 92 1240 5598 1111 0011 0708 8906

Czasopismo społeczno-kulturalne „Ostoja. Sztuka • Literatura • Społeczeństwo” powstało z okazji 125. rocznicy urodzin przedstawiciela polskiej kultury, twórcy, tłumacza, wydawcy, poety, współorganizatora rozgłośni wileńskiej Polskiego Radia – Witolda Hulewicza. Jest tworzone *pro publico bono*. Egzemplarze do czytelników trafiają gratisowo. Zarówno druk, jak i kolportaż można wesprzeć dobrowolnymi darowiznami. Dziękujemy wszystkim, którzy dotychczas wsparli to dzieło wydawnicze i nadal liczymy na Państwa pomoc. Darowizny można przekazywać na konto wydawcy „Ostoi”: Bank Pekao S.A. nr 92 1240 5598 1111 0011 0708 8906, tytuł przelewu: Darowizna na cele statutowe.

Jak długo będziemy

Jak długo będziemy mogli stąpać po tobie
Europo chrześcijan
jak długo rozbrzmiewać jeszcze będzie
głos kościelnych dzwonów
do kiedy stać będą te święte miejsca
wznoszone wyobraźnią Buonarrotiego
a malowane ręką Michała Anioła
bo zbliżają się obcy wiarą barbarzyńcy
czarne kruki czarne wrony
chcąc piękno dzieła tych wieków
zakrakać zadziobać

Jeszcze stoją po wsiach
przydrożne figurki zafrasowanego Chrystusa
zbolałej Matki trzymającej w ramionach
zmarłe ciało za nas jak często krzyżowanego
ono jeszcze tylko dzidą zostało przekłute
lecz nie rozbite jest nie sprofanowane
całe

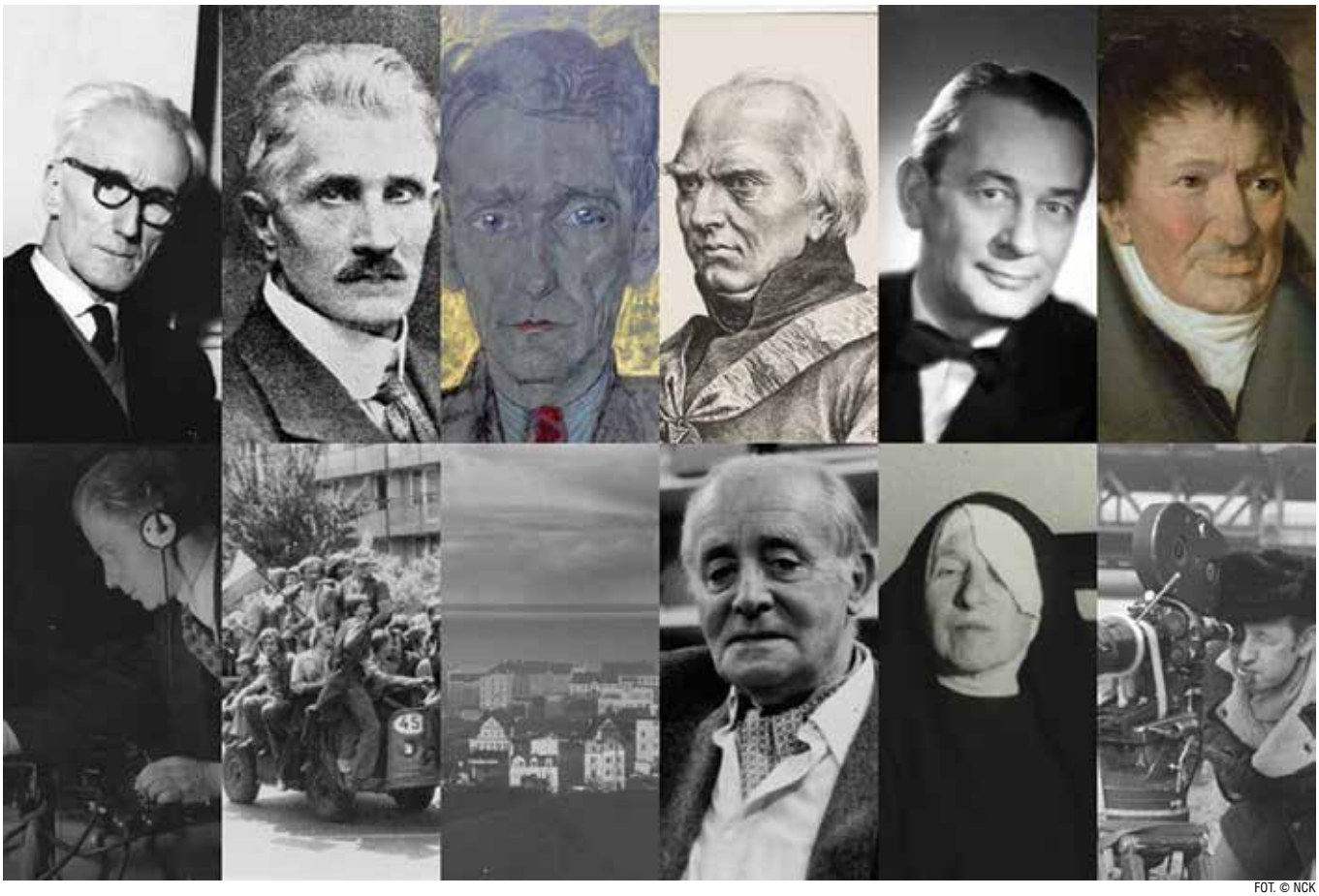
Widziałem już jednak płonące katedry
mordowanych księży druzgotane ołtarze
widziałem jak obce duchem tłumy
plugawią pomnik nawet polskiego papieża
choć wiwatowały gdy niósł wolność światu
teraz łuną przecinają gardło krwawiącemu się niebu
za nic mają historię tej ziemi
jej przeszłość wielkość i chwałę

Tylko my co poniektórzy
jak wielu nas jeszcze
chcemy klękać na niej
żegnać się i modlić
i strzec jej jak dawniej
by nie stratowały jej tabuny
obcych wiar i racic
i nie pogrzebała nienawiść naszych
zrodzonych na zachodzie braci

KONRAD SUTARSKI

FOT. © CASPAR TROMP

Rok polskiej pamięci



FOT. © NCK

Rok 2026 przynosi wyjątkowo bogaty wybór patronów i rocznic – ludzi, wydarzeń, instytucji i miejsc ważnych dla polskiej historii, kultury i życia społecznego.

W czasach, gdy życie publiczne często rozczarowuje poziomem debaty i jakością sprawowania funkcji publicznych, szczególnego znaczenia nabiera pytanie o wzorce. Jakich ludzi powinniśmy dziś stawiać sobie za przykład? Kogo warto przypominać jako wzór służby Polsce, odpowiedzialności i pracy dla dobra wspólnego?

Odpowiedź przynoszą biografie patronów roku 2026. Szczególne miejsce zajmują wśród nich Elżbieta Róża Czacka, Stanisław Staszic, Józef Maksymilian Ossoliński i Józef Czapski.

Różniły ich epoki, doświadczenia i drogi życiowe. Łączyło jedno: potrafili swoje życie podporządkować wartościom większym niż własna wygoda, kariera czy doraźny interes.

To właśnie dlatego rok 2026 można odczytać jako rok polskiej pamięci – pamięci, która nie tylko przypomina, kim byliśmy, lecz także pyta, kim chcemy być.

Służba człowiekowi

Postać błogosławionej Elżbiety Róży Czackiej przypomina, że pamięć o wartościach ma sens tylko wtedy, gdy prowadzi do działania.

Ociemniała w młodym wieku, nie zamknęła się jednak w osobistym doświadczeniu cierpienia. Przeciwnie – uczyniła z niego początek niezwykłego dzieła. Założyła Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi i stworzyła w Laskach jeden z najważniejszych polskich ośrodków pomocy, edukacji i wychowania osób niewidomych. Jej dzieło łączyło wymiar społeczny, pedagogiczny i duchowy.

Czacka pokazuje więc Polskę nie jako abstrakcyjną ideę, lecz jako wspólnotę odpowiedzialności. Państwo i naród buduje się nie tylko poprzez wielkie decyzje polityczne. Buduje się również poprzez codzienną pracę dla człowieka słabszego, potrzebującego pomocy, pozbawionego tego, co dla innych jest oczywiste.

Jej przykład jest szczególnie aktualny, ponieważ przypomina, że prawdziwa solidarność nie zaczyna się od deklaracji. Zaczyna się od dostrzeżenia drugiego człowieka.

Odpowiedzialność za państwo

Inny wymiar służby Polsce reprezentuje ksiądz Stanisław Staszic – uczony, pisarz, działacz oświeceniowy i reformator, którego życie przypadło na jeden z najbardziej dramatycznych okresów polskich dziejów.

Jego działalność naukowa i zaangażowanie w sprawy publiczne nie były od siebie oddzielone. Troska o człowieka, edukację i dobro wspólne łączyła się w jego myśleniu z odpowiedzialnością za los państwa.

Staszic należał do pokolenia, które zrozumiało, że niepodległość nie może istnieć bez silnego, nowoczesnego i odpowiedzialnie zarządzanego państwa. Interesowały go nauka, edukacja, gospodarka, przemysł i rozwój społeczny. Nie poprzestawał na diagnozowaniu słabości Rzeczypospolitej. Szukał sposobów jej naprawy.

W jego myśleniu patriotyzm oznaczał więc przede wszystkim pracę.

To ważne przesłanie także dzisiaj. Polska nie jest dana raz na zawsze. Każde pokolenie musi na nowo odpowiedzieć sobie na pytanie, jak wykorzystać odziedziczony potencjał i jak przygotować państwo na przyszłość.

Staszic przypomina, że miłość ojczyzny wymaga nie tylko emocji, lecz także wiedzy, odpowiedzialności, kompetencji i wytrwałości.

Ocalone dziedzictwo

Jeżeli Staszic przypomina o budowaniu państwa, Józef Maksymilian Ossoliński przypomina o budowaniu pamięci.

Pisarz, uczony, kolekcjoner i fundator Zakładu Narodowego im. Ossolińskich rozumiał, że naród pozbawiony własnego dziedzictwa kulturowego łatwo może utracić także świadomość własnej tożsamości. Dlatego gromadził książki, rękopisy, dokumenty i dzieła sztuki. Tworzył nie kolekcję dla siebie, ale depozyt dla przyszłości.

To jedna z najpiękniejszych idei obecnych w tegorocznym wyborze patronów: ocalić to, czego sami jesteśmy tylko czasowymi powiernikami.

Biblioteka, archiwum czy muzeum mogą wydawać się instytucjami skierowanymi ku przeszłości. W rzeczywistości są instytucjami przyszłości. Przechowują bowiem świadectwa, bez których następne pokolenia nie będą mogły zrozumieć, skąd przyszły.

W tym sensie dzieło Ossolińskiego pozostaje żywe do dziś.

Świadectwo pamięci

Najbliżej współczesności znajduje się Józef Czapski. W 2026 roku przypada 130. rocznica jego urodzin. Malarz, pisarz, eseista, żołnierz i świadek historii był jednym z tych ludzi, których biografia stała się częścią polskiego doświadczenia XX wieku.

Czapski przeżył rewolucję, wojnę, sowiecką niewolę, doświadczenie Katynia i emigrację. Był jednym z tych, którzy przez dziesięciolecia przypominali światu o zbrodni, której sprawcy chcieli wymazać z pamięci.

Ale Czapski nie był tylko świadkiem historii.

Był także człowiekiem kultury. Jego malarstwo, eseistyka i działalność w środowisku paryskiej „Kultury" były formą obrony wolności ducha. W Maisons-Laffitte, razem z Jerzym Giedroyciem i środowiskiem Instytutu Literackiego, współtworzył przestrzeń, w której polska kultura mogła zachować niezależność nawet wtedy, gdy Polska znajdowała się za żelazną kurtyną.

Czapski przypomina nam więc, że pamięć może być formą oporu.

Można odebrać człowiekowi dom. Można zmusić go do emigracji. Można próbować odebrać mu państwo i wolność. Znacznie trudniej odebrać mu pamięć, jeżeli potrafi ją zapisać – w obrazie, książce, eseju czy świadectwie.

Od pamięci do odpowiedzialności

Pozostali patroni roku 2026 dopowiadają kolejne rozdziały tej samej opowieści.

Ignacy Daszyński przypomina o narodzinach niepodległej Polski i polskim parlamentaryzmie. Sergiusz Piasecki – o wojnie, konspiracji i doświadczeniu człowieka uwikłanego w dramat historii. Mieczysław Fogg – o kulturze popularnej, która także przechowuje pamięć pokoleń. Andrzej Wajda – o sile kina w opowiadaniu polskich dziejów.

Jerzy Giedroyć, patron ustanowiony przez Senat, prowadzi nas natomiast ponownie do Maisons-Laffitte i do fenomenu paryskiej „Kultury" – jednego z najważniejszych miejsc polskiej myśli niezależnej na emigracji. W zestawieniu z Czapskim jego obecność nabiera szczególnego znaczenia. Obaj przypominają o pokoleniu, które po wojnie, pozbawione możliwości swobodnego działania w kraju, potrafiło poza jego granicami stworzyć przestrzeń dla wolnej polskiej kultury i myśli.

Obok ludzi pojawiają się także całe obszary pamięci: 100-lecie Polskiego Radia, 100-lecie Gdyni oraz 50. rocznica robotniczych protestów Czerwca 1976 roku.

Nie jest to więc przypadkowy zbiór rocznic. To opowieść o Polsce widzianej z różnych perspektyw: o człowieku potrzebującym pomocy, o państwie wymagającym pracy, o kulturze wymagającej ochrony i o pamięci wymagającej świadków.

Różne są drogi tych, których przypomina nam rok 2026. Jedni budowali instytucje, inni tworzyli dzieła sztuki, jeszcze inni walczyli o niepodległość, służyli człowiekowi albo bronili prawa do prawdy. Ich biografie pokazują jednak, że pamięć o Polsce nie powstaje sama. Jest owocem pracy, odwagi i odpowiedzialności kolejnych pokoleń.

Być może właśnie dlatego wybór patronów bieżącego roku jest czymś więcej niż przypomnieniem dawnych postaci. Jest pytaniem skierowanym do nas.

Co chcemy ocalić?

Co chcemy zbudować?

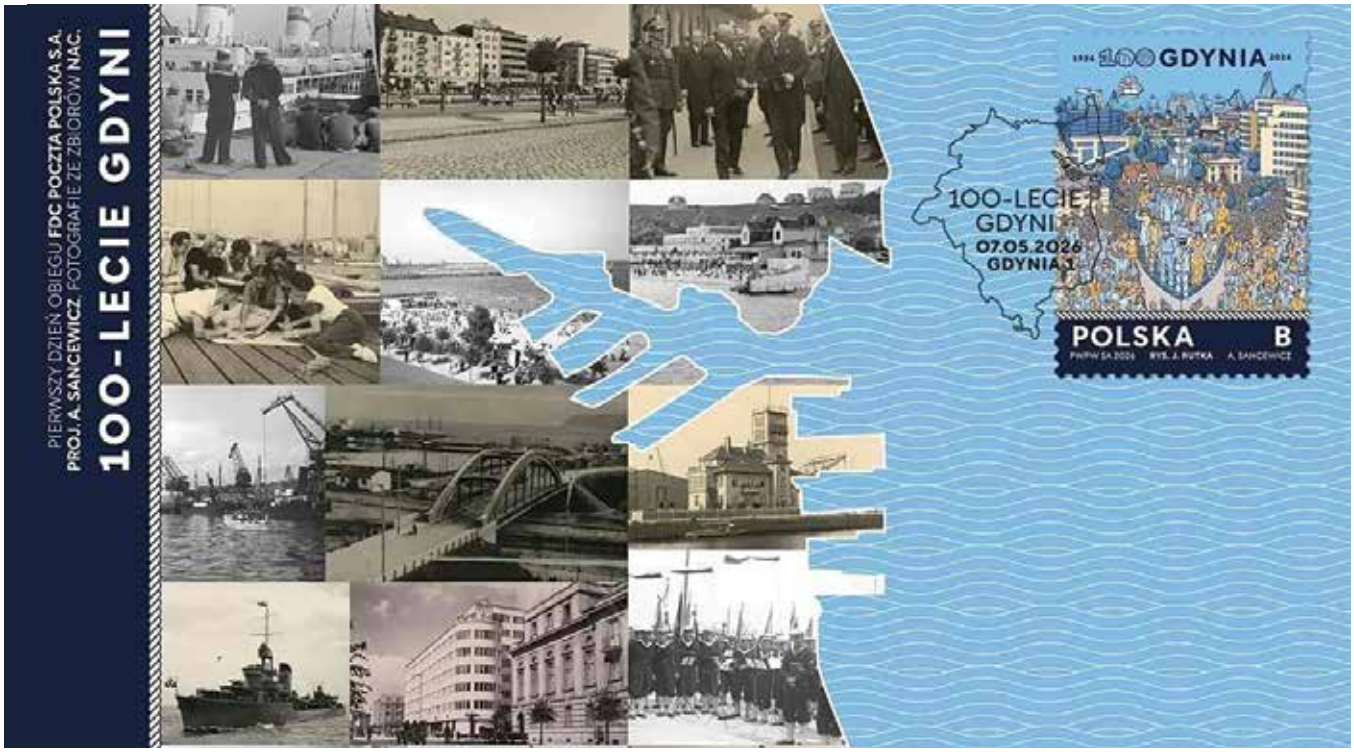
Komu chcemy służyć?

I co pozostawimy po sobie tym, którzy przyjdą po nas?

Bo pamięć nie jest tylko spojrzeniem wstecz.

Pamięć jest zobowiązaniem wobec przyszłości.

ANDRZEJ SZTUMSKI



Człowiek, który budował ku niebu

Pamięci Antoniego Gaudíego
1852-1926



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI, 2025



IRENEUSZ ST. BRUSKI

Czasem chwila, w której nikt nie dostrzega wielkości człowieka, mówi o nim najwięcej. Bywa, że świat przez lata podziwia dzieło, nie dostrzegając człowieka, który je stworzył. Bywa też, że człowiek poświęca całe życie idei tak wielkiej, że nie wystarcza mu czasu, by doprowadzić ją do końca. A jednak to, co najważniejsze, może trwać znacznie dłużej niż jego twórca – i przemawiać jeszcze wtedy, gdy jego samego dawno już zabraknie. Taką historię opowiada Barcelona, jej niezwykła świątynia i człowiek, który zapragnął, by kamień prowadził ludzkie spojrzenie ku niebu.

Barcelona, 7 VI 1926

Ulicą Barcelony idzie starszy, wychudzony mężczyzna w zniszczonym ubraniu. Nie wygląda jak ktoś, kogo należałoby rozpoznać. Jest jednym z wielu skromnych przechodniów, których wielkie miasto codziennie pochłania i natychmiast zapomina. Nagle nadjeżdża tramwaj. Mężczyzna zostaje potrącony i pada na ulicę.

Ludzie mijają go obojętnie. Kiedy wreszcie ktoś udziela mu pomocy, trafia nie do prywatnej kliniki, lecz do szpitala dla ubogich. Nikt jeszcze nie wie, że człowiek leżący na szpitalnym łóżku jest jednym z największych architektów swoich czasów – Antonim Gaudím, twórcą budowli, które miały na zawsze zmienić oblicze Barcelony.

Dopiero po pewnym czasie przyjaciele dowiadują się, gdzie przebywa. Chcą przenieść go do lepszego szpitala, ale Gaudí odmawia. Nie chce opuszczać miejsca, w którym znalazł się razem z biednymi, jakby w obliczu śmierci wszystko, co przez całe życie mogło dzielić ludzi – pieniądze, sława, pozycja, uznanie – nagle straciło znaczenie. Trzy dni później, 10 czerwca 1926 roku, Antoni Gaudí umiera. Ma 73 lata.

Barcelona żegna człowieka, którego za życia nie zawsze rozumiała. Jedni widzieli w nim ekscentryka, inni geniusza, jeszcze inni artystę tak niepowtarzalnego, że trudno było przypisać go do jakiejkolwiek szkoły. On sam zdawał się niewiele



Antoni Gaudí, 1878 FOT. DP

przejmować tymi ocenami. Z biegiem lat coraz bardziej odsuwał się od świata, który podziwiał jego budowle, a coraz głębiej zanurzał się w pracy nad świątynią, którą uważał za swoje najważniejsze dzieło. Sagrada Família miała być czymś więcej niż budowlą. Miała być modlitwą zapisaną w kamieniu.

Nie mógł wiedzieć, że po stu latach od jego śmierci nad Barceloną wzniesie się krzyż wieńczący najwyższą wieżę jego świątyni, a papież pobłogosławi dzieło, któremu poświęcił życie.

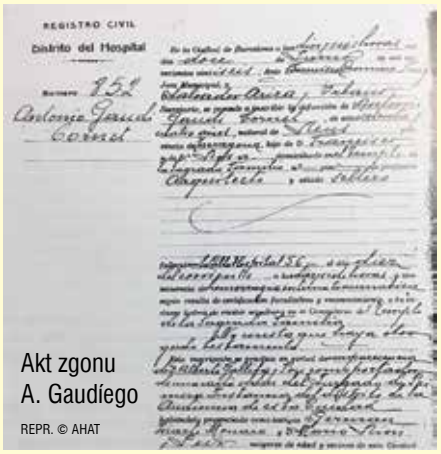
Ale żeby zrozumieć, dlaczego właśnie ta świątynia stała się jego testamentem, trzeba cofnąć się o wiele lat – do czasów, kiedy przyszły architekt był jeszcze chłopcem, który zamiast patrzeć na świat jak wszyscy, próbował odkryć, z czego świat jest zbudowany.

Zanim jednak zbudował swoją drogę ku niebu, musiał najpierw nauczyć się patrzeć na ziemię.

Chłopiec

Antoni Gaudí urodził się 25 czerwca 1852 roku w Katalonii, w rodzinie związanej od pokoleń z rzemiosłem. Był dzieckiem chorowitym; cierpiał na reumatyzm, który nieraz odbierał mu możliwość swobodnego poruszania się, dlatego wiele czasu spędzał w domu albo na katalońskiej wsi. To, co dla innego dziecka mogłoby stać się źródłem nudy i frustracji, dla niego stało się początkiem niezwykłej szkoły patrzenia. Kiedy nie mógł biegać z rówieśnikami, miał czas, aby przyglądać się kamieniom, roślinom, owadom, drzewom, wodzie i światłu. Później właśnie w naturze będzie szukał odpowiedzi na pytania, które inni architekci próbowali rozwiązywać przy pomocy linijki, geometrii i klasycznych reguł.

Uczył się u pijarów w Reus i wspominał później tę szkołę jako miejsce, które zaszczepiło w nim miłość do chrześcijaństwa. Religia nie pozostała jednak w jego życiu czymś oddzielonym od sztuki. Z biegiem lat coraz wyraźniej zaczęła przenikać jego sposób myślenia o świecie. Gaudí uważał, że natura jest dziełem Boga, a skoro tak, architekt powinien nie tyle wymyślać piękno od początku, ile nauczyć się je


REGISTRO CIVIL
Distrito del Hospital
Antonio Gaudí Cornet

Akt zgonu A. Gaudíego
REPR. © AHAT



Pogrzeb Gaudíego, kondukt na ulicach Barcelony FOT. ASF


Rysunek Antoniego Gaudíego na łożu śmierci, 1926 RYS. JOAQUIM RENART

odczytywać. Drzewo, liść, muszla, kość, skrzydło owada czy skalna grota były dla niego nie tylko przedmiotami zachwytu, ale także rozwiązaniami konstrukcyjnymi, które natura „opracowała" znacznie wcześniej niż człowiek.

Później jego budowle będą wyglądały tak, jakby nie zostały wzniesione, lecz wyrosły z ziemi.

Początek

Kiedy przybył do Barcelony, jego nazwisko nie było jeszcze szeroko znane. Studiował architekturę i nie należał do studentów łatwych. Miał własne pomysły, często wykraczające poza akademickie schematy, a profesorowie nie zawsze rozumieli, dlaczego młody człowiek zamiast ograniczać się do samego budynku, rysuje wokół niego teren, roślinność i otoczenie. Dla Gaudíego nie istniał bowiem budynek oderwany od miejsca, w którym miał powstać. Architektura musiała wejść w dialog z krajobrazem.

Kiedy w 1878 roku otrzymał dyplom architekta, jego droga zawodowa nie zaczęła się od wielkich świątyń. Projektował bramy, ogrodzenia, latarnie, elementy wyposażenia i drobne formy architektoniczne, ale już w tych pozornie niewielkich pracach pojawiało się coś, co wyróżniało go spośród innych. Przełom nastąpił podczas Wystawy Światowej w Paryżu w 1878 roku, gdzie pokazano między innymi zaprojektowaną przez niego gablotę wystawową. Tam jego talent dostrzegł człowiek, który wkrótce miał stać się jego najważniejszym mecenasem – katalońskim przemysłowiec Eusebi Güell.

Spotkanie Gaudíego z Güellem było jednym z tych momentów, które potrafią zmienić całe życie artysty. Güell nie tylko zamawiał u niego kolejne projekty, lecz przede wszystkim dawał mu coś bezcennego – swobodę tworzenia. Dzięki temu Gaudí mógł coraz odważniej eksperymentować, przekraczać granice tego, co dotąd uważano za możliwe, i budować świat, który nie przypominał żadnego istniejącego wcześniej.

Kamień

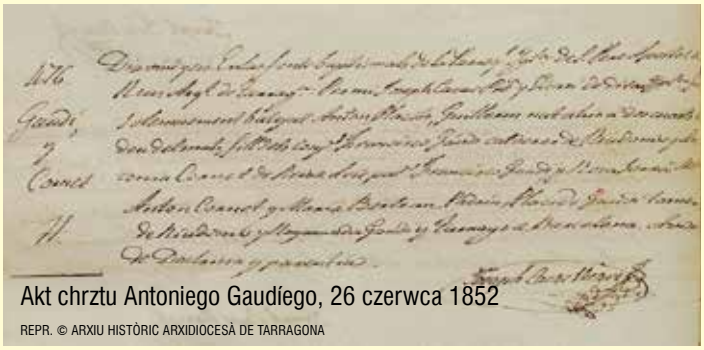
Casa Vicens była jednym z pierwszych wielkich sygnałów, że w Barcelonie pojawił się architekt, którego nie da się łatwo zaszufladkować. Później przyszły Palau Güell, Park Güell, Casa Batlló i Casa Milà, a wraz z nimi coraz bardziej rozpoznawalny język Gaudíego: falujące fasady, nieregularne kształty, kolumny przypominające pnie drzew, balkony o fantastycznych formach, dachy zamienione w rzeźbiarskie pejzaże i tysiące kolorowych fragmentów ceramiki, które układały się w migotliwe mozaiki.

W jego rękach architektura przestawała być nieruchoma. Ściana mogła sprawiać wrażenie, jakby płynęła, dach – jakby falował, a kamień – jakby za chwilę miał zmienić kształt. Casa Milà, którą barcelończycy nazwali La Pedrera, czyli Kamieniołom, wygląda bardziej jak wyrzeźbiona przez wiatr skała niż klasyczna kamienica. Casa Batlló z kolei wydaje się niemal organizmem morskim: kości, łuski, maski, fale i kolory tworzą fasadę, której nie sposób pomylić z żadną inną.

Gaudí nie próbował jednak jedynie zadziwiać. Pod fantastycznymi formami kryła się niezwykle konsekwentna myśl konstrukcyjna. Chciał wiedzieć, dlaczego coś działa, a nie tylko jak wygląda. Fascynowało go to, że natura potrafi osiągnąć wielką wytrzymałość przy użyciu zaskakująco prostych środków.

Dlatego w swoim warsztacie prowadził eksperymenty z ciężarkami zawieszonymi na sznurkach i siatkach. Odwrócone modele pozwalały mu obserwować naturalne rozłożenie sił. Nie potrzebował komputera, aby zobaczyć, jak konstrukcja zachowa się pod obciążeniem. Wykorzystywał grawitację jako własnego inżyniera.

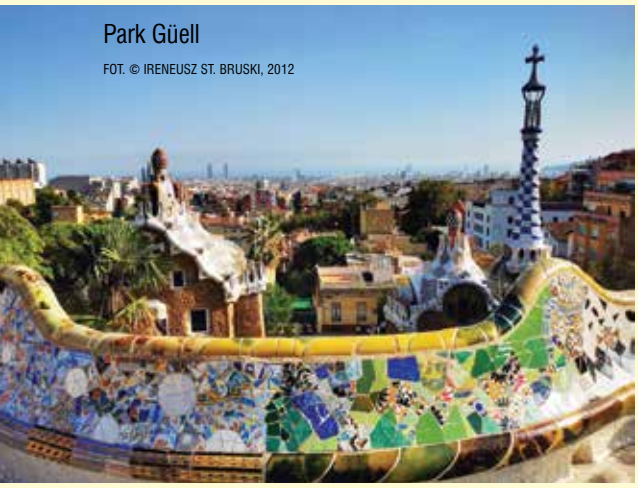
To właśnie tutaj spotykają się dwie strony Gaudíego: artysta i konstruktor. Jedna bez drugiej nie byłaby możliwa. Jego fantazja nie unosiła się nad rzeczywistością, lecz wyrastała z jej praw.


Akt chrztu Antoniego Gaudíego, 26 czerwca 1852
REPR. © ARXIU HISTÒRIC ARXIDIOCESÀ DE TARRAGONA

Natura

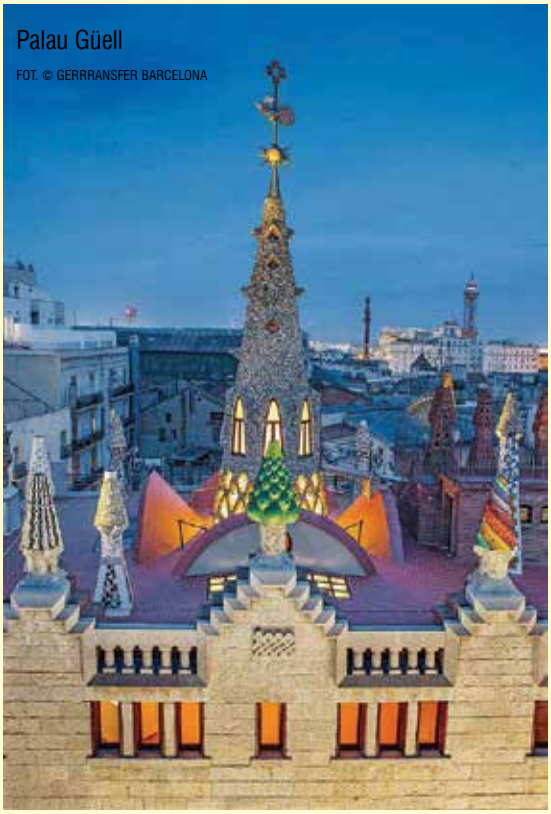
Im był starszy, tym bardziej jego architektura oddalała się od zwykłego budownictwa, a zbliżała do religijnej wizji świata. Gaudí był człowiekiem głęboko wierzącym, należał do Trzeciego Zakonu św. Franciszka, a w późniejszych latach prowadził coraz bardziej ascetyczne życie.

Ciąg dalszy na s. 9



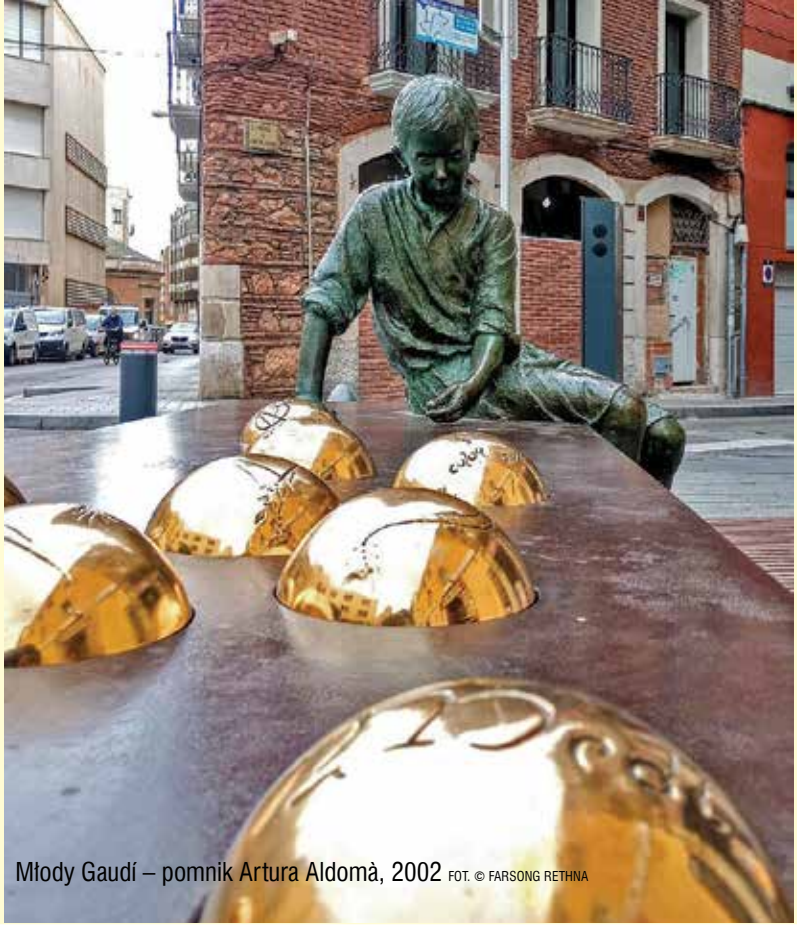
Park Güell

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI, 2012



Palau Güell

FOT. © GERRRANSFER BARCELONA



Młody Gaudí – pomnik Artura Aldomà, 2002 FOT. © FARSONG RETHNA



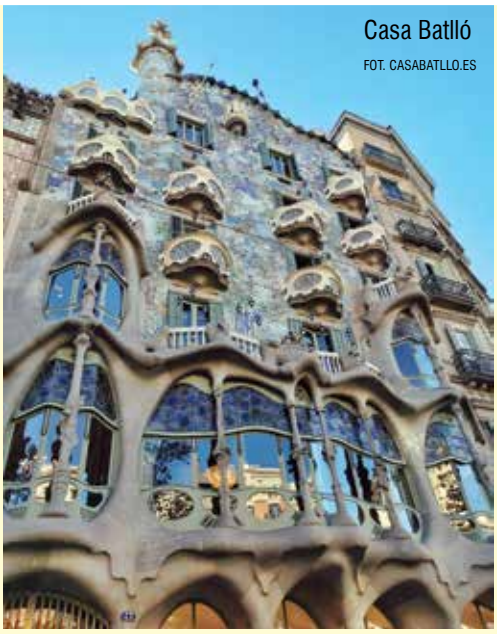
Casa Milà

FOT. WIKIARQUITECTURA



Casa Vicens

FOT. WIKIARQUITECTURA



Casa Batlló

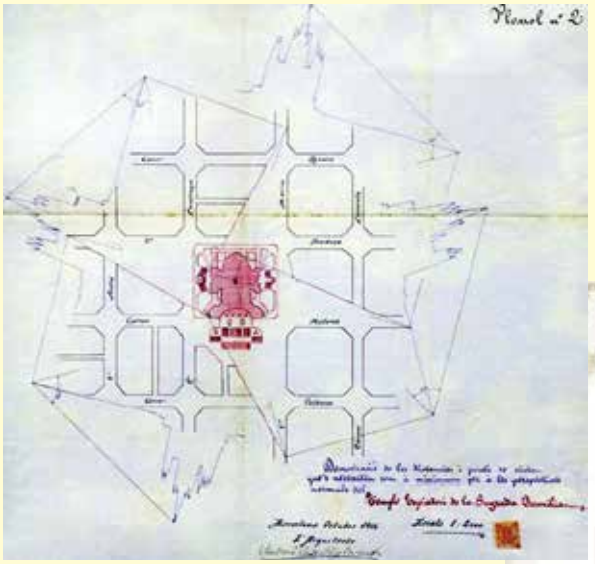
FOT. CASABATLLO.ES



Gaudi podczas procesji przed katedrą w Barcelonie, 1924 FOT. © JOSEP BRANGULÍ/ANC

Ciąg dalszy ze s. 7

Nie założył rodziny. Nie zgromadził majątku, który mógłby być celem jego życia. Z czasem niemal całkowicie podporządkował swoje życie jednemu dziełu – Sagradzie Famílii.



Projekt urbanistyczny Antoniego Gaudíego z października 1916 r. znany jako „Plaza estrellada" (Gwieździsty plac), stworzony z myślą o otoczeniu bazyliki w nowym kształcie FOT. ASF

Oryginalny projekt Sagrady Famílii autorstwa Francisco de Paula del Villar z 1882 r.; różnice techniczne dotyczące kosztów budowy spowodowały, że po jego rezygnacji kierownictwo przejął Antoni Gaudí, który przekształcił koncepcję architektoniczną w ambitną propozycję kościoła przyszłości

To właśnie ona stała się miejscem, w którym wszystkie jego fascynacje miały się spotkać: natura, konstrukcja, światło, rzeźba, kolor, gotyk, symbolika i chrześcijaństwo.

Gaudí przejął kierownictwo nad budową w 1883 roku i stopniowo przekształcił pierwotny projekt świątyni. Zamiast zwykłego kościoła chciał stworzyć przestrzeń, w której człowiek będzie mógł niemal fizycznie odczuć obecność Boga. Wnętrze miało przypominać las, którego kolumny rozgałęziają się wysoko nad głowami wiernych, tworząc kamienne korony. Światło wpadające przez witraże miało nie tylko oświetlać przestrzeń, ale prowadzić wzrok i budować nastrój modlitwy.

W Sagradzie Famílii nic nie miało być przypadkowe. Osiemnaście wież poświęconych jest Chrystusowi, Maryi, czterem Ewangelistom i dwunastu Apostołom. Najwyższa z nich – Wieża Jezusa Chrystusa – miała zostać zwieńczona krzyżem.

Gaudí wiedział, że nie doczeka ukończenia świątyni. I właśnie dlatego jego przekonanie, że wielkiego dzieła nie tworzy jeden człowiek, lecz kolejne pokolenia, nabiera szczególnego znaczenia.

Polski ślad

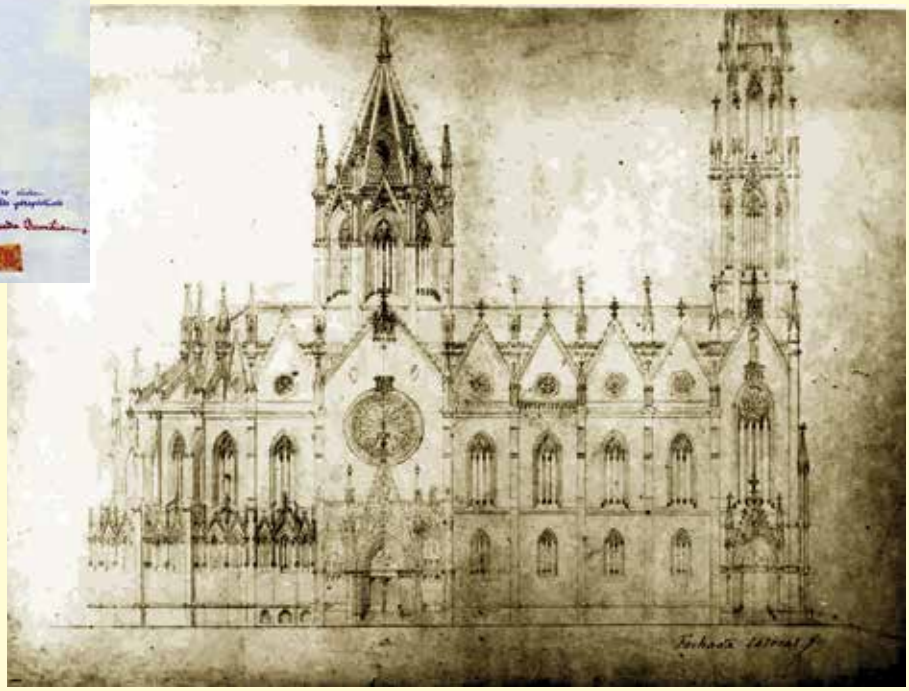
Myśl Gaudíego nie kończy się jednak w Barcelonie. W różnych miejscach i różnych epokach pojawiali się architekci, dla których świątynia nie była jedynie dziełem architektonicznym, lecz próbą przełożenia wiary na przestrzeń. W Polsce jednym z najbardziej wyrazistych przykładów takiego myślenia był Stanisław Niemczyk, nazywany „polskim Gaudím".

Podobnie jak kataloński mistrz próbował przywrócić architekturze sakralnej jej duchowy wymiar. Był twórcą niezwykłych kościołów Górnego Śląska, między innymi świątyni Ducha Świętego w Tychach, kościoła Jezusa Chrystusa Odkupiciela w Czechowicach-Dziedzicach oraz franciszkańskiego zespołu w Tychach. Nie dlatego jednak nazywa się go „polskim Gaudím", że kopiował jego architekturę, lecz dlatego, że – podobnie jak on – miał odwagę budować po swojemu.

Ciąg dalszy na s. 10

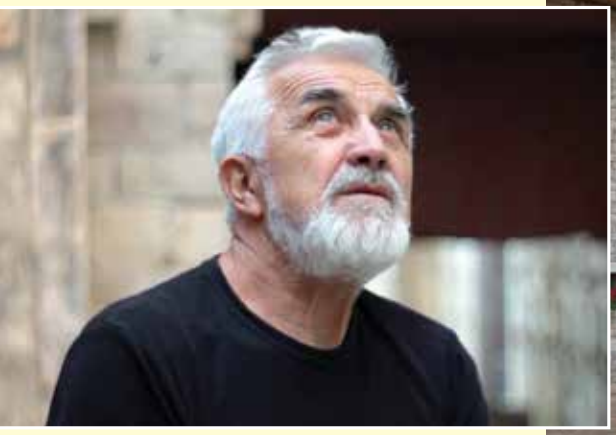


Kościół pw. św. Franciszka z Asyżu i św. Klary w Tychach autorstwa Stanisława Niemczyka



Ciąg dalszy ze s. 9

Jego świątynie nie były tylko konstrukcjami z cegły, kamienia i betonu. Miały prowadzić człowieka ku temu, co niewidzialne. Swoje decyzje projektowe wyprowadzał z Biblii, Ewangelii, liturgii i kalendarza świąt. Architektura była dla niego nie tyle zawodem, ile sposobem przeżywania wiary.





Architekt Stanisław Niemczyk (1943-2019) i tyski kompleks klasztorno-kościelny – jego ostatnie dzieło życia, którego budowa trwa do dzisiaj; po śmierci mistrza w maju 2019 r. Anna Niemczyk-Wojtecka i Robert Wojtecki przejęli oficjalną opiekę architektoniczną nad dokończeniem świątyni wraz z otoczeniem, czuwając nad realizacją wizji jej pierwotnego twórcy, 2026 FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

I właśnie tutaj porównanie z Gaudím staje się naprawdę interesujące. Obaj żyli w innych epokach, mieli zupełnie inne doświadczenia i tworzyli w odmiennych warunkach, a jednak łączyło ich przekonanie, że kościół nie może być jedynie efektownym budynkiem. Musi mieć duszę. Musi mówić – także wtedy, gdy milczy. U obu architektura zaczynała się tam, gdzie kończyły się gotowe wzory.

Gaudí poszedł jednak jeszcze dalej. Chciał, aby jego świątynia nie tylko mówiła o Bogu, ale niemal całym swoim istnieniem kierowała człowieka ku Niemu. I właśnie dlatego Sagrada Família stała się czymś więcej niż jego największym dziełem. Stała się jego duchowym testamentem.

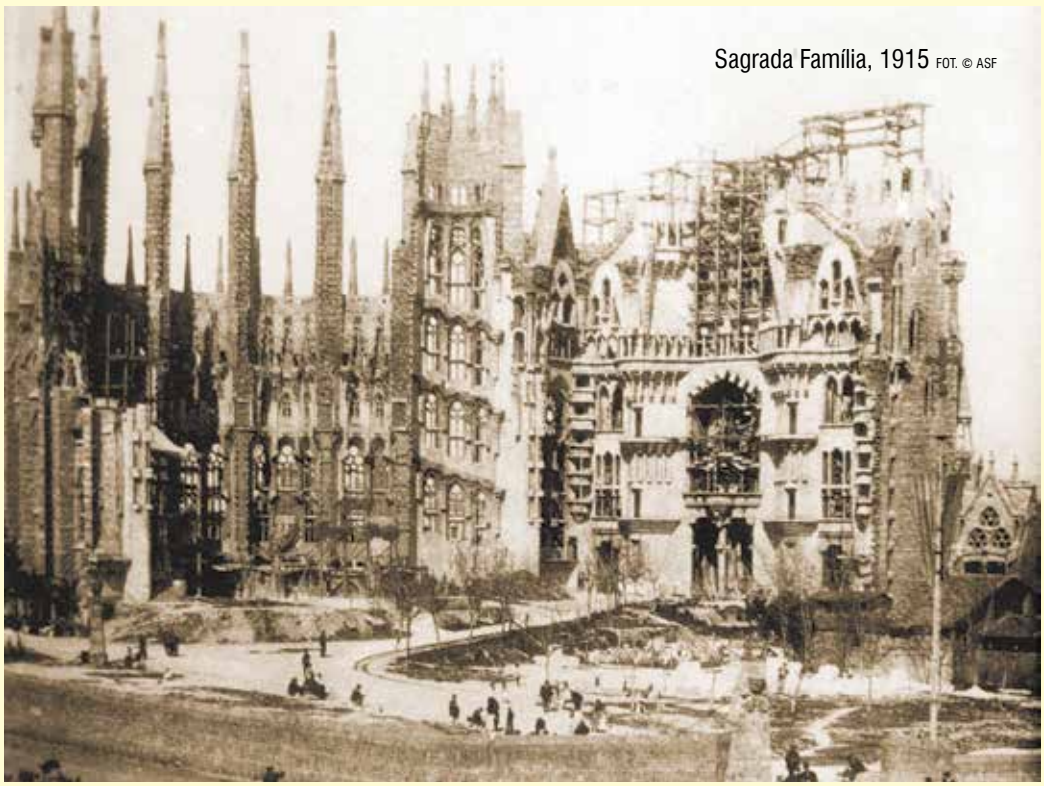
Świątynia

Sagrada Família rosła powoli, ponieważ miała być świątynią budowaną nie dla jednego pokolenia, lecz dla przyszłości. Gaudí coraz bardziej odsuwał się od innych projektów, aż w końcu niemal całkowicie poświęcił się jej budowie. Wiedział, że czas jego życia jest ograniczony, ale nie uważał tego za powód do przyspieszania dzieła. Jakby wiedział, że Bóg ma więcej czasu niż człowiek.

Kiedy wybuchła I wojna światowa, Gaudí pozostał przy swoim dziele. W pewnym momencie niemal zamieszkał na terenie budowy. Pracował nad detalami, modelami i rozwiązaniami konstrukcyjnymi, coraz bardziej podporządkowując własne życie świątyni.

A potem przyszedł dzień, którego nikt nie mógł przewidzieć.

Tramwaj. Ulica. Upadek. Szpital dla ubogich. Śmierć.



Sagrada Família, 1915 FOT. © ASF

Gaudí odszedł, ale Sagrada Família nie przestała rosnąć.

20 lutego 2026 roku na Wieży Jezusa Chrystusa umieszczono górne ramię krzyża, kończąc zewnętrzną część najwyższej wieży świątyni. Krzyż, który Gaudí przewidział jako jej zwieńczenie, znalazł się wreszcie wysoko nad Barceloną.

10 czerwca 2026 roku, w setną rocznicę śmierci architekta, papież Leon XIV przewodniczył uroczystej Mszy w Sagradzie Família, a następnie poświęcił Wieżę Jezusa Chrystusa. Wieża została później po raz pierwszy iluminowana.

Trudno wyobrazić sobie bardziej przejmujące spotkanie przeszłości z teraźniejszością.

Gaudí nie doczekał ukończenia swojej świątyni. Nie zobaczył jej najwyższej wieży. Nie ujrzał krzyża, który miał wznieść się nad Barceloną. Nie wiedział, że po stu latach jego dzieło stanie się miejscem uroczystości, podczas której następca św. Piotra stanie przed świątynią będącą spełnieniem jego wizji.

A jednak jego obecność była tam wyczuwalna – w kamieniu, w świetle, w konstrukcji, w krzyżu.

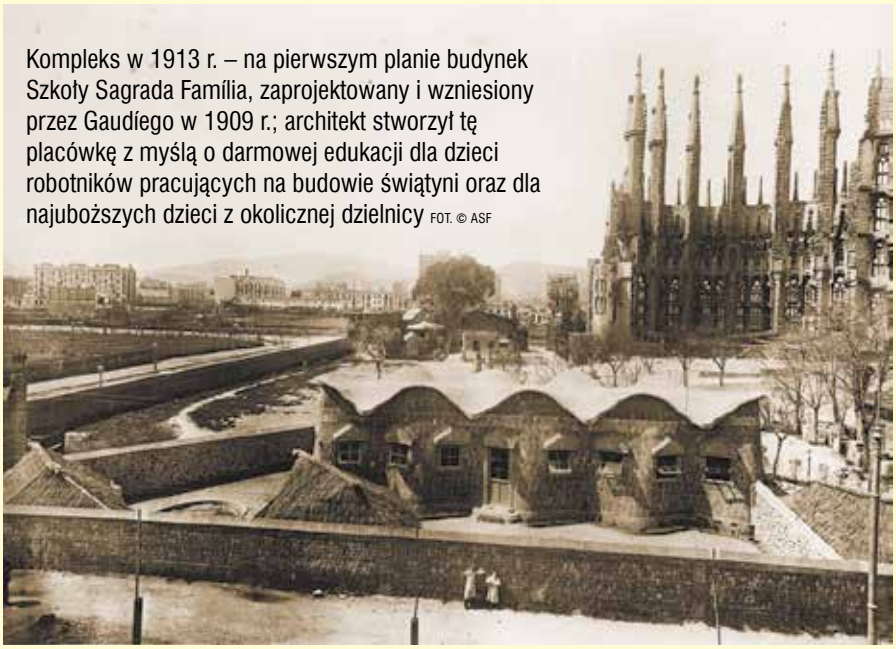
I w modlitwie.



Sagrada Família, 2026 FOT. © GIULIA



Sagrada Família, 1908
FOT. © ASF



Kompleks w 1913 r. – na pierwszym planie budynek Szkoły Sagrada Família, zaprojektowany i wzniesiony przez Gaudíego w 1909 r.; architekt stworzył tę placówkę z myślą o darmowej edukacji dla dzieci robotników pracujących na budowie świątyni oraz dla najuboższych dzieci z okolicznej dzielnicy FOT. © ASF

Geniusz?

Być może pytanie, które zadawano o nim za życia – geniusz czy szaleniec? – było od początku źle postawione.

Gaudí był po prostu człowiekiem, który nie zgadzał się na to, że świat musi wyglądać tak, jak wyglądał dotąd. Kiedy inni widzieli prostą ścianę, on widział powierzchnię, która może falować. Kiedy inni widzieli kolumnę, on widział pień drzewa. Kiedy inni widzieli fragment potłuczonej ceramiki, on widział kolor, który można jeszcze raz wykorzystać. Kiedy inni widzieli ciężar, on szukał sposobu, aby go rozłożyć. A kiedy inni widzieli gotycką katedrę jako zamknięty rozdział historii, on próbował odkryć jej ukrytą logikę i pójść dalej.

Ciąg dalszy na s. 12



Widok Sagrady Familii wraz z wszystkimi ukończonymi wieżami, 2026 FOT. © ASF



Wnętrze, w głębi prezbiterium
FOT. © KIRILL SOBOLEV

Ciąg dalszy ze s. 11

Najważniejsze było jednak coś jeszcze. Gaudí nie uważał siebie za właściciela piękna. Uważał się raczej za człowieka, który próbuje je odczytać. Dlatego natura



Finał prac przy Wieży Jezusa Chrystusa, 2026
FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



Wieża Jezusa Chrystusa, 2026 FOT. © ASF


Pomnik Antoniego Gaudíego w Riudoms z 2019 r. FOT. © EN.TRAVIE.COM

była dla niego tak ważna. Dlatego patrzył na drzewa, skały, kości, muszle i światło. Nie chciał konkurować z Bogiem w tworzeniu świata. Chciał znaleźć w świecie ślady Jego zamysłu. I może właśnie dlatego jego architektura tak bardzo różni się od architektury, która chce jedynie imponować.



Wystarczy wejść do Sagrady Famílii i spojrzeć w górę. Najpierw widzimy kamień, kolumny i światło, ale po chwili przestrzeń zaczyna działać inaczej. Wzrok zostaje wyprowadzony ponad głowę, ponad sklepienie, ponad kolejne poziomy konstrukcji. Człowiek staje się mały, a świątynia ogromna. Nie po to jednak, by go przytłoczyć, lecz by przypomnieć mu o własnym miejscu w świecie.

Może właśnie dlatego Gaudí tak bardzo potrzebował natury. Wiedział, że człowiek nie stworzył światła, nie stworzył drzewa, nie stworzył kamienia ani grawitacji. Mógł jedynie nauczyć się z nich korzystać. W tym sensie jego największym nauczycielem rzeczywiście nie był żaden profesor architektury.

Była nim natura.
A za naturą widział Stwórcę.

Testament

Gaudí spoczął w krypcie Sagrady Famílii, w miejscu, któremu poświęcił ostatnie lata życia. Nad jego grobem wznosi się świątynia, której nie zdołał ukończyć.

Jego ciało pozostało pod ziemią, a dzieło rosło ku górze. Kolejne pokolenia dopisywały do niego własne linie, kamienie i światło, pozostając wierne myśli człowieka, który od początku wiedział, że nie zobaczy końca swojej pracy.

Może właśnie dlatego Sagrada Família nie jest pomnikiem jednego architekta. Jest świadectwem wiary, że to, co naprawdę ważne, może przekroczyć granice ludzkiego życia.

Gaudí pozostawił Barcelonie coś więcej niż niezwykłą architekturę.

Pozostawił jej drogę.

Drogę, która prowadzi wzrok ku niebu.

IRENEUSZ ST. BRUSKI


Grób A. Gaudiego w krypcie bazyliki Sagrada Família FOT. © ASF


FOT. © JOSÉ ÁNGEL SÁNCHEZ

Krzyż rozświetlił noc



FOT. © VATICAN MEDIA



ANTONELLA PALERMO

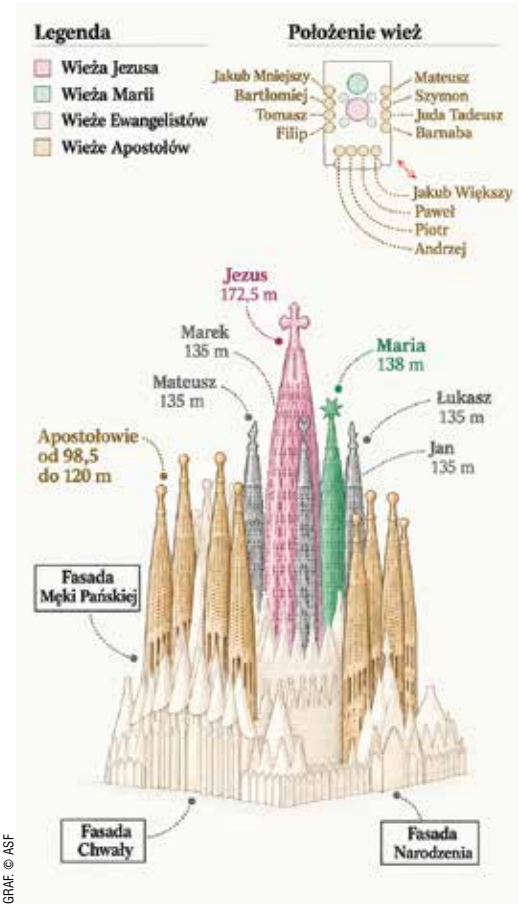
Od 10 czerwca 2026 roku – równo sto lat od śmierci Antoniego Gaudíego – w panoramie Barcelony wyróżnia się nowa wieża – Wieża Jezusa Chrystusa w bazylice Sagrada Família. Została ona zainaugurowana przez papieża Leona XIV po Mszy św. odprawionej w bazylice, dzięki czemu świątynia stała się najwyższym kościołem na świecie, osiągając wysokość 172,5 metra. Ten rekord nie ma być symbolem rywalizacji, lecz wyrazistym punktem odniesienia duchowego w społeczeństwie coraz bardziej poddawanym postępującej sekularyzacji.

Projekt przedstawiony przez niewidomą dziewczynkę

Jedną z najbardziej zaskakujących nowości tego wydarzenia było powierzenie dzieciom zadania wyjaśnienia papieżowi projektu wieży. Fakt, że zrobiła to niewidoma dziewczynka – Valentina – nadał spotkaniu Ojca Świętego ze społecznością Barcelony jeszcze bardziej wyjątkowy i angażujący, a przede wszystkim inkluzywny charakter. Powitany przez hiszpańską parę królewską Papież podziwiał niezwykłą budowlę Gaudíego, a Valentina opowiedziała mu o swoim doświadczeniu „patrzenia" ku szczytowi wieży. Uczyniła to, dzieląc się



FOT. © VATICAN MEDIA



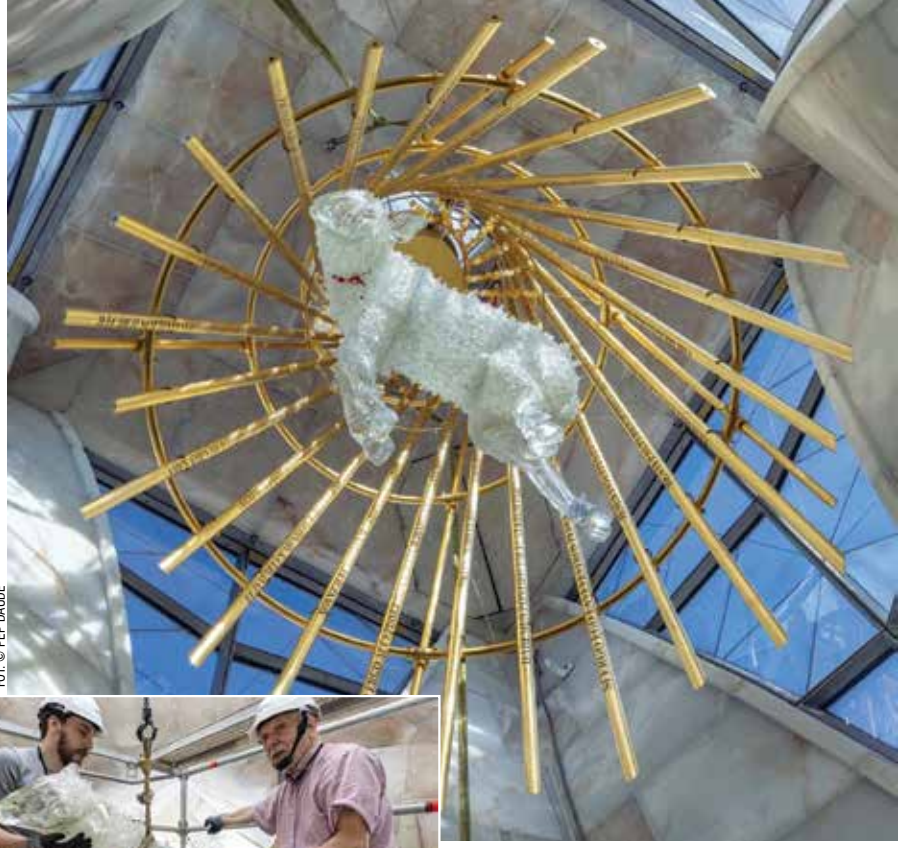
GRAF. © ASF

wrażeniami, jakie odczuwała, dotykając modelu samej konstrukcji.

Inicjatywa została zorganizowana przez stowarzyszenie ONCE (Krajową Organizację Niewidomych Hiszpanii), będące liderem w pomocy osobom niewidomym w Hiszpanii. Poproszona przez królową o opisanie projektu architektonicznego, dziewczynka przesuwała dłonią po modelu ku górze, odkrywając jego szczegóły i wskazując inspiracje katalońskiego geniusza.

– Gaudí zaprojektował ją tak, aby światło przenikało przez obramowania, które możemy tutaj zobaczyć. Wieża, która dotąd miała cztery ściany, teraz ma osiem, jak możecie zauważyć. Spójrzcie. Wszystkie krawędzie, osiem boków – mówiła dziewczynka.

Wyjaśniła również, dlaczego ramiona krzyża na szczycie zakończone są ostro zakończonym szkłem: „Ponieważ według Gaudíego z tego szkła mogło wydobywać się światło w formie promienia. A ponieważ wychodzi ono z czterech ramion wieży, symbolizuje ochronny parasol nad Barceloną: Bóg chroni miasto tym parasolem i obejmuje mieszkańców Barcelony”.



FOT. © PEP DAUDÉ



Przeniknięci światłem

Scena ta rozgrywała się w przestrzeni, w której w przeszłości znajdowały się pracownia, warsztat modeli, magazyn rzeźb Antoniego Gaudíego, dom stróża oraz parafia. Dziś jest to przestrzeń muzealna z rekonstrukcją środowiska pracy artysty.

Wieża Jezusa, osiemnasty pinakiel bazyliki, wznosi się pośród dwunastu dzwonnic poświęconych apostołom, zgrupowanych po cztery przy każdej fasadzie. Na zewnątrz znajdują się palmy wykonane techniką *trencadís* (ozdobnej mozaiki z nieregularnych fragmentów ceramiki), z łacińskim napisem: „Tyś sam Święty, Tyś sam Pan, Tyś sam Najwyższy”.

Napis wykonano z białej glazurowanej ceramiki i cegły. Sam krzyż, jak przypomniała dziewczynka, pokryty jest szkłem oraz około 15 tysiącami elementów z białej glazurowanej ceramiki.

To właśnie połączenie tych materiałów sprawia, że konstrukcja lśni za dnia w promieniach słońca, a nocą dzięki wiązkom światła pochodzącym z pozostałych wież – dokładnie tak, jak pragnął Antoni Gaudí.

Po zakończeniu prac wewnętrznych, czego oczekuje się w ciągu najbliższych dwóch lat, przez przeszklenia znajdujące się w ramionach krzyża będzie można podziwiać panoramę Barcelony.

Krzyż rozświetlił noc

Po zakończeniu Mszy św., gdy dzień już się kończył, ale noc jeszcze nie zapadła, procesja koncelebransów skierowała się ku zewnętrznej trybunie schodami przy Fasadzie Narodzenia, zwróconej ku wschodowi i wschodzącemu słońcu.

Około 120 tysięcy osób śledziło uroczystość na okolicznych placach i wzdłuż trasy dzięki wielkim ekranom, a 9 000 wiernych uczestniczyło bezpośrednio we Mszy, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz bazyliki. Z podestu ustawionego naprzeciw trybuny Papież, w obecności najważniejszych władz państwowych i lokalnych, poświęcił wieżę. Wewnątrz krzyża znajduje się zawieszony Agnus Dei (Baranek Boży) – dzieło włoskiego rzeźbiarza Andrei Mastrovita.

– Spraw, aby Twoje dzieci, kierując wzrok ku krzyżowi Odkupiciela wieńczącemu tę bazylikę Sagrady Famílii, czerpały owoce zbawienia i dawały świadectwo radości, która przyszła wraz z tym świtem życia – modlił się Ojciec Święty.

Każdy uczestnik otrzymał lampkę LED umieszczoną w białym cylindrze. Muzyka orkiestry oraz śpiew chóru Pueri Cantores stopniowo nabierały mocy, a temu narastającemu brzmieniu towarzyszył spektakl świateł przenikających wnętrze bazyliki. Światło zdawało się ożywiać ją od środka, niczym szpik kostny ożywiający organizm.

Nagle rozbłysnął krzyż wieńczący Wieżę Jezusa Chrystusa. Tak właśnie pragnął Gaudí: „ma lśnić za dnia i rozświetlać noc”. W tej samej chwili niebo rozdarły fajerwerki, których blask był tak intensywny, że na kilka chwil przesłonił monumentalną budowlę.

Gdy zapadła już ciemność, bazylika ponownie wyłoniła się z mroku, jaśniejąc jeszcze wyraźniej. Wtedy niezliczone punkty świetlne zawieszone w powietrzu utworzyły wizerunek Gaudíego – twórcy Sagrady Famílii, czcigodnego mistrza nie tylko sztuki, ale także człowieczeństwa.

ANTONELLA PALERMO



FOT. © PRO.SONY

FOT. © ARQUEBISBAT DE TARRAGONA

Reus – miasto Gaudíego

Są miejsca, do których wraca się z sentymentem, bo z czasem stają się częścią własnej historii. Dla mnie takim miejscem jest Reus – miasto związane z Antonim Gaudím, ale także z moją pracą artystyczną i pedagogiczną. Wielokrotnie prowadziłem tu zajęcia baletowe, a od 2009 roku powracam jako juror Międzynarodowego Konkursu Tańca im. Rosety Mauri. Każda wizyta pozwala mi odkrywać Reus na nowo.

Na co dzień mieszkam w Barcelonie, z którą związałem znaczną część swojego życia, gdzie występowałem jako tancerz na scenie Gran Teatre del Liceu. To również miasto, w którym niemal na każdym kroku można napotkać ślady geniuszu Gaudíego. Warto jednak pamiętać, że zanim jego dzieła rozsławiły Barcelonę, ważną częścią jego życia było właśnie Reus.

9 czerwca, tuż przed 100. rocznicą śmierci Antoniego Gaudíego, w historycznym centrum miasta odsłonięto pomnik architekta. Stanął przy Fossar Vell, u stóp dzwonnicy kościoła św. Piotra Apostoła.

Zatrzymałem się przy nim na dłużej. Pomyślałem, że to piękny gest ze strony miasta, które nie może pochwalić się słynnymi realizacjami Gaudíego, a jednak z dumą przypomina, skąd wyruszył w świat.

Autorem rzeźby jest Joan Serramià, a jej powstanie zainicjowało miejscowe Stowarzyszenie Przyjaciół Gaudíego. Niemal



FOT. © JANUSZ SMOLIŃSKI





Odsłonięcie pomnika Antoniego Gaudíego, 9 czerwca 2026 FOT. © AJUNTAMENT DE REUS

dwumetrowa postać z brązu przedstawia architekta pochylonego nad modelem świątyni. Nie ma tu pomnikowego dystansu ani przesadnej monumentalności. Gaudí po prostu pracuje. Jest skupiony, jakby za chwilę miał poprawić jakiś szczegół, zmienić linię albo poszukać jeszcze lepszego rozwiązania. To właśnie ten obraz przemówił do mnie najmocniej.

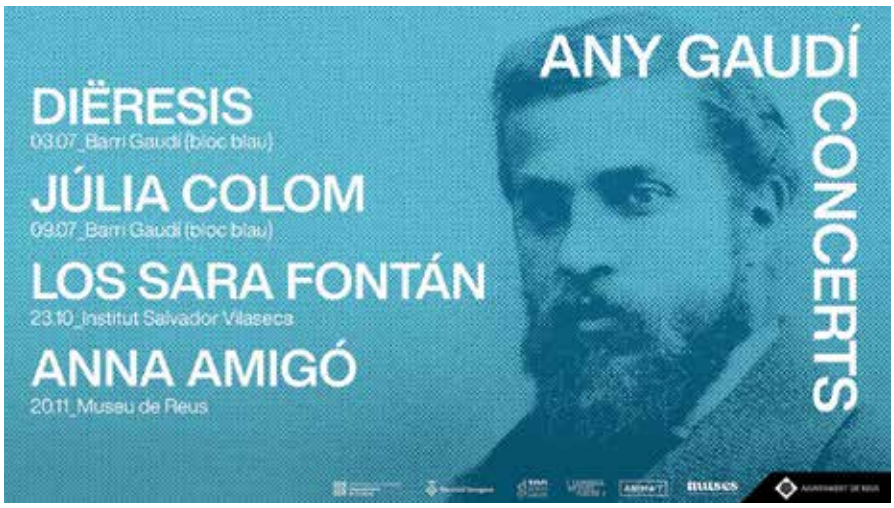
Przez całe zawodowe życie obserwowałem, jak rodzi się sztuka. Widziałem tancerzy, którzy na scenie zachwycali lekkością ruchu, choć za kilkoma minutami występu kryły się lata ćwiczeń, wyrzeczeń i nieustannego doskonalenia warsztatu. W balecie nic nie przychodzi samo. Talent trzeba rozwijać każdego dnia. Patrząc na Gaudíego przy pracy, odnalazłem tę samą prawdę: wielka sztuka wymaga nie tylko wyobraźni, lecz także cierpliwości, dyscypliny i ogromnej pracowitości.

Uwagę przyciągają również szczegóły kompozycji. Obok architekta znajduje się ławka, na której spoczywają kapelusz, orzechy laskowe i różaniec. Te przedmioty pozwalają zobaczyć w Gaudím nie tylko genialnego twórcę, ale również człowieka. Orzechy przypominają o jego związkach z katalońską ziemią, różaniec zaś o wierze, która silnie przenikała jego życie i architekturę.



Twórca pomnika Joan Serramià
FOT. © AJUNTAMENT DE REUS

Podoba mi się także to, że pomnik nie oddziela Gaudíego od przechodniów. Nie jest niedostępnym bohaterem wyniesionym na wysoki cokół. Można podejść blisko, usiąść obok i przez chwilę przyjrzeć się jego pracy. Natomiast kamienna podstawa pomnika, podarowana przez Sagrada Família Construction Board, przedstawia chmurę o falistych kształtach, charakterystycznych dla stylu Gaudíego, inspirowaną motywami zdobiącymi Fasadę Narodzenia bazyliki Sagrada Família.



Lokalizacja pomnika nie jest też przypadkowa. W kościele św. Piotra Gaudí został ochrzczony, a dziś stanął tu pomnik przypominający o początkach jego drogi. 26 czerwca rzeźbę poświęcił arcybiskup Tarragony Joan Planellas. Uroczystości towarzyszyły modlitwa i refleksja nad chrześcijańskim wymiarem życia Gaudíego, którego proces beatyfikacyjny jest w toku.

W Reus lubię to, że miasto nie próbuje udawać Barcelony. Ma własny rytm, spokojniejsze ulice i place, przy których toczy się codzienne życie. Można odwiedzić Gaudí Centre, zajrzeć do kościoła św. Piotra i poznać miejsca związane z młodością architekta. Nie zobaczymy tu jego słynnych realizacji, ale łatwiej zrozumiemy, dlaczego pamięć o nim jest dla mieszkańców tak ważna.

Odchodząc od pomnika, pomyślałem, że Reus nie musi mieć Sagrady Famílii, by opowiadać o Gaudím. Wystarczą to miejsce, stara dzwonnica i postać architekta skupionego nad modelem świątyni. Z dala od barcelońskiego zgiełku łatwiej dostrzec, że nawet największa kariera ma swój początek. A czasem warto do niego wrócić – choćby po to, by lepiej zrozumieć własną drogę.

JANUSZ SMOLIŃSKI



Alanya, lutowy wieczór. Nad morzem wieje chłodny wiatr, promenada pustoszeje, a światła hoteli odbijają się w ciemnej tafli wody. W jednej z bocznych ulic właśnie zakończyła się Msza. Wierni jeszcze przez chwilę rozmawiają przed wejściem do kaplicy. Za moment usiądą razem przy stole podczas agapy – dla wielu z nich to jedyna w miesiącu okazja, by spotkać kapłana i innych katolików. Raz w miesiącu niewielka kaplica św. Jerzego zapełnia się ludźmi, którzy przyjeżdżają nawet z odległości stu kilometrów. W kraju, gdzie katolicy stanowią niewielką mniejszość, wiara nie jest przyzwyczajeniem. Jest świadomym wyborem.

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Być blisko ludzi

O Kościele w Turcji

Z księdzem Dariuszem Białkowskim, posługującym katolikom w Turcji, rozmawia Ireneusz St. Bruski.

Ireneusz St. Bruski: Turcja to ziemia pierwszych wspólnot chrześcijańskich – Efezu, Smyrny, Laodycei czy Tarsu. Jak wyglądała Księdza droga z rodzinnej Bydgoszczy do posługi właśnie w tym miejscu świata?

Dariusz Białkowski: Tak, często mówię, że to Ziemia Święta Kościoła, bo on się tutaj rodził. Nawet Maryja – według tradycji – mieszkała tutaj przez kilka lat, czego śladem jest Meryem Ana Evi [Dom Maryi] niedaleko Efezu.

Moja droga do Turcji była długim rozeznawaniem woli Bożej. Znaczącą rolę odegrali kapucyn br. Bartosz oraz abp Ruggero Franccescini, których odwiedziłem w 2010 roku. Arcybiskup zaproponował mi posługę w Turcji. Odmówiłem, bo nigdy nie chciałem być misjonarzem. Na zakończenie powiedział tylko, że będzie się za mnie modlić, abym jednak tutaj trafił. I – jak się okazało – modlitwa okazała się skuteczna (śmiech).

Pragnienie posługi zrodziło się cztery lata później podczas rekolekcji wielkopostnych, a przyjechałem do Turcji w listopadzie 2016.

I tak to się zaczęło... Jest tu Ksiądz już dziesięć lat. Jak wygląda dziś Kościół katolicki w Turcji widziany od środka?

To mała, ale bardzo żywa wspólnota, która nieustannie się rozwija. W poszczególnych miastach wygląda ona inaczej, jednak wszędzie przydałoby się więcej kapłanów, by lepiej ogarniać to, co jest i to, co się rodzi.

W Izmirze, gdzie posługuję, niewiele jest rodzin chrześcijańskich. Wielu wiernych pochodzi z małżeństw mieszanych lub żyje samotnie. To także kształtuje charakter naszego Kościoła lokalnego.

Turcja bywa wskazywana jako kraj trudny dla chrześcijan. W aktualnym raporcie Open Doors o prześladowaniu chrześcijan, Turcja znalazła się na 41 miejscu na 47. Jak Ksiądz ocenia sytuację z perspektywy codziennej posługi duszpasterskiej?

Żyję tutaj dziesięć lat i ani razu nie spotkałem się z aktem agresji wobec siebie. Podczas nabożeństw, przy wejściu do kościoła zawsze jest policja, co daje wiernym poczucie bezpieczeństwa. Turcja jest krajem laickim i jeśli przestrzega się prawa, nie ma problemów. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ma jakieś „ale”, jednak podobne sytuacje zdarzają się też w Europie i w Polsce.

Moim zdaniem nawet gorzej jest w Europie. Kiedy jestem tu w restauracji i zrobię znak krzyża przed posiłkiem, nigdy nie spotkałem się z negatywną reakcją. W Polsce kilka razy usłyszałem, że nie mam się afiszować ze swoją wiarą.

Nasi wierni generalnie żyją spokojnie. Czasami problemem są relacje w rodzinie, ale czy i w Polsce nie jest podobnie?

Jakie są więc największe wyzwania dla katolików w Turcji?

Najbardziej prozaiczną, ale też najdotkliwszą trudnością jest „geografia”. Wierni potrafią mieć sto, a nawet dwieście kilometrów do najbliższego kościoła. Jeśli nie ma kapłana na miejscu, przez wiele tygodni, a czasem nawet miesięcy, nie mają dostępu do Eucharystii i sakramentu pokuty. W Polsce trudno to sobie wyobrazić.

Drugim wyzwaniem są trudności ekonomiczne. Wielu pracuje od rana do wieczora. W tygodniu jest niewiele osób w kościele. Niedziela staje się jedynym realnym momentem spotkania wspólnoty. Trzeba jednak uszanować to, że ludzie potrzebują odpocząć, pobyć z bliskimi. To trochę utrudnia organizowanie dodatkowych spotkań, które pomagają pogłębiać życie duchowe.

Jest jeszcze trzeci wymiar – bardziej subtelny. Czasami pojawia się niezrozumienie

w rodzinie czy w miejscu pracy. Nie zawsze wprost wrogie, częściej przeradzające się w zdziwienie. Bycie katolikiem nie jest tu kulturową oczywistością, ale świadomym wyborem.

Jest Ksiądz proboszczem katedry w Izmirze – dawnej Smyrnie, jednym z siedmiu Kościołów Apokalipsy. Co znaczy dla Księdza posługa w miejscu tak ważnym dla historii chrześcijaństwa?

Kiedy sobie uświadamiam ten fakt, to przede wszystkim czuję ogromne wyróżnienie, że mogę pracować w takim szczególnym miejscu. Pan Bóg powołał mnie do kapłaństwa w Wielki Piątek, kiedy adorowałem krzyż. Od tamtej chwili czułem szczególną więź ze św. Janem. Dziś jestem rektorem katedry pod jego wezwaniem, w miejscu, gdzie On był, pracował i zmarł. To dla mnie wielka łaska, ale i zadanie, by nie zmarnować dzieła, które On zapoczątkował.

Szczególne miejsce zajmuje tu także św. Polikarp – patron naszej diecezji. Każdego roku przygotowujemy się do jego wspomnienia dziewięciodniową nowenną. To właśnie przy kościele św. Polikarpa znajduje się kuria, gdzie przed laty odbyła się rozmowa, której owocem jest mój pobyt w Turcji.

Czy świadomość posługi w miejscu tak ważnym dla historii chrześcijaństwa wpływa na sposób przeżywania przez Księdza kapłaństwa?

Zdecydowanie tak. W Polsce miałem bardzo dużo zajęć, często brakowało czasu na spokojną modlitwę. Tu czasu jest trochę więcej. Świadomość pracy w Ziemi Świętej Kościoła, ziemi całych pokoleń wielkich świętych i męczenników oraz fakt, że ta wspólnota trwa nieprzerwanie od dwóch tysięcy lat, daje wiele wewnętrznego umocnienia i spokoju.

Tutaj szczególnie wyraźnie widzę, że to Bóg działa. W pierwszej parafii, w której pracowałem, nie było kapłana przez ponad



Comiesięczna liturgia w języku polskim w Alanyi FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



Kaplica ekumeniczna św. Mikołaja w Alanyi FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI



trzy lata. Tam usłyszałem od wiernych: „O mury, ogród i inne sprawy możemy zadbać sami, ale Mszy i spowiedzi nie jesteśmy w stanie sobie zorganizować bez księdza”.

Ile osób tworzy wspólnotę katolicką w Izmirze?

Przy izmirskiej katedrze są cztery wspólnoty.

Pierwsza to ta turecka, która nieustannie się odradza. Jest codzienna adoracja w ciszy przed różańcem, a po różańcu Msza w języku tureckim. Natomiast w niedzielę Msza w południe.

Drugą jest wspólnota anglojęzyczna, skupiająca osoby różnych narodowości – mieszkańców Izmiru, pracowników zagranicznych firm, studentów i turystów. Dla nich celebruję niedzielną Eucharystię przed południem.

Jest także wspólnota polska. Tworzą ją przede wszystkim żołnierze pełniący służbę w ramach struktur NATO wraz z rodzinami, ale również studenci programu Erasmus, osoby pracujące w Turcji, Polacy mieszkający tu na stałe oraz turyści. Dla nich Msza św. sprawowana jest w każdą niedzielę wieczorem.

Czwartą grupę stanowią Filipinki pracujące w Turcji. Ze względu na charakter ich pracy spotykamy się w czwartki – jedyny dzień, kiedy mogą uczestniczyć w liturgii.

Ciąg dalszy na s. 20



☐ **Dariusz Białkowski** – rocznik ’70, polski duchowny rzymskokatolicki pochodzący z Bydgoszczy, który od lat pełni posługę misyjną i duszpasterską w Turcji. Jest rektorem i proboszczem Katedry św. Jana w Izmirze. Oprócz regularnej pracy duszpasterskiej, aktywnie promuje wiedzę o realiach życia chrześcijan w Turcji, głosząc kazania i zbierając fundusze podczas wizyt w Polsce na utrzymanie tamtejszych placówek. W maju 2021 roku podczas oficjalnej wizyty pary prezydenckiej w Turcji, ks. Białkowski został odznaczony przez Prezydenta RP Złotym Krzyżem Zasługi za wybitne zasługi w działalności na rzecz upowszechniania wiedzy o historii chrześcijaństwa oraz za pielęgnowanie polskości i opiekę duszpasterską nad Polonią w Turcji.

Ciąg dalszy ze s. 19

Oprócz Izmiru posługuje Ksiądz także w Alanyi, gdzie się spotykamy. Jak wygląda duszpasterstwo rozproszonej wspólnoty na tak dużym obszarze?

To jedno z największych wyzwań mojej posługi. Do Alanyi mogę przyjeżdżać tylko raz w miesiącu, zawsze w pierwszy wtorek. Wyjeżdżam z Izmiru w poniedziałek, wracam w środę. Sam przejazd trwa ponad osiem godzin w jedną stronę. To już niemal mała pielgrzymka.

W sezonie letnim spotkania niestety się nie odbywają. Muszę pozostać w katedrze, a znalezienie zastępstwa nie jest łatwe.

Od pewnego czasu staramy się zaprosić na wakacje kapłana z Polski, który mógłby odprawiać Msze święte dla polskich turystów i gości zagranicznych. Potrzebne są jednak odpowiednie zgody administracyjne, a ich uzyskanie wymaga czasu. Mam nadzieję, że wkrótce uda się to zrealizować.

Co sprawia, że mimo tak dużych odległości ta posługa jest dla Księdza ważna?



Ks. Dariusz Białkowski w obecności abp. Lorenza Piretto obejmuje urząd proboszcza parafii św. Heleny na Karşıyace w Izmirze, 13 września 2017 FOT. ADB



Abp Ruggero Franccescini (w środku) – włoski duchownym rzymskokatolicki (kapucyn), który przez wiele lat pełnił posługę w Turcji, m.in. w latach 2004-2015 był ordynariuszem w Izmirze FOT. ADB

Przede wszystkim ludzie. Dla nich warto pokonywać nawet setki kilometrów.

Wspólnota w Alanyi stale się rozwija. Tworzą ją osoby mieszkające tutaj na stałe oraz ci, którzy trafili na Riwierę Turecką z różnych stron świata. Znamy się wszyscy – zarówno księża, jak i wierni. Nie jesteśmy dla siebie anonimowi. Wspólnie przeżywamy radości i trudności. Z czasem tworzy się wspólnota o niemal rodzinnym charakterze.

Choć droga jest długa i wymagająca, widzę, że ta obecność – nawet jeśli tylko raz w miesiącu – naprawdę jest dla nich ważna. A dla mnie to piękne doświadczenie Kościoła, który rzeczywiście jest wspólnotą w drodze.

Co jest w tej posłudze najtrudniejsze?

Najtrudniejsze bywa poczucie rozproszenia. Wierni mieszkają daleko od siebie, nie zawsze mogą spotykać się regularnie, dlatego budowanie wspólnoty wymaga czasu i cierpliwości. Niektórym towarzyszy również niezrozumienie w rodzinie czy środowisku pracy. Życie w diasporze wymaga odwagi i głębokiej wiary.

Jednocześnie bardzo budujące jest to, że mimo tych przeszkód wspólnota trwa i stopniowo się umacnia. Część wiernych korzysta z transmisji nabożeństw on-line, podtrzymując w ten sposób duchową łączność z Kościołem. W takich warunkach jeszcze wyraźniej widać, jak wielkim darem jest możliwość swobodnego i regularnego uczestnictwa w życiu parafii – coś, co w Polsce często przyjmujemy jako oczywistość.

Comiesięczne spotkania w Alanyi to jednak coś więcej niż sama Eucharystia...

Zdecydowanie. Po Mszy spotykamy się przy wspólnym stole. Jest czas na rozmowę, wzajemne poznanie się, podzielenie codziennymi radościami i problemami. Odwiedzam także wiernych w ich domach, błogosławię mieszkania, rozmawiam z rodzinami.

Takie spotkania pozwalają nam pogłębiać relacje i dzielić się trudami oraz



Abp Wojciech Piretto, ks. Dariusz Białkowski i jego rodzice oraz księża z rodzinnej Bydgoszczy FOT. ADB



radościami życia poza Polską. Dla niektórych to pierwsza możliwość rozmowy z księdzem w mniej formalnej atmosferze – nie tylko w kościele czy podczas tradycyjnej kolędy.

To bardzo pomaga również w duszpasterstwie. Znacznie łatwiej głosić Ewangelię ludziom, których zna się z ich codziennych doświadczeń. Homilia przestaje być wtedy tylko przygotowanym wcześniej tekstem, a staje się odpowiedzią na konkretne pytania i sytuacje, z którymi żyją wierni.

Na obczyźnie takie więzi mają szczególną wartość. To one sprawiają, że nawet niewielka grupa ludzi naprawdę staje się wspólnotą.

Podobne środowiska polonijne istnieją także w innych częściach Turcji...

Oczywiście. Polskie wspólnoty funkcjonują także w innych częściach tego rozległego kraju – między innymi w Antalyi, Ankarze czy Stambule. Najstarszym i szczególnym miejscem jest jednak Adampol, czyli Polonezköy, gdzie znajduje się kościół pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej, a wielu mieszkańców do dziś mówi po polsku.

Takie środowiska pełnią ważną rolę nie tylko dla samych Polaków. Pomagają podtrzymywać język, tradycję i wiarę, a jednocześnie stają się przestrzenią dialogu z lokalnym środowiskiem. Często współpracują z tureckimi organizacjami oraz wspólnotami innych narodowości, organizując koncerty, kiermasze, wystawy czy wydarzenia kulturalno-kulinarne. Pokazują, że katolicyzm ma wymiar powszechny – zakorzeniony w konkretnej kulturze, a jednocześnie otwarty na innych.

Jak dziś funkcjonuje Kościół katolicki w Turcji? Jak układają się jego relacje z państwem, innymi Kościołami i społecznością muzułmańską?

Kościół katolicki w Turcji wciąż nie posiada osobowości prawnej. W wielu przypadkach nie jest także formalnym właścicielem świątyń i budynków, z których korzysta. Od lat prowadzone są rozmowy mające uregulować tę sytuację. Widzimy otwartość ze strony władz, ale jest to proces wymagający cierpliwości.

Relacje z innymi chrześcijanami są dobre. Często celebrujemy wspólnie święta i uroczystości, które są ważne dla naszych Wspólnot. Staramy się mimo różnorodności pokazywać, że jesteśmy rodziną uczniów Chrystusa. Co prawda, na chwilę obecną trochę podzieloną, ale z pragnieniem bycia razem.

Kontakty ze społecznością muzułmańską również układają się poprawnie. Mają one głównie charakter sąsiedzki i okazjonalny – szczególnie w czasie Ramazanu [arab. Ramadanu] oraz Bożego Narodzenia – i opierają się na wzajemnym szacunku.



Katedra św. Jana w Izmirze FOT. © DARIUSZ WIŚNIEWSKI



Niedawno uczestniczył Ksiądz w spotkaniu z papieżem Leonem XIV podczas jego pielgrzymki do Turcji. Jakie znaczenie miała ta wizyta dla miejscowych katolików?

To było bardzo głębokie doświadczenie. A dla mnie szczególnie ważny moment. Już wcześniej, zanim rozpocząłem pracę w Turcji, w tej samej katedrze w Stambule, uczestniczyłem w spotkaniu z papieżem Franciszkiem.

Ciąg dalszy na s. 22

Ciąg dalszy ze s. 21

Wówczas zapadła ostateczna decyzja dotycząca mojej posługi – więc obecnie była to też okazja do refleksji nad tym, czego Bóg dokonał w moim życiu.

Dla naszej wspólnoty papieska pielgrzymka była przede wszystkim ogromnym umocnieniem. Żyjemy jako niewielka mniejszość, dlatego sama obecność Ojca Świętego oraz jego słowa miały ogromne znaczenie. Wielu wiernych nie kryło wzruszenia.

Przed laty papież Franciszek celebrował Mszę w katedrze stambulskiej dla około pięciuset osób. Tym razem, po raz pierwszy w historii, Msza odbyła się w hali sportowej dla blisko czterech i pół tysiąca wiernych. To silny znak i wielkie umocnienie dla tych, którzy żyją tutaj w poczuciu liczebnej mniejszości. Kto wie? Może następnym razem będzie to nawet stadion...

Jakich owoców tej wizyty można się spodziewać?

Najważniejszym owocem już dziś jest doświadczenie jedności.

Turcja jest ogromnym krajem i na co dzień nasze wspólnoty żyją daleko od siebie. Spotkanie z papieżem pozwoliło wielu osobom po raz pierwszy uświadomić sobie, jak liczna i różnorodna jest wspólnota katolików żyjących w całym kraju.

Ojciec Święty mówił o Kościele jako o moście – obrazie, który bardzo poruszył uczestników spotkania. Myślę, że do tych słów będziemy jeszcze długo wracać.

Jeśli chodzi o relacje z państwem, na konkretne efekty trzeba jeszcze poczekać. Trwają rozmowy, o których nie mogę mówić szerzej, ale można dostrzec oznaki nowego otwarcia. Czas pokaże, jakie przyniesie ono owoce.

Co najbardziej umacnia Księdza w codziennej posłudze w Turcji?

Przede wszystkim modlitwa. Bez niej trudno byłoby wytrwać. Turcja nauczyła mnie również większego zaufania Bogu. Tutaj wyraźniej widać, że to nie ksiądz buduje Kościół, ale Chrystus. My jesteśmy tylko narzędziami.

Posługa w miejscu, gdzie rodziły się pierwsze wspólnoty chrześcijańskie, każdego dnia przypomina mi, że jestem częścią historii znacznie większej ode mnie. To daje pokój i pomaga zachować właściwe proporcje. Patrząc na wiarę tych niewielkich wspólnot, sam również umacniam się w swoim powołaniu.

A poza tym po prostu polubiłem Izmir. Ponad trzysta słonecznych dni w roku pomaga zachować pogodę ducha i dodaje energii do codziennej pracy.



Pielgrzymka Leona XIV do Turcji, 27-30 listopada 2025. Wizyta w Błękitnym Meczecie, obok papieża Leona XIV: Safi Arpagus (po prawej stronie papieża, w jasnym stroju i białym nakryciu głowy) – szef tureckiego urzędu ds. religijnych (Diyanet) i Emrullah Tuncel (po lewej stronie papieża, w ciemnym garniturze i czerwonym krawacie) – mufti Stambułu, pełniący funkcję gospodarza i przewodnika po świątyni, 29 listopada 2025

FOT. © VATICAN MEDIA



W towarzystwie ekumenicznego patriarchy Konstantynopola Bartłomieja I oraz innych duchownych podczas wspólnej wizyty i modlitwy ekumenicznej w Izniku (dawnej Nicei), 28 listopada 2025 EWTN.PL



Msza święta na Volkswagen Arena w Stambule, 29 listopada 2025 FOT. © EWTN.PL

Czego Kościół w Polsce mógłby nauczyć się od wspólnot żyjących w mniejszości?

Myślę, że większej troski o relacje.

Małe wspólnoty w Turcji pokazują, jak mocno wiara opiera się na bliskich relacjach i wzajemnym wsparciu. To doświadczenie mogłoby być inspiracją dla Kościoła w Polsce – by bardziej dbać o więzi między wiernymi, nie tylko o formalne struktury.

Św. Jan Paweł II mówił, że niedzielna Eucharystia jest „wspólnotą wspólnot”. To bardzo trafne określenie. W parafii mogą działać różne grupy, ale wszyscy spotykają się przy jednym ołtarzu. I chyba do takiego modelu trzeba nam się zbliżyć. Z tego co wiem od księży, czas pandemii oczyścił kościoły z tzw. chrześcijan z przyzwyczajenia. Sam, gdy jestem w Polsce dostrzegam mniejszą liczbę wiernych w świątyniach. Jednocześnie, ci którzy zostali, są bardziej świadomi, wymagający i zaangażowani. Pewnie to jest przyszłość.

Dlatego obok kapłanów potrzebni są także świeccy liderzy, którzy potrafią podejmować odpowiedzialność za innych. Najważniejsze jednak pozostaje jedno: być blisko ludzi. To od tego zaczyna się każda żywa wspólnota.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Spotkanie w Enberi Cafe dobiega końca. Na stole stoją jeszcze niewielkie szklaneczki po tureckiej herbacie. Ktoś żegna się po polsku, ktoś po turecku. Za chwilę wszyscy wrócą do swoich domów. Następnego ranka ksiądz Dariusz ponownie wyruszy do Izmiru. Za miesiąc znów przyjedzie do Alanyi. Dla wielu osób będzie to kolejna długa podróż. Ale nikt nie będzie liczył kilometrów. Tutaj odległości mierzy się nie kilometrami, lecz pragnieniem, by znów spotkać się przy jednym stole i jednym ołtarzu.

Rozmawiał IRENEUSZ ST. BRUSKI



Ks. Dariusz Białkowski podczas liturgii FOT. ARCHIWUM DB





Pielgrzymi w katedrze izmirskiej: Prymas Polski abp Wojciech Polak z kapłanami i klerykami diecezji gnieźnieńskiej FOT. © KLERYCY.AG



Alanya, agapa dobiegła końca, na koniec pamiątkowe zdjęcie, 2 lutego 2026 FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

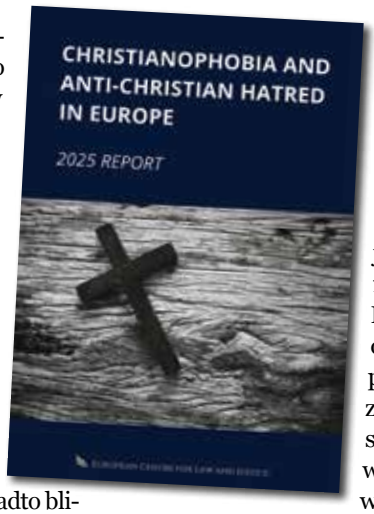
Europa: Przemoc wobec chrześcijan

Opublikowany w 2025 roku raport *European Center for Law and Justice* (ECLJ) wskazuje na wzrost liczby fizycznych ataków na chrześcijan w Europie. Według przywołanych w nim danych w 2024 roku odnotowano 2 211 incydentów wymierzonych w chrześcijan ze względu na ich wiarę, w tym 274 napaści fizyczne. Autorzy zwracają również uwagę na niedoszacowanie skali zjawiska oraz mniej widoczne formy dyskryminacji i marginalizacji.

Więcej ataków fizycznych

Raport *Christianophobia and Anti-Christian Hatred in Europe* opiera się m.in. na danych Obserwatorium ds. Nietolerancji i Dyskryminacji Chrześcijan w Europie (OIDAC), obejmujących 35 państw. Zestawienie pokazuje interesującą zmianę: choć ogólna liczba odnotowanych incydentów była niższa niż w 2023 roku, wzrosła liczba napaści fizycznych.

W 2023 roku zarejestrowano 2 444 incydenty, w tym 232 napaści fizyczne. Rok później liczba wszystkich przypadków spadła do 2 211, natomiast ataków fizycznych było już 274. Autorzy raportu zaznaczają przy tym, że na zmianę statystyk wpłynęła m.in. zmiana metodologii stosowanej w Wielkiej Brytanii.



Wśród odnotowanych zdarzeń znalazły się także akty wandalizmu, podpalenia, profanacje miejsc kultu, groźby oraz ataki na duchownych i wiernych. OIDAC zarejestrowało ponadto blisko 900 włamań i kradzieży w miejscach kultu, klasyfikowanych odrębnie.

Nie mniej istotny od samych liczb jest problem ich wiarygodności. Część zdarzeń nie jest zgłaszana przez poszkodowanych, inne zaś nie są przez organy ścigania kwalifikowane jako przestępstwa związane z nienawiścią religijną. Rzeczywista skala zjawiska może być więc większa niż wynikałoby to z dostępnych statystyk.

Nie tylko przemoc

ECLJ zwraca uwagę, że wrogość wobec chrześcijan nie musi przybierać formy fizycznego ataku. Raport mówi również o mniej widocznych przejawach marginalizacji – drwinach, presji społecznej, problemach w miejscu pracy czy obawach przed publicznym wyrażaniem przekonań religijnych.

Autorzy przywołują badanie The Costs of Keeping the Faith, przeprowadzone w Wielkiej Brytanii przez Voice for Justice UK. Wynika z niego, że 56 proc. ankietowanych chrześcijan spotkało się z drwinami lub odrzuceniem z powodu swoich przekonań religijnych. Wśród osób poniżej 35. roku życia odsetek ten wyniósł 61 proc. Z kolei 18 proc. respondentów deklarowało doświadczenie bezpośredniej dyskryminacji ze względu na wiarę, szczególnie w miejscu pracy.

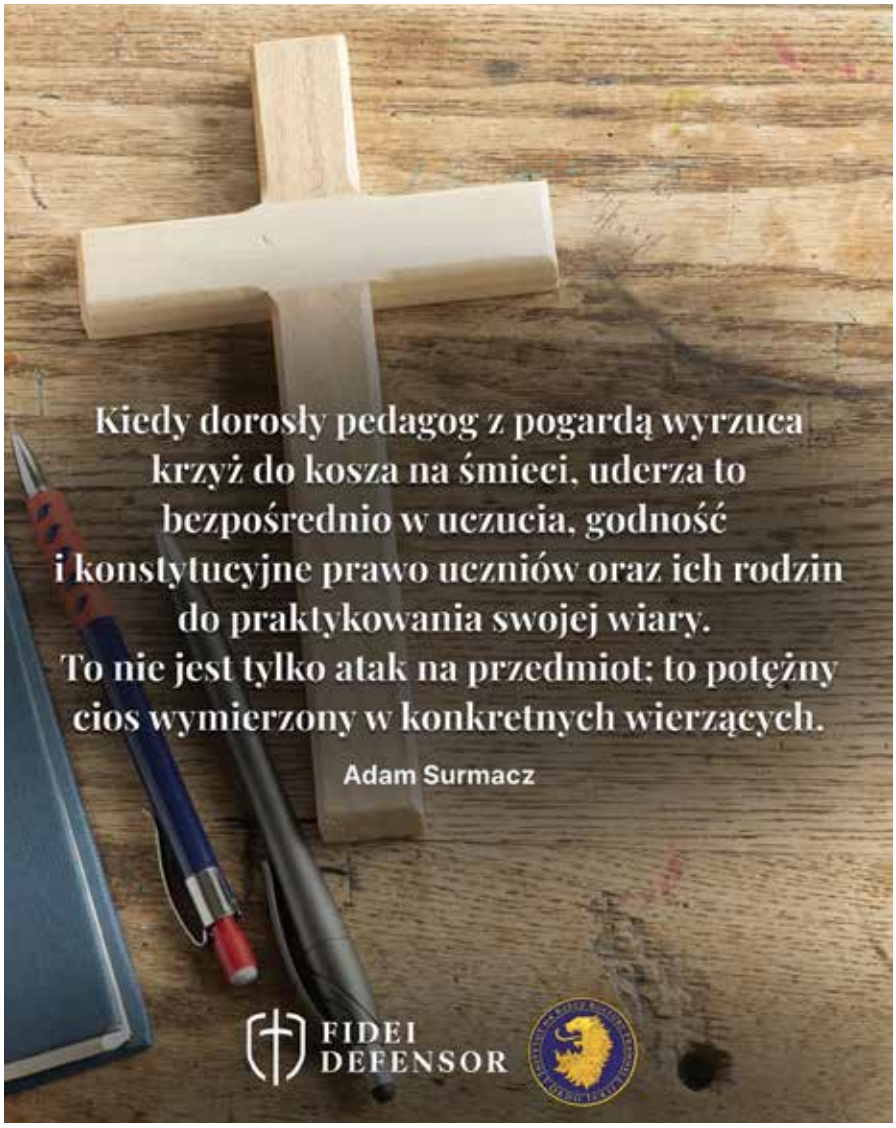
Raport wskazuje także na przypadki autocenzury, wynikającej z obawy przed reakcją otoczenia, oskarżeniem o „mowę nienawiści" czy konsekwencjami zawodowymi. Wspomina również o sporach dotyczących publicznego wyrażania przekonań religijnych, korzystania z klauzuli sumienia oraz obecności symboli chrześcijańskich w przestrzeni publicznej.

Są to zjawiska trudniejsze do zmierzenia niż akty przemocy. Nie zawsze prowadzą do wszczęcia postępowania czy pojawienia się w policyjnych statystykach, mogą jednak wpływać na sposób, w jaki osoby wierzące funkcjonują w życiu społecznym.

Polska w raporcie

Wśród państw wymienionych w raporcie znalazła się również Polska – obok m.in. Francji, Niemiec, Hiszpanii, Włoch, Wielkiej Brytanii i Austrii. W odniesieniu do naszego kraju przywołano 78 incydentów odnotowanych przez organizacje pozarządowe.

Raport wykorzystuje także wyniki badania Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego przeprowadzonego wśród niemal tysiąca polskich księży. 49,7 proc. respondentów zadeklarowało, że w 2024 roku doświadczyło agresji. Najczęściej były to drwiny, obelgi i groźby – wskazało je 41,6 proc. badanych.



Ciąg dalszy na s. 26

Światowy Indeks Prześladowań 2026

Open Doors
W służbie prześladowanym chrześcijanom







»Czy to, gdy byliście wystawieni publicznie na zniewagi i udręki, czy też, gdy wiernie staliście przy tych, z którymi się tak obchodzono.« **Hbr 10.33**

Kraje największych prześladowań

W 78 krajach około 388 mln chrześcijan jest poddanych prześladowaniom i dyskryminacji z powodu wiary w Chrystusa. W 50 krajach Światowego Indeksu Prześladowań poziom prześladowań jest wysoki lub ekstremalnie wysoki. Dotyka on około 315 mln chrześcijan z 740 mln chrześcijan zamieszkujących kraje ŚIP.

Każdego roku Open Doors określa intensywność prześladowań w pięciu obszarach życia. W związku z zarejestrowanymi aktami przemocy wobec chrześcijan, dla każdego kraju obliczany jest indeks, który umożliwia umiejscowienie kraju w rankingu. Więcej informacji na temat metodologii ŚIP na tylnej okładce lub na stronie: **www.opendoors.pl/metodologia.**

Stopień prześladowań według punktów ŚIP:
● ekstremalne (81–100 punktów) ● bardzo wysokie (61–80 punktów)

1. Korea Płn. 97
2. Somalia 94
3. Jemen 93
4. Sudan 92
5. Erytrea 90
6. Syria 90
7. Nigeria 89
8. Pakistan 87
9. Libia 87
10. Iran 87
11. Afganistan 86
12. Indie 84
13. Arabia Saudyjska 82
14. Mjanma 81
15. Mali 81
16. Burkina Faso 80
17. Chiny 79
18. Irak 79
19. Malediwy 79
20. Algieria 77
21. Mauretania 76
22. RŚA 75
23. Maroko 75
24. Kuba 73
25. Uzbekistan 73
26. Niger 72
27. Tadżykistan 72
28. Laos 72
29. DRK 72
30. Meksyk 71
31. Tunezja 71
32. Nikaragua 71
33. Bangladesz 71
34. Bhutan 71
35. Turkmenistan 71
36. Etiopia 70
37. Kamerun 70
38. Oman 70
39. Mozambik 69
40. Kirgistan 68
41. Turcja 68
42. Egipt 68
43. Komory 68
44. Katar 67
45. Kazachstan 67
46. Nepal 67
47. Kolumbia 66
48. Czad 66
49. Jordania 65
50. Brunei 65

Open Doors apeluje o modlitwę za prześladowanych chrześcijan oraz wsparcie.
Dowiedz się więcej!: **www.opendoors.pl/sip**

Ciąg dalszy ze s. 24

Szczególnie wymowne są jednak dane dotyczące zgłaszania takich przypadków. Ponad 80 proc. księży nie zgłaszało incydentów. Wśród powodów wymieniano przede wszystkim przekonanie, że zdarzenie nie było wystarczająco poważne (46,2 proc.), obciążenia administracyjne (22,6 proc.) oraz brak zaufania do władz (14,6 proc.).

Według 85,9 proc. uczestników badania agresja wobec księży wzrosła od 2014 roku. Jako najważniejsze czynniki sprzyjające temu zjawisku wskazywano negatywny wizerunek duchownych w mediach (96,4 proc.) oraz napiętą sytuację polityczną i społeczną (91,1 proc.).

Polskie dane pokazują więc ten sam problem, który pojawia się w raporcie na poziomie europejskim: statystyki mogą nie obejmować wszystkich przypadków. Jeżeli znaczna część zdarzeń nie jest zgłaszana, trudno na ich podstawie określić rzeczywistą skalę zjawiska.

Skąd się bierze wrogość?

Autorzy raportu próbują również odpowiedzieć na pytanie o przyczyny narastającej – w ich ocenie – wrogości wobec chrześcijaństwa. Wskazują m.in. na sekularyzację, radykalne formy laicyzmu oraz konflikty ideologiczne dotyczące miejsca religii w przestrzeni publicznej. Zwracają uwagę także na usuwanie symboli chrześcijańskich z przestrzeni publicznej czy przedstawianie chrześcijaństwa w sposób ośmieszający.

ECLJ wskazuje ponadto na różne środowiska, których przedstawiciele – w przypadkach, w których udało się ustalić motywy lub tożsamość sprawców – mieli dopuszczać się aktów wrogości wobec chrześcijan. Wymienia w tym kontekście m.in. radykalnych islamistów, bojowo nastawione środowiska laickie oraz część skrajnie lewicowych aktywistów.

W raporcie pojawia się również zarzut nierównego traktowania chrześcijan w ramach europejskiego systemu ochrony wolności religijnej. Autorzy wskazują na różnice w podejściu do wypowiedzi dotyczących różnych religii, przywołując m.in. orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawach Rabczewska przeciwko Polsce oraz I.A. przeciwko Turcji.

Te oceny należy jednak traktować jako stanowisko autorów raportu, a nie jako bezsporne ustalenia instytucji europejskich. ECLJ jest organizacją zajmującą się m.in. ochroną wolności religijnej i rzecznictwem w tym obszarze, a jej dokument nie jest raportem Unii Europejskiej ani organu państwowego.

Otwarte pytania

Raport postuluje m.in. lepsze i bardziej jednolite gromadzenie danych dotyczących przestępstw wymierzonych w chrześcijan, skuteczniejszą ochronę miejsc kultu oraz stworzenie bardziej spójnych mechanizmów reagowania na przemoc i dyskryminację ze względu na wiarę.

Dokument opublikowany w 2025 roku dotyczy przede wszystkim danych za rok 2024. Nie daje więc jeszcze odpowiedzi na pytanie, czy wzrost liczby napaści fizycznych był jednorazowym wahnięciem, czy początkiem dłuższej tendencji. Pokazuje natomiast problem, którego nie można sprowadzić wyłącznie do statystyk: część aktów przemocy i dyskryminacji może pozostawać poza oficjalnym obrazem zjawiska.

Dlatego jednym z najważniejszych pytań pozostaje nie tylko to, ile takich przypadków ma miejsce, ale również ile z nich nie zostaje odnotowanych i z jakich powodów. Dopiero bardziej porównywalne dane z kolejnych lat pozwolą ocenić, czy obserwowany wzrost przemocy fizycznej wobec chrześcijan jest trwałym europejskim trendem. ISB

Polska: Rośnie liczba przestępstw z nienawiści

Instytut Ordo Iuris przekazał Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) raport dokumentujący przypadki przestępstw z nienawiści wobec chrześcijan w Polsce w 2025 roku. Według raportu odnotowano 88 takich przypadków – o cztery więcej niż rok wcześniej. Najczęściej były to akty wandalizmu oraz niszczenia miejsc i obiektów kultu religijnego.

Wśród zdarzeń opisanych w raporcie znalazło się m.in. oblanie benzyną i podpalenie przez dwóch mężczyzn rzeźby przedstawiającej Ostatnią Wieczerzę w Lublinie. W Mieścisku podczas Mszy Świętej północnej mężczyzna groził księdzu pobiciem, zniszczył krucyfiks i za jego pomocą zrzucił naczynia liturgiczne z ołtarza. W Lubaczowie, podczas Mszy w Boże Ciało, mężczyzna wtargnął do prezbiterium i rzucił butelką w kierunku tabernakulum. Odnotowano również przypadki agresji wobec duchownych – m.in. podczas wizyt duszpasterskich w Sieradzu i Iławie. Ponadto, w marcu minionego roku nieznany mężczyzna usiłował rozbić siekierą drzwi na plebanię parafii na warszawskiej Pelcowiźnie.

Raport obejmuje także liczne przypadki wandalizmu i niszczenia przedmiotów kultu religijnego. Wśród nich znalazło się m.in. zniszczenie figury Matki Bożej w Pruszczu Gdańskim, dewastacja dwóch XIX-wiecznych kapliczek w Swoszowej oraz uszkodzenie figury Maryi przy Kapliczce Kurierskiej w lasach Nadleśnictwa Rymanów. W minionym roku zdewastowano również pomnik św. Jana Pawła II w Częstochowie oraz krzyż greckokatolickiej cerkwi w Legnicy. Do raportu włączono również przypadek znieważenia krzyża w szkole podstawowej w Kielnie, gdzie podczas zajęć nauczycielka języka angielskiego wyrzuciła do kosza wykonany z plastiku krzyż.

– W raporcie za miniony rok odnotowujemy wzrost przestępstw motywowanych nienawiścią wobec chrześcijan. Dokumentowanie tych przypadków jest niezwykle istotne, gdyż, wbrew narracji środowisk lewicowo-liberalnych, akty nienawiści względem chrześcijan w Polsce są realnym problemem. W zwalczaniu tego zjawiska kluczowe znaczenie mają zdecydowana reakcja ze strony organów ścigania, jak również stanowczy sprzeciw przedstawicieli władz publicznych oraz liderów opinii i stanowcze potępianie nienawiści wobec chrześcijan. Z tego względu za niepokojące należy uznać zamiary rządu Donalda Tuska dotyczące usunięcia kary pozbawienia wolności za obrazę uczuć religijnych. Ochrona wiary chrześcijańskiej w polskim systemie prawnym musi być realna – zauważa Bartosz Florek z Centrum Interwencji Procesowej Instytutu Ordo Iuris, autor tegorocznego raportu.

OBWE, za pośrednictwem Biura Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka (ODIHR), od lat monitoruje przestępstwa z nienawiści w państwach uczestniczących w organizacji, w tym przypadki motywowane uprzedzeniami religijnymi. Od 2015 roku w procesie tym uczestniczy również Instytut Ordo Iuris, przekazując informacje dotyczące przypadków wymierzonych w chrześcijan w Polsce.

Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie od kilku lat systematycznie prowadzi monitoring oraz analizy dotyczące skali przestępstw z nienawiści wobec różnych grup społecznych. W działania te od 2015 roku aktywnie włącza się Instytut Ordo Iuris, dokumentując akty nienawiści wobec chrześcijan w Polsce.

Instytut Ordo Iuris zapewnia również profesjonalną i bezpłatną pomoc prawną wszystkim wierzącym, których prawa są naruszane ze względu na ich wyznanie. Zgłoszenia są przyjmowane pod adresem: interwencja@ordoiuris.pl. IOI

Chrześcijańska Europa – zagrożenia i poetycka obrona



FOT. © ALESSANDRO DI MEO / REUTERS



KONRAD SUTARSKI

Europa zatraca swój dotychczasowy charakter, a wiara chrześcijańska – szczególnie w Europie Zachodniej – przestaje być ważna, przestaje wskazywać ludziom kierunek moralny.

Nowe zagrożenia

Ostatnio, w okresie pandemii, w latach 2020-2022, kiedy całe społeczeństwa zamykały się w sobie, wydawałoby się, iż czas się zatrzymał, zamarł. Tymczasem pod tą osłoną statki i łodzie nieustannie przywoziły nieproszonych przybyszów do Europy, powiększała się, głównie islamska, ludność krajów Zachodu, rozrastały się tam obce kulturowo getta, w których już panuje prawo szariatu, coraz więcej chrześcijańskich kościołów jest zamienianych na meczety, coraz więcej ustępstw czyni się dla wyznawców Allacha. Bronić się przed tym naporem próbuje już tylko nasza część kontynentu (płot na południowej granicy Węgier, wspólne antybrukselskie stanowisko krajów Grupy Wyszehradzkiej).

Równocześnie sączy się zza Atlantyku antychrześcijańska ideologia genderowska i ideologia woke, rozprzestrzeniając się jak rak po całej Europie, ubierając się w szaty pozwalającego na wszystkie perwersje neoliberalizmu, wchodząc także do tradycyjnie tak chrześcijańskich krajów jak Polska i Węgry. Propagują ją dotowane z zagranicy organizacje pozarządowe, rozplenia się na uczelniach wyższych, w szkołach, a nawet próbuje się ją wprowadzać do przedszkoli. Ulega rozbiciu dotychczasowy system wartości, aby i chrześcijanie przestali wiedzieć, co dobre, a co złe.

Dziedzictwo Europy

Po wielkiej wędrówce ludów, przybyłych w pierwszym tysiącleciu po Chrystusie z Azji do Europy – Germanów, Hunów, a wreszcie, pod koniec IX stulecia, Węgrów – nastąpiła etniczna, a z biegiem czasu także kulturowa i religijna stabilizacja europejskiego kontynentu, który od tego czasu nie doświadczał już silniejszych ruchów ludnościowych i stał się w miarę jednolitym etnicznie konglomeratem państw chrześcijańskich o grecko-rzymskich podstawach kulturowych.

Jedyne istotne rozbicie tej jednolitości (ale bez ruchów migracyjnych) zaistniało w początkach drugiego tysiąclecia – był nim rozłam w Kościele chrześcijańskim, który podzielił się (symbolicznie w roku 1054) na Zachodni – obrządku łacińskiego – oraz Wschodni – prawosławny, zaś w pierwszej połowie XVI stulecia reformatorskie ruchy ewangelickie (luteranizm – 1517, anglikanizm – 1534, kalwinizm – 1536) doprowadziły do oddzielenia się na Zachodzie znacznych grup ludnościowych od podlegających papieżowi katolików.

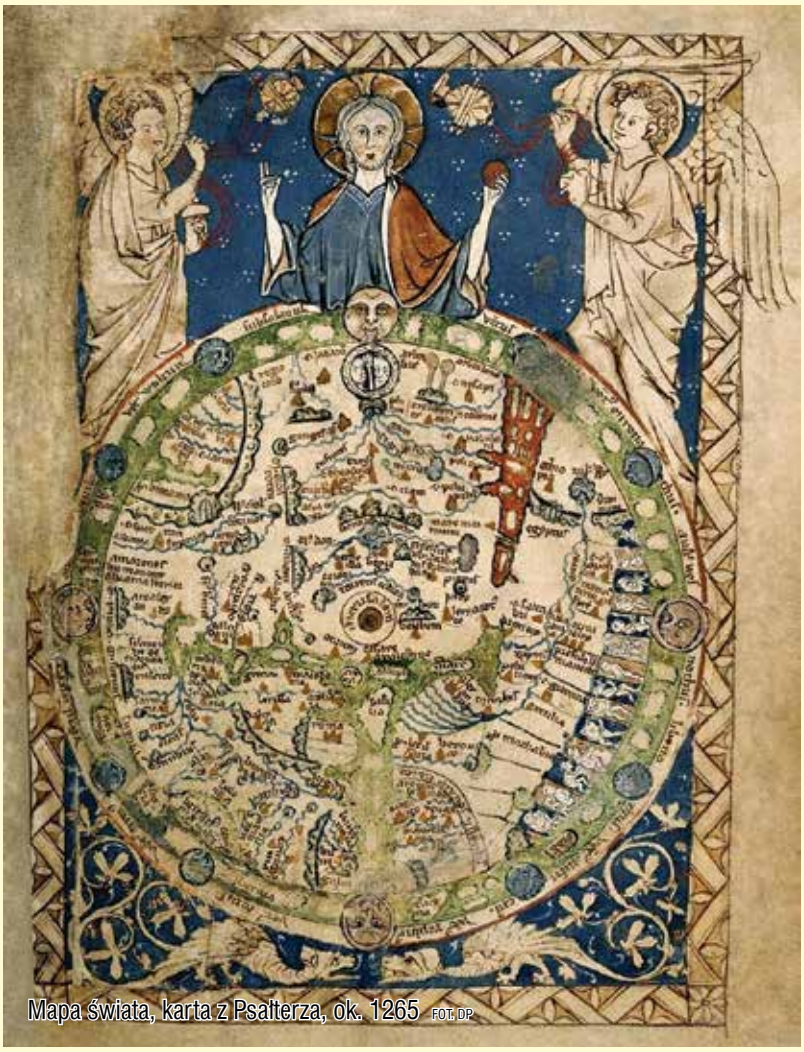
Tak ukształtowana struktura państw europejskich utrzymała się aż do czasów dzisiejszych (do przełomu wieków XX i XXI), a w nią wbudowały się Polska i Węgry w 2. połowie X stulecia, po przyjęciu chrześcijaństwa: Polska w 966, a Węgry w 972 roku (po roku 1054 było to chrześcijaństwo rytu rzymskiego). I właśnie ta Europa musiała przeciwstawiać się w ciągu całego drugiego tysiąclecia szeregowi zagrożeń (tatarskich, imperium osmańskiego), mogących doprowadzić do jej potrójnego przeobrażenia: religijnego, kulturowego oraz etnicznego, a więc do jej cywilizacyjnego unicestwienia.

Jakże jednak świat zmienił się w ubiegłym stuleciu. Moje dzieciństwo – tak jak życie wszystkich Polaków i jak życie całej Europy – zostało kompletnie potargane przez nazizm. Okres młodości przeżyłem, podobnie jak cała Europa Wschodnia, pod chmurami drugiego, morderczego systemu totalitarnego, jakim był komunizm. Po upadku i tego systemu oraz po cezurze lat 1989-1990 wydawało się, że następuje okres szczęśliwości, stopniowe łączenie się naszych krajów, uwolnionych z oków komunizmu, z państwami Europy Zachodniej, poprzez wejście do traktatu NATO i do Unii Europejskiej. A więc miało to być zapewnienie bezpieczeństwa, spokoju i stopniowego wzrostu dobrobytu.

Ciąg dalszy na s. 28

Ciąg dalszy ze s. 27

Miało tak być pomimo ostrzeżenia jednego z założycieli Wspólnoty Węgla i Stali (poprzednika Unii Europejskiej) – francuskiego ministra spraw zagranicznych Roberta Schumana – iż „Europa albo pozostanie chrześcijańska, albo jej w ogóle nie będzie". Mówił on tak już w połowie ubiegłego wieku, kiedy to – naturalny prąd umysłowy ludzkości – liberalizm, powstały we Francji w końcu XVIII stulecia, przekształcił się w antychrześcijańską, ateistyczną rewolucję, a spotęgował, szczególnie od ubiegłego wieku, od końca II wojny światowej, atakiem na zachodnie kraje naszego kontynentu, a więc na europejską kolebkę cywilizacji chrześcijańskiej, chrześcijańskiego sposobu życia i myślenia, dążąc do ich unicestwienia.



Mapa świata, karta z Psałterza, ok. 1265 FOT. DP.

Nastąpiło to pod wpływem magii pieniądza, stając się na przełomie wieków XX i XXI nowym, trzecim systemem totalitarnym – globalizmem, dążącym do przejęcia władzy nad światem, poczynając od Europy.



/ Wydarzenia / Świat / SPOŁECZEŃSTWO

Klęska integracji w Europie

Największe kraje Unii zamierzają zmienić swoją politykę wobec mniejszości

Wysadzenie w powietrze w 2005 roku przez wychowanego w Wielkiej Brytanii terrorystę pochodzenia muzułmańskiego piętrowego autobusu, jednego z londyńskich symboli, było dla wielu Brytyjczyków dowodem na porażkę polityki wielokulturowości

FOTO EAST NEWS

Utrata tożsamości

Podsumowując ten ogólny stan, trzeba stwierdzić, że Europie zagraża globalistyczna, neoliberalna polityka światowej elity finansowej. Jej celem jest gospodarcze obezwładnienie i podporządkowanie sobie poszczególnych krajów i całego kontynentu europejskiego, a także zastąpienie kultur, religii chrześcijańskich i tradycji narodowych przez idące zza Atlantyku, przynoszące im zagładę prądy.

Poza tym olbrzymia i nasilająca się nielegalna wędrówka do Europy ludów o zupełnie innej kulturze i innej religii (jak islam, nietolerancyjnej w stosunku do pozostałych wierzeń) już obecnie prowadzi do powstawania zasadniczych zmian w strukturach etnicznych, kulturowych i religijnych Europy, co zauważalne jest w szeregu zachodnich krajów tego kontynentu (jak Niemcy, Francja, Szwecja, Belgia czy Holandia), a docelowo miałyby być to również państwa Europy Środkowo-Wschodniej.

Nowoczesna wędrówka ludów dni dzisiejszych – rozpoczęta po ponad tysiącu lat od poprzedniej – to gigantyczne przedsięwzięcie, wymagające tym razem niesłychanie wielkich nakładów finansowych oraz rozbudowanych międzynarodowo organizacji, połączonych z przekupstwem polityków, naukowców oraz mediów, by stworzyć przekonanie, iż jest to jedyna – także demograficzna – droga dalszego rozwoju świata.

Niebezpieczeństwa zagrażającego Europie nie można zatem rozumieć inaczej, jak tylko jako prowadzony pięcioma głównymi kanałami – politycznym, gospodarczym, kulturowym, religijnym i migracyjno-osiedleńczym – zmasowany atak ukrytych światowych, globalistycznych elit finansowych na tradycyjną Europę narodów chrześcijańskich, a w tych ramach i na Unię Europejską jako wspólnotę europejskich narodów, celem zmiany ich tożsamości.

Opiera się tym zamiarom przede wszystkim już tylko środkowo-wschodnia część kontynentu oraz Włochy i Hiszpania, jednak już bez Polski, w której rządy w roku



Meczety we Francji – rozmieszczenie i liczba w 1975 r. oraz pół wieku później

2023 przejęła antychrześcijańska koalicja prowadzona przez Platformę Obywatelską. Natomiast ostatnio, w 2024 roku, po zmianie prezydencji w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, pojawił się w osobie Donalda Trumpa nowy, silny sprzymierzeniec chrześcijan.

Nie pozwólmy zatem, aby w całej Europie zapanował bezbożny ultraliberalizm Zachodu ze wszystkimi jego dewiacjami, ani też, aby wtargnęły obce Europie, azjatycko-afrykańskie wyznania, jak islam. Wtedy Europa przestałaby być Europą – z najbardziej tolerancyjną, przyjazną innym ludziom religią. Wszak żadna inna nie posiada, jako czynnika wskazującego prawidłową drogę, moralizującego wyrażenia: „miłuj bliźniego, jak siebie samego".

Poezja w obronie

W związku z powyższym, w 2020 roku postanowiłem – jako polski poeta mieszkający od sześćdziesięciu lat na Węgrzech – zaapelować do poetów obu moich krajów, abyśmy wspólnym wysiłkiem ducha i narzędzi pisarskich przyczynili się również do obrony Europy, stwarzając wspólnymi siłami antologię poetycką *Na Anioł Pański biją dzwony* w obronie chrześcijańskiej Europy.

Wszak pisarze i poeci – którzy potrafią docierać w trakcie aktów twórczych, niczym nieskrępowaną wyobraźnią, do samych głębin istnienia i, posługując się językiem literackim, językiem poezji jako mową szczególną, pełną przesyłanej wirtualnie światu skondensowanej ekspresji i duchowego dynamitu, są w stanie najskuteczniej poruszać serca i umysły, wzywać do działania.

Jednocześnie te dwa narody – Polska i Węgry – najbardziej chrześcijańskie w Europie, zawiązując głęboką przyjaźń trwającą ponad tysiąc lat, broniły najsilniej i najdłużej kulturowej i etnicznej tożsamości chrześcijańskiej Europy, począwszy od pierwszej inwazji tatarskiej w 1241 roku.

Polska jest głównie katolicka, podczas gdy na Węgrzech istnieją trzy wyznania chrześcijańskie, żyjące w ekumenicznej zgodzie – katolickie, kalwińskie i ewangelickie. Ta antologia – być może rozszerzona w przyszłości na całą Europę – ma na celu zebranie poezji europejskich pisarzy chrześcijańskich, niezależnie od tego, czy są katolikami, grekokatolikami, protestantami czy prawosławnymi.

Obecnie zawiera ona tylko wiersze i eseje pisarzy polskich i węgierskich, niezależnie od tego, do których organizacji literackich należą lub czy nie należą do żadnej.

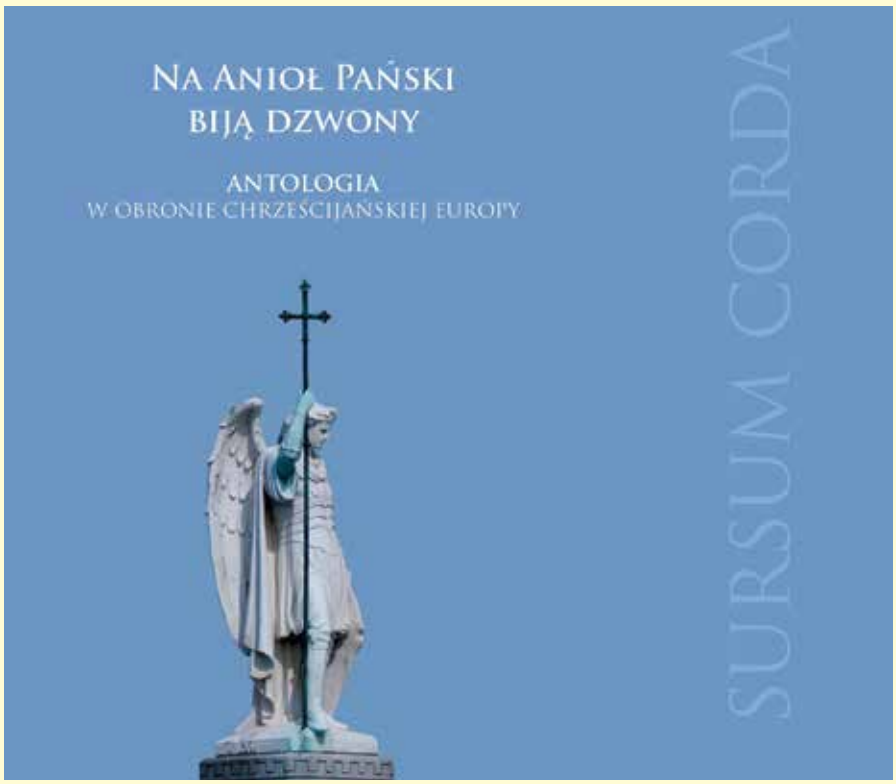
Na moje wezwanie odpowiedziało ponad stu polskich i węgierskich poetów, popartych słowami zagajeń dwóch biskupów: węgierskiego i polskiego. Wyrażamy naszą sympatię własnymi wierszami, własną tożsamość duchową piórem, bo bliska nam jest chrześcijańska aksjologia wpisana w wyrosłą z wiary cywilizację chrześcijańską.

Poezja pojawiająca się na łamach wydawnictwa jest naszym drugim obliczem. Naturalną reakcją na to jest ochrona dziedzictwa Europy, w której *sacrum* stanowi plan pierwszy. Jednocześnie uzupełniamy dyskurs i wysiłki innych grup społecznych – naukowców, duchownych, polityków i mediów – którzy również zdają sobie sprawę z zagrażającej światu sekularyzacji, przewrotnych ideologii i napływu ludów obcych do chrześcijańskiej Europy.

Tak więc swoją poezją musimy bronić wspólnie Europy, bo nasz kontynent trwać będzie tylko tak długo, jak długo będzie go chronić wiara chrześcijańska. A największą siłą ochronną i fundamentalnymi wartościami chrześcijańskiej Europy jest etos związany z nią od wieków: Bóg, Ojczyzna, Rodzina i Honor.

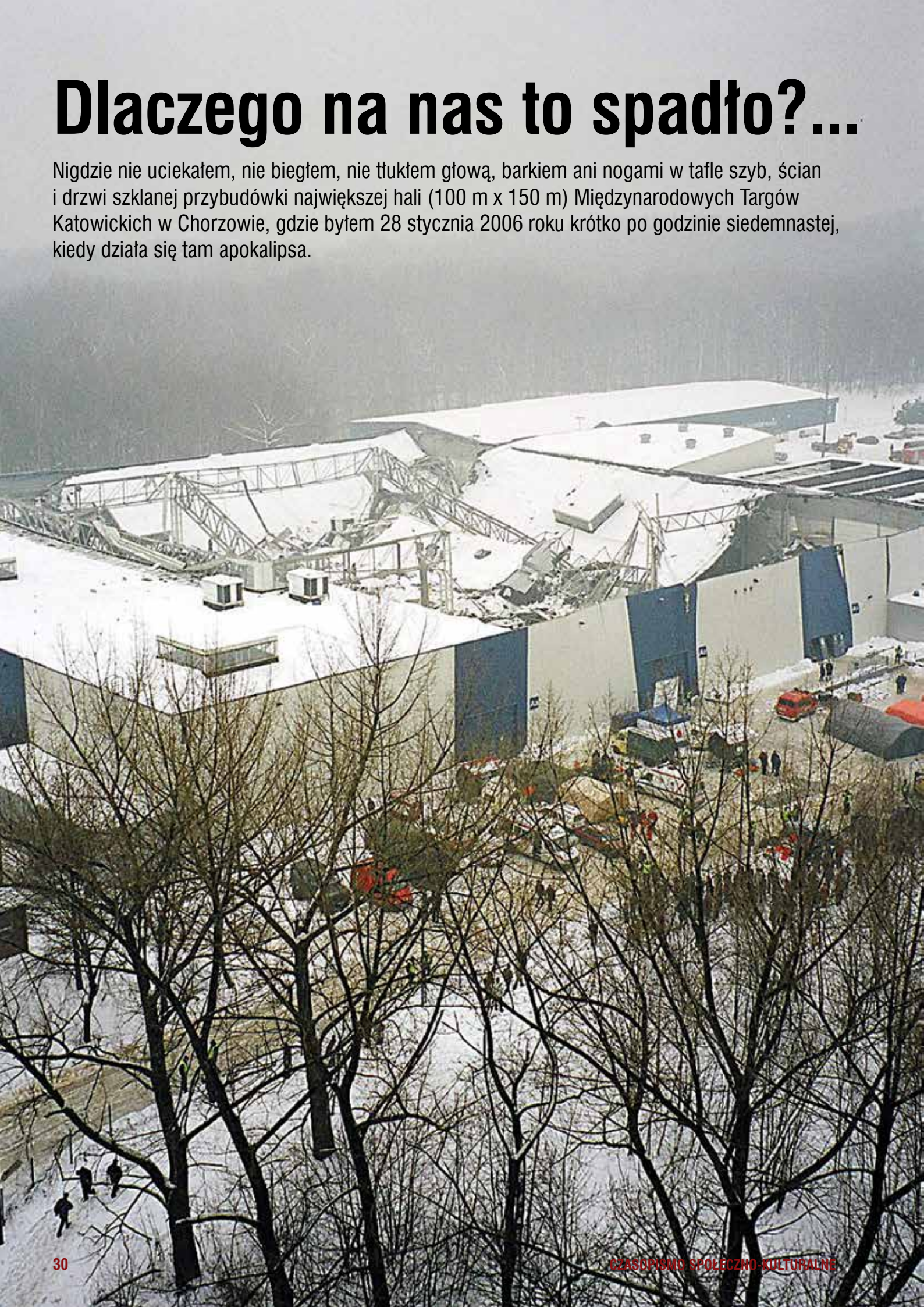
Mowa poetycka zaś pomaga duchowo w obronie tych wartości, bo jest też potężną bronią.

KONRAD SUTARSKI



Dlaczego na nas to spadło?...

Nigdzie nie uciekałem, nie biegłem, nie tłukłem głową, barkiem ani nogami w tafle szyb, ścian i drzwi szklanej przybudówki największej hali (100 m x 150 m) Międzynarodowych Targów Katowickich w Chorzowie, gdzie byłem 28 stycznia 2006 roku krótko po godzinie siedemnastej, kiedy działa się tam apokalipsa.





TADEUSZ WOŹNIAK





FOT. © KW PSP KATOWICE

Niczego nie przewidziałem, nikogo nie ostrzegłem, nie uratowałem. Stałem skamieniały niczym żona Lota, oglądałem przez wielką szklaną ścianę, jak walą się gruzy dachu na nasz beztroski świat, na ludzi i na gołębie. W miejsca, gdzie przed chwilą przechodziłem, stałem, siedziałem, leciały blachy, belki, kratownice, bryły lodu i zwały śniegu. Cięły, miażdżyły, gniotły, łamały, przywalały...

Dokąd bym uciekł, gdybyś mnie zawołał Panie?...

– Nigdy więcej nie pojadę na ogólnopolską wystawę – zarzeka się Henryk Kostek, hodowca gołębi ze wsi Kłodawa, członek sekcji Żukczyn, Oddział Pszczółki, Okręg Gdańsk Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych.

– Nigdy też – dodaje spokojnie – nie dam swoich gołębi na wystawę.

Nie precyzuje – najlepszych gołębi – bo obaj wiemy, że tylko takie trafiają na ogólnopolską wystawę.

– Spójrz na ten numer – pokazuje mi Kostek bilet kolejowy do Katowic.

– No widzę, 2559 – czytam na głos.

– Mój rocznik urodzenia – 59 i 25 – tyle razy w życiu byłem na ogólnopolskiej wystawie – interpretuje cyfrową kabałę Kostek.

– I co z tego Heniu? – śmieję się – minie rok albo dwa, uspokoisz się.

– Wątpię – kiwa głową Kostek – taka tragedia, taka tragedia, a zaczynało się tak pięknie. Pojechaliśmy w osiem osób, jednym pociągiem, cały przedział w szampańskich humorach. Wracaliśmy w pięciu, przygnębieni, zapłakani.

W tragicznym zawaleniu dachu śmierć ponieśli: Witold Zaporowski i Wiesław Jereczek, ranny Bogdan Fierke z Tczewa pozostał w śląskim szpitalu. Na tym nie koniec tragicznego bilansu społeczności hodowców tych okolic. Zginął też zapalony hodowca Grzegorz Ogórek z Kleszczewa.

Grzesiu, z zawodu stolarz, od kilku miesięcy miał dobrą pracę w Anglii. Wygospodarował dzień urlopu, specjalnie na pobyt na wystawie. Przyleciał samolotem w piątek, w niedzielę miał wracać... Nie było czasu, by wstąpić do Kleszczewa. Pieniądze dla matki – wdowy i studiującej siostry Małgorzaty dał przyjacielowi Andrzejowi Marko, szefowi stoiska „Agrolu" na tej wystawie... Pozostały na stoisku. Andrzej uratował się, ale obok Grzegorza zginął Aleksander Lewandowski, pracownik firmy „Agrol". Waldemar Ossowski z Trąbek Wielkich doznał poważnych obrażeń, m.in. złamania miednicy, połamania żeber.



A było tak pięknie. To była bardzo udana wystawa. Zadowoleni byli organizatorzy, goście zagraniczni, hodowcy i handlowcy. Mimo silnych mrozów (około -20 °C) nikt nie zawiódł. Okręgi na czas dostarczyły gołębie, ponad 100 handlowców z kraju, Niemiec, Belgii, Holandii i Czech przywiozło mnóstwo towarów; worki z karmą, bogactwo suplementów: witamin, odżywek, eliksirów; pucharów, mechanicznych i elektrycznych zegarów oraz elektronicznych systemów do konstatowania powrotów gołębi z lotów itd. No i oczywiście z dwa tysiące gołębi na sprzedaż z dobrych i bardzo dobrych hodowli polskich i zagranicznych! Nawet sam arcymistrz belgijski André Roodhooft, tegoroczny i pięciokrotny Król Unii Antwerpskiej, najsilniejszej w Belgii, kolebce gołębiarskiego sportu, przywiózł swoje ptaki.

Ciąg dalszy na s. 32

Ciąg dalszy ze s. 31

– Z handlowego punktu widzenia bardziej interesuje mnie Polska, aniżeli Chiny – tłumaczył mi Joseph de Scheemaecker, właściciel renomowanej, najstarszej na rynku (działającej od 1936 r.) europejskiej firmy „Natural Granen" z Schoten w Belgii, od lat obecny na naszym rynku – chociaż wy macie 43 tysiące, a oni 300 tysięcy hodowców. Do was blisko, w Europie tylko w Polsce i Portugalii przybywa członków.

Po najliczniejszym europejskim, niemieckim związku (około 60 tys. członków) od niedawna polski związek zajmuje drugie miejsce, a wystawa w Katowicach-Chorzowie stała się drugą co do wielkości imprezą po niemieckiej.

Po raz pierwszy przyjechał na wystawę do Katowic dr Henk de Weerd, weterynarz i sławny hodowca holenderski, właściciel kliniki dla gołębi i wytwórni leków, syn sławnego Pita de Weerda, genialnego znawcy gołębi, publicysty, autora kilku książek o tych ptakach.

Tradycyjnie już przyleciał Franciszek Zieliński z USA, tym razem z dwoma Polonusami; a sympatyczny Bawarczyk Martin Wagner, występujący w tyrolskim stroju, jak zwykle przywiózł bagażówką z wymalowanymi gołębiami kolekcję ciekawych ptaków.

Byłem na jego stoisku, przywitać się, porozmawiać chwilę. Martin stał się gościem szczególnym ogólnopolskich wystaw, żywym symbolem i maskotką. Wędrując dalej, zderzyłem się nieomal z biegnącymi Holendrami, ojcem i synem, Dickiem i Fredericem Basch, właścicielami Mega Systemu, których poznałem dwa lata temu w Holandii, zachęcałem do przyjazdu na wystawę do Katowic. Przyjechali i odnieśli sukces finansowy, ponad 500 sprzedanych systemów. W tym roku nie trzeba było ich namawiać.







FOT. © KW PSP KATOWICE

– Jak idzie w tym roku? – zapytałem.

– Dobrze, bardzo dobrze – zapewniał uśmiechnięty Dick.

Od piątkowego popołudnia do... miało być do godziny 14:00 w niedzielę. Ale wszystko zmieniło się w sobotę, 28 stycznia, o godzinie 17:15...

Oglądałem to przez szklaną ścianę przybudówki do głównej hali. Najpierw rozległ się huk, a potem trzask niczym odgłos łamiących się drzew.

Zerwaliśmy się od stolika w barze, gdzie zasiedliśmy 10 minut wcześniej. Widzieliśmy, jak na filmie, jak znika dach wielkiej hali, gasną światła...

Przyszliśmy do baru, bo nas już bolały nogi od kilkugodzinnego zwiedzania, włóczenia się wśród klatek z gołębiami i stoisk z karmą, odżywkami i akcesoriami dla gołębi. Od godziny chodziłem w towarzystwie hodowców z Iławy – Wiesława Bytnera, Zbyszka Markowskiego, Józefa Bomby oraz ks. Andrzeja Jaździewskiego, który razem z ojcem hoduje gołębie w rodzinnych Chojnicach, ale w Iławie jest wikarym w parafii pod wezwaniem św. Brata Alberta.

Z centrum hali przeszliśmy na jej prawy skraj, obok stanowiska Zarządu Głównego PZHGP (Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych). Tam spotkaliśmy Stefana Losta i Wieśka Tańskiego z Oddziału Olsztyn oraz dwóch prezesów Okręgu Ciechanów: byłego – Waldemara Kozłowskiego i aktualnego – Mirosława Dutkiewicza, młodego hodowcę, który na tego typu wystawie był po raz pierwszy.





FOT. © TADEUSZ WOŹNIAK



FOT. © DZIENNIK ZACHODNI

– Właściwie to ja powinienem się wkupić – stwierdził zaraz na wstępie Mirosław.

– No to chodźmy, znam taki ustronny bar – zaproponowałem i poprowadziłem towarzystwo do pustego baru na półpiętrze, na zapleczu głównej hali. W trakcie przemieszczania gdzieś nam się zapodział „Malutki" czyli Stefan Lost (ponad 2 metry wzrostu i 200 kg wagi), wydzwaniałem do niego na komórkę, określając nasze położenie i ponaglając go. Odwróciłem się ze trzy razy niecierpliwie sprawdzając czy nadchodzi, czy trafił.

– Po co się oglądasz, zrobi się ciemno jak ten wielkolud przejdzie – zażartował Waldek.

Przyszedł Lost, a wkrótce za nim prezydent Zarządu Głównego PZHGP Jan Kawaler. Wstaliśmy, żeby go przywitać... I właśnie wtedy zaczęło się...

Rozległ się huk, trzask i szum jakby szła lawina. Z głównej sali wbiegło może ze stu ludzi. Obok baru w dół prowadziły schody do awaryjnego wyjścia.

– Bez paniki, nic nam tu nie grozi – wykrzykiwał do spanikowanych ludzi Lost, niegdyś rybak kutrowy, oswojony z niebezpieczeństwami. Tłum wpadł na drzwi, wszystkie były zamknięte. Nie pomogło kopanie, napieranie barkami, walenie krzesłami. Dopiero Wiesiek Tański gdzieś znalazł gaśnicę i zaczął rozbijać pancerne szyby, nieustępliwe, antywłamaniowe. Wydostaliśmy się na zewnątrz ze szklanej pułapki. Zmieszaliśmy się z gromadami biegających wokół hali ludzi.

– Żyjesz, nic ci się nie stało? – rzucaliśmy się sobie w ramiona... A Leszek, Piotrek, Mietek?... A widziałeś tych z Koszalina, z Rzeszowa... Raz po raz pojawiał się ktoś zakrwawiony, utykający...

– Nic takiego mi się nie stało – bagatelizował własną sytuację – ale nie wiem, gdzie jest Wiesiek i Waldek.

– A może ktoś widział Witka, Kazika? – krzyżowały się dramatyczne pytania.

Stałem w cienkim sweterku, nie odczuwając -17-stopniowego mrozu. O kurtce pozostawionej na wieszaku w głównej hali pomyślałem z innego względu. W kieszeni kurtki miałem mały aparat fotograficzny... Wróciłem na główną halę czołgając się wzdłuż ściany, między porozrzucanymi sprzętami dotarłem do wieszaka... Kurtka leżała na ziemi razem z innymi. Wymacałem twarde pudełko w kieszeni – aparat.

Podmuch podczas walenia się dachu podobno był tak silny, że przesuwał o kilka metrów stoiska, a potem wszystko przykryły sterty blachy, konstrukcyjnego żelastwa, śniegu i styropianu. Najbardziej ucierpiało centrum hali – stoiska handlowe i klatki z gołębiami.

Ludzie wewnątrz stoisk znaleźli się w najgorszym położeniu. Mało kto zdołał uciec, wielu poraniły spadające fragmenty dachu, sprzęty i preparaty w oszklonych naczyniach. Witek Kucharski, prezes Okręgu Koszalin, zginął trafiony metalową belką, kilka metrów od stolika, przy którym siedział. Na krzesło i stolik, które opuścił nic nie spadło. Gdyby nie ruszył się z miejsca...

Piotrek Oreńczak z Goleniowa, student weterynarii zdołał uciec z centrum hali przed spadającymi blachami do stoiska, gdy ostrzegł go krzykiem młody Belg Stephen Scheemaecker, współwłaściciel firmy „Natural".

Ciąg dalszy na s. 34













Po katastrofie hali MTK FOT. © ELIZA OLEKSY / EDYTOR

Ciąg dalszy ze s. 33

Wiesław Jereczek z Pszczółek uratował się w pierwszej fazie tragedii. Wrócił na halę po karton z gołębiami, które kupił za „ciężkie pieniądze" od holenderskiego hodowcy.

„Ciężkie pieniądze" to kilkaset złotych, ale Wieśkowi nie przelewało się, no i takie piękne ptaki, jak je zostawić...

Nie on jeden wrócił po gołębie. Wiesiek Bytner razem z nami bezpiecznie wyszedł przez wybite szyby. Sam nie wie, kiedy i jak wrócił na halę. Tam wśród reprezentantów Olsztyna było pięć jego gołębi...

Po dwóch godzinach strażacy wyciągnęli go ze środka hali przemoczonego, w porozrywanej koszuli, dygocącego z zimna.

Piotr Patas z Morawicy koło Krakowa, hodowca i autor książek o gołębiach, razem z żoną i szwagierką odnieśli niegroźne obrażenia i wylądowali w szpitalu.

Piotr z narażeniem życia ratował gołębia „olimpijczyka" z Porto, który stanowił ozdobę jego stoiska z książkami. Usłyszał o tym od żony Piotra właściciel tego gołębia, Włodzimierz Walczyk z Legnicy i zawrócił do hali. Razem wydobyli z klatki drogocennego ptaka. Wkrótce potem stoisko zostało zgniecione fragmentami konstrukcji dachu...

Walczyk, który za tego gołębia i trójkę jego krewniaków zapłacił około 10 tysięcy dolarów, nie ryzykował życia ze skąpstwa. Długo marzył o tym gołębiu, przedsięwziął wyprawę do Czech, by kupić go od tamtejszego hodowcy. Miałby go teraz stracić?... Po opuszczeniu zrujnowanej hali nie rozstawali się.

Gołąb bez klatki siedział na szafie w hotelowym apartamencie, gdzie zestresowany hodowca miał go ciągle na oku.

Gołębie, podobnie jak ludzie, były zszokowane tą tragedią. A może nawet bardziej. Może one coś przeczuwały? Podobno chwilę przed tragedią wszystkie spoglądały w górę, charakterystycznie przekrzywiając głowy... Pewnie spostrzegły pękanie dachu?... Może dało się słyszeć jakieś ostrzegające trzaski, ale na hali niczym na legendarnym „Titanicu", rozbrzmiewała muzyka... Potężna siła decybeli też mogła mieć wpływ na zawalenie się hali. Ale przede wszystkim topnienie śniegu na dachu hali i powstawanie ciężkiej „bomby" pośrodku wklęsłego dachu, zamarzającej w lodową bryłę przy -17 °C wieczornym mrozie, gdy po godzinie 16 zmalała ciżba emitująca ogrom ciepła (oprócz ogrzewania) w hali, bo część już się „naoglądała" od rana, wielu udało się do domów i do pokoi hotelowych kibicować Małyszowi, bo o 17:00 właśnie rozpoczynała się transmisja. W hali pozostali ci, którzy musieli zostać..., którzy mieli tam zostać...

Po powrocie do hotelu, w dużej sali restauracyjnej, gdzie trwało doliczanie się osób, natknąłem się na popłakującą Urszulę Oreńczakową. Wszyscy przeżyli bez obrażeń: ona, mąż Andrzej i syn Piotrek. Również pracownicy ogromnego stoiska belgijskiej firmy „Natural", której Andrzej jest generalnym przedstawicielem. Nie ucierpieli też właściciele firmy Joseph i Stephen Scheemaeckerowie, ani ich przyjaciele – Andre Roodhooft i doktor weterynarii Henk de Weerd.

– Czemu płaczesz, Urszulo? – zapytałem – przecież nikt z was nawet nie został draśnięty, nie zbiła się wam ani jedna butelka...

– Tak – przyznała – nikomu z nas nic się nie stało, nasze stoisko było na samym brzegu wystawy, a my chcieliśmy mieć stoisko w samym środku. Takie miejsce załatwiliśmy sobie przed wystawą. A jak przyjechaliśmy w środę się rozstawiać, to nas przesunęli... Raz i potem drugi raz... A myśmy się tak wykłócali, chcieliśmy być w środku..., bo tam lepszy handel...

W chwilę po wydostaniu się ze szklanej pułapki zatelefonowałem do żony...

Mniej więcej w dwie godziny od chwili rozpoczęcia tragedii skończył mi się film w aparacie fotograficznym i wyczerpała bateria komórki.

Moja obecność na tej wystawie skończyła się... Nie liczyłem, ale była to chyba moja trzydziesta wystawa. Mogła być ostatnią... Udział w tragedii takiej jak ta w Katowicach uświadamia człowiekowi, jak mało od niego zależy, jak bardzo jest zdeterminowany...

Przed każdym z nas postawiłeś Panie pytanie, dlaczego ich zabrałeś, a nam jeszcze zostawiłeś trochę czasu?... **TADEUSZ WOŹNIAK**

PS. Serdeczne wyrazy współczucia rodzinom wszystkich 65 osób, które stamtąd nie wróciły. Bardzo, bardzo dziękuję wszystkim tym, którzy po katastrofie w Katowicach telefonując, esemesując, mailując okazali mi i środowisku hodowców gołębi pocztowych współczucie, sympatię i solidarność. Wszystkim, którzy modlitwą, dobrym słowem, pomocną i hojną dłonią pospieszyli z pomocą dotkniętym przez tragedię. **TW** ■

Tekst powstał wkrótce po katastrofie na Ogólnopolskiej Wystawie Gołębi Pocztowych 28 stycznia 2006 roku w Katowicach. Śmierć poniosło 65 osób i kilkaset gołębi, ponad 170 osób zostało rannych.



Pomnik upamiętniający 65 ofiar katastrofy hali MTK, 2025
FOT. © JAKUB DYL / WKATOWICACH.EU

Ptaki wracają

Ludzie i ptaki –

każdy w swojej przestrzeni,
każdy z marzeniem
unoszącym się ponad dachy.

Pracują,
hodują,
pielęgnują –

od świtu do zmierzchu,
od pierwszego lotu
po ostatni.

Świat jest wielki,

czasem pełen triumfu,
czasem nagle cichy
po huku.

Nie możemy ocalić wszystkiego,
nie umiemy przewidzieć
chwili,
która spada z nieba.

A jednak
wracamy do swoich pasji,

unosimy ręce
ku temu, co kochamy.

Bo życie jest w detalach:

w drobnym skrzydle gołębia,
w kartce notatnika,
w uśmiechu przyjaciół,
w dłoniach,
które uczą się cierpliwości.

Tragedia nie zabiera wszystkiego.

Pozostawia
to, co każe nam wracać –

do pracy,
do ludzi,
do miejsc,
do marzeń.

I kiedy świat
na chwilę traci równowagę,

człowiek znów
podnosi głowę.

Ptaki wracają nad dachy.

A ręce
znów sięgają
po to, co ważne.

ANDRZEJ SZTUMSKI

Chorzów, styczeń 2016

FOT. © KW PSP KATOWICE



O czasie

Nigdy chyba nie wyzbędę się uczucia zdziwienia, że to, co kiedyś przeżywaliśmy jako najbardziej realne, żywe i konkretne – dziś jest już tylko dotykalne pamięcią. Ono żyje jakoś w dalszym ciągu, jest w nas obecne, ale stajemy bezradni, gdy przyjdzie nam chęć określenia istoty tego życia. Życie to i nie-życie, istnieje ono i nie istnieje.

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI



Czymże jest to, co minęło, i czym to, co powoduje mijanie? Pierwsze nazywamy przeszłością, drugie czasem. Ale tylko naiwni prostaczkowie albo zarozumiali uczeni mogą żywić przekonanie, że skoro znaleźli nazwę, to zrozumieli zjawisko i rozwiązali problem. Święty Augustyn na pytanie o czas odpowiadał: wiem, czym jest, póki o to nie pytasz, nie wiem, gdy pytasz. Ta odpowiedź może być uznana za wyraz bezradnej ludzkiej mądrości. Bo mądrość ludzka to mądrość niewiedzy, to sokratejskie wiem, że nic nie wiem.

Może ona jednak sugerować również istnienie innej wiedzy niż ta, która da się ująć w słowa, pojęcia i definicje, wiedzy przedsłownej, przedracjonalnej. Bo Augustyn najpierw mówi przecież: wiem, gdy o to nie pytasz. A zatem – wiem.

Lecz jest to taka wiedza, że nie można jej wyrazić. Wielki filozof wcale tu nie żartuje, ani nie wykręca się od odpowiedzi. Wszystko jednak wskazuje na to, że wiedza, o której on mówi, że ją posiada, nie należy do porządku poznawczego filozofii i nauki. Może więc do poezji?

Ale czy poezja daje nam wiedzę? Raczej nie. Czy daje jakiekolwiek poznanie? Z pewnością jakieś tak. Ale to nie naukowe ani filozoficzne poznanie obiektywne, lecz wyłącznie pewien rodzaj samopoznania oparty na wsobnej wizji, na wewnętrznym samooglądzie i samoprzeżywaniu.

[Rzeczy] ani nie istnieją w sposób zupełny, ani nie można powiedzieć, żeby w sposób zupełny nie istniały. To bowiem naprawdę istnieje, co niezmiennie trwa

św. Augustyn, Con. VII, 7

FOT. © ALBRECHT FIETZ

Poezja jest działaniem, jak na to wskazuje grecki źródłosłów jej nazwy (*poiein* – działać). Poemat, czyli rezultat owego działania, zawiera treści tego specyficznego doświadczenia egzystencjalnego, które się w nas dzieje nieustannie, gdy tylko byt swój staramy się uczynić jakoś przejrzystym, pojętym i przyswajalnym dla niego samego tak aby, niczym Bóg, mógł o sobie powiedzieć: jestem tym, kim jestem. Doświadczenie to jednak uczy nas, że te boskie słowa są nam odmówione pod groźbą pogwałcenia prawdy.

Byt nasz bowiem z natury swojej jest niepełny i nienasycony. Jest nie tym, czym jest, ale tym, czym się staje. On nigdy nie jest u siebie, nigdy cały w sobie, lecz zawsze poszukujący siebie, wychylony poza swoje granice, które zresztą bardziej podobne są do zmiennych i oddalających się linii horyzontu niż stałych brzegów morza. Ten byt nasz wiecznie poszukuje siebie samego, swojej pełni, skończonego dosytu swego istnienia, tak jak ziarno rzucone w glebę nie spocznie w swoim rozroście, póki nie stanie się spełnioną rośliną dojrzałą, entelechią. Kres wzrastania ludzkiego bytu i stan jego całkowitej dojrzałości byłby realny wówczas jedynie, gdyby mógł on o sobie powiedzieć te boskie słowa: jestem tym, kim jestem.

Może zresztą słowa z *Księgi Rodzaju* o stworzeniu człowieka na obraz i podobieństwo Boga skrywają w swej tajemniczej głębi tę prawdę i zarazem metafizyczno-eschatologiczną nadzieję. Jest to nadzieja na wyjście z istnienia w czasie. Na wypłynięcie z heraklitejskiej rzeki zmienności do parmenidejskiego morza trwania. Wtedy nie będzie już nam potrzebna pamięć, to marne narzędzie spajania tego, co ulotne, w złudną postać rozsypującej się wiecznie całości. I nie będzie potrzebna żadna filozofia i najbardziej nawet metafizyczna poezja, bo nic już nie będzie wymagało szukania, nawoływania ani scalania. Wszystko będzie na miejscu i scalone. Nie będzie ani nieszczęśliwej świadomości, ani szczęśliwych rzeczy, ani ich wzajemnego oddalenia i sporu. Będzie tylko tożsame z sobą ISTNIEĆ. Ono powie: jestem tym, czym jestem. Ale to wszystko nastąpi wtedy, kiedy nas nie będzie i rzeka czasu pogrąży się całkowicie w oceanie wieczności.

Tymczasem jednak mówi się, że sztuka i literatura po to są, aby utrwalać to, co przemija, aby unieśmiertelniać to, co śmiertelne, uwieczniać chwilę. Twierdzenia te, choć popularne i wchodzą do repertuaru obiegowej mądrości eseistów i różnych myślicieli, głoszą treści wewnętrznie sprzeczne. Bo jakżeż można uczynić trwałym to, co z istoty swej jest nietrwałe? Trzeba by zmienić jego istotę, naturę. A to by znaczyło jednak, że artysta jest nie tylko twórcą, lecz i stwórcą, więc Bogiem. Lecz to już czyste szaleństwo.

Któż z nas może zmienić naturę czasu, skoro go nawet zrozumieć nie jesteśmy w stanie? Czas bowiem jest doskonale irracjonalny. I jest też doskonale ironiczny. Daje nam jedną ręką to, co zabiera drugą. Daje bogactwa świata i życia, mówi do nas: patrzcie, to wszystko, co widzicie, istnieje naprawdę. Istniejecie wy sami. Wasze dążenia i wszelkie nadzieje nie są fikcją, lecz żyzną treścią waszego życia. Mówi dalej: głęboki sens ma wasza praca, owoce jej wysiłków nie ulegną roztrwonieniu. Pracujcie więc, dążcie do celu, bierzcie świat w swoje posiadanie. I mówiąc to, czas, aby nie być gołosłownym, odsłania przed nami coraz to nowe obszary rzeczywistości, nowe ziemie, nowych ludzi, przyjaciół, wrogów, nowe przeżycia, radości i smutki, które bez jego udziału byłyby dla nas na zawsze zakryte. I tak jak wiatr przypędza do brzegu morza lub wielkiego jeziora coraz to nowe fale z drugiego krańca horyzontu, którego linia, ginąc we mgle nasuwa nam myśl o nieskończoności, myśl o tym, co pewien grecki filozof nazwał pięknie i tajemniczo dziś dla nas brzmiącym słowem *apeiron*, tak czas napędza nam przed oczy i uszy coraz to nowe fale wrażeń i wydaje się być jak ów boski *apeiron* niewyczerpanym dawcą tego, co istnieje.

Ale jego wspaniałomyślność ma nazbyt wiele z istoty pozorów, aby można cieszyć się jej blaskiem naprawdę. Oto bowiem czas nie daje nam niczego za darmo. Otrzymujesz nowe, ale tylko pod warunkiem, że oddajesz stare. Jeśli oglądasz piękne drzewo z jednej strony, a chciałbyś je obejrzeć z innej, musisz porzucić poprzedni punkt widzenia. Nie możesz bowiem widzieć drzewa ze wszystkich stron jednocześnie. Tak jak nie możesz żyć jednocześnie we wszystkich porach dnia i roku i we wszystkich fazach swojego życia. Wszelkie przemieszczanie się jest zawsze utratą tego, co się aktualnie posiada, i zdobywaniem nowego. I tak tylko istniejemy w przemijaniu, czyli w czasie. Tyle od czasu otrzymujesz, ile mu oddajesz. Bilans zatem wydaje się tu być doskonale zerowy. Ukoronowaniem tej metafizycznej buchalterii jest ostateczne rozliczenie z życia: Otrzymałeś je za darmo, boś przecież wyłonił się z nicości do bytu, z nie-życia do życia, a więc jak gdyby dostałeś coś za nic. Ale tak jest tylko na początku. Na końcu zaś odwrotnie: umierając, oddajesz życie i przyjmujesz nie-życie, zabrano ci byt, dano nie-byt, a więc oddałeś coś za nic, jakkolwiek by to nic rozumieć.

I tak ostatecznie czas wymierza doskonałą sprawiedliwość, dając nam tyleż życia co śmierci, tyle bytu co niebytu. Misterium życia i śmierci widziane w kategoriach czasu znajduje swoje rozwiązanie w stanie metafizycznego zera bezwzględnego. Musi zatem ostatecznie być tak, że jeżeli życie, istnienie jest prawdą, to czas jest pozorem, a jeśli czas jest prawdą, to życie pozorem. Taka wydaje się stąd wynikać logika. Jednakże logika ta nie daje nam żadnego pocieszenia, gdyż sama nie wskazuje wyjścia z zamkniętego kręgu wzajemnie znoszących się członów tego wniosku-twierdzenia. Stoimy przed paradoksem, jeśli nie przed absurdem. Ani bowiem nie jesteśmy w stanie umysłem swoim pojąć tego, iż czas jest nierealny, ani tego, że życie nie jest prawdą. Wszak istniejemy jednak jakoś i naprawdę doznajemy czasu i nawet poznajemy go, skoro jesteśmy w stanie pomyśleć o bez-czasie, czyli o czymś, co jest czasowi przeciwne.

Tak więc wracamy do sytuacji wyjściowej, czyli do kłopotu św. Augustyna. Spróbujmy jednak jakoś sobie odpowiedzieć: Czas, tak jak życie, jest niepoznawalny w swojej istocie. Wiemy, że jest, poznajemy jego przejawy i skutki, ale on sam, w pełni swego majestatu, w swej najgłębszej istocie, tak jak życie, jest tajemnicą. Znamy go jako przyczynę różnych następstw, ale nie znamy przyczyny jego samego. Słyszymy głos, lecz nie widzimy wołającego. A zatem rozważania prowadzone w duchu logiki empirycznej, nie dając ukojenia naszemu myśleniu, zdają się odsyłać je i skłaniać do przyjęcia jakiegoś irracjonalnego wymiaru, czy wręcz podłoża rzeczywistości. Wydaje się, że to, co racjonalne, jest tylko powierzchnią, głębia zaś jest irracjonalnej natury. I właśnie w tej tajemniczej głębi, w przestrzeniach irracjonalnego, znajduje się klucz do ostatecznego wytłumaczenia wszystkiego. Ostateczna racja czasu i naszego istnienia w czasie, jak również racja wszystkiego, co racjonalne. Bo to, co racjonalne, ma swe korzenie w tym, co irracjonalne.

A z tym, co irracjonalne, najbardziej spokrewniona jest poezja. I ona to, być może, jest jedynym naszym głosem, na który odpowiada ze swojej niepojętej głębi Byt. Bo sam Byt ma naturę poetycką – zaczyna się słowem, a kończy milczeniem i, tak jak wielka poezja, mieszka w nieogarnionej ciszy, która jest nim samym i która jest także odpowiedzią na nasze pytanie: Czym w istocie jest czas i czym jest to, co się w nim rodzi i w nim umiera?

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

Pamięci Wszystkich,
zdradziecko pomordowanych
przez ukraińskich sąsiadów...

Jeśli zapomnę o nich,
to Ty, Boże na niebie,
zapomnij o mnie.

A. Mickiewicz, *Dziady*, cz. III



FOT. © MARTINA JANOCHOVÁ

„Nie o zemstę, lecz o pamięć i prawdę wołają ofiary” – w duchu tego przesłania publikujemy kolejne świadectwo ludobójstwa Polaków dokonanego przez Ukraińców na Wołyniu. To przejmująca relacja Heleny Bieleckiej – jedno z wielu świadectw ocalałych, które pozwalają przywracać pamięć o ofiarach tej zbrodni.
Relacja ta, podobnie jak wiele innych świadectw zebranych i opracowanych przez dr Lucynę Kulińską w tomie *Dzieci Kresów*, znalazła potwierdzenie w dokumentach odnalezionych w polskich archiwach. Pamięć ocalałych i zachowane źródła historyczne mówią tu jednym głosem.
Niech przemówią świadkowie. Niech przemówią dokumenty. Niech przemówi prawda.

Mój Jasio nie żyje



FOT. © IPN

W marcu 1943 żyło nas sześcioro: Julia, Zosia, ja (Helena), Julian, Marysia i Jasio, z tym, że Julia była na robotach przymusowych w Niemczech.

W niedzielę wszystkich, kto nie poszedł do kościoła, tato zbierał w pokoju i czytał całą Mszę św. Mama w tym czasie w kuchni gotowała obiad. Jasio kiedyś zapytał:

– A po co oni się modlą?

– Żeby Bozia dała zdrówko i chleba – odpowiedziała mama.

Dzieci cichutko weszły do kuchni i klęcząc, na cały głos zaśpiewały:

– Boziu, daj chleba i śmietany.

Śmiech, radość i miłość pulsowały w tym domu. Mimo trosk, niedostatku i wojny, poczucie więzi rodzinnej sprawiało, że życie było piękne.

Bardzo się modliłam, pisałam wiersze do Matki Boskiej i co się dało czytałam. *Ojca zadżumionych* Słowackiego nauczyłam się na pamięć. Byłam zauroczona tragizmem i rymem. Pamiętam, że małe dzieci nie chciały radia ani zabaw, tylko prosiły:

– Mamo, powiedz: *Leżało dziecko nieżywe*...

Przed wojna Polacy, Żydzi i Ukraińcy traktowali się jak równi sobie. Żyli dość skromnie, ale razem uczyli się, pracowali, pili, a nawet były mieszane małżeństwa.

Wojna wszystko przewróciła do góry nogami.

Z wojny we wrześniu 1939 oraz pierwszej okupacji sowieckiej niewiele pamiętam. Polska została rozebrana przez „przyjaciół” Moskali i Niemców. Myśmy się znaleźli pod okupacją sowiecką.

Żydzi śmiali się i mówili:

– Jak był Piłsudski, to było po ludzku, jak przyszedł Sowiet, to *„s...ka zobaczyła swiet”*.

Wie, że były wywózki na Sybir oraz różne zakazy i nakazy.

W roku 1941 Niemcy przepędzili Moskali i zaczęła się u nas okupacja niemiecka. Weszli czyści, piękni, z uśmiechem na twarzach i zimnym wrogim spojrzeniem. Znowu wszystko się zmieniło.

Żydzi zostali oznaczeni gwiazdą Dawida; byli przerażeni.

Ukraińcy ważni i butni, z nikim się nie bratali. Co chcieli, to robili. Utworzono ukraińską policję, która w polskich domach przeprowadzała rewizje i zabierała wszystko, co się jej podobało, grożąc, że zabiją, jeśli ktoś się poskarży. Władza przeszła w ręce ukraińskich nacjonalistów. Niemców po wsiach nikt nie widział, tylko ich rozkazy i zarządzenia wykonywali coraz bardziej rozbestwieni Ukraińcy.

Polacy żyli w ciągłym strachu przed Niemcami i Ukraińcami.

Tato codziennie odwoził mleko do zlewni w Małym Siedliszczu. Pewnego dnia roku 1942 wrócił z mlekiem zmieniony, blady – i powiedział:

– W nocy wszystkich Żydów z miasteczka wywieźli i wymordowali. Zrobili to Niemcy przy pomocy policji ukraińskiej.

Po tym zaczęło się rabowanie wszystkiego, co zostało po Żydach. Niektórzy Żydzi byli bogaci, toteż wzbogacili się ich mordercy. Rabowała nie tylko policja, ale także prawie wszyscy zwykli mieszkańcy Małego Siedliszcza. Sąsiad, który też woził mleko, później opowiadał, że jest już bogaty, tyle dobra wszelkiego sobie naściągał.

Po południu tego dnia poszłam do Małego Siedliszcza (miasteczka). Chodziłam i oglądałam splądrowane domostwa. Kiedy wróciłam do domu, dostałam torsji i rozchorowałam się. Dziś nie wiem, dlaczego tam poszłam. Jednocześnie z rabunkiem trwało wyłapywanie Żydów, którzy się ukrywali, zabijano ich widłami i siekierami. Szukano na strychach, w piwnicach i we wszelkiego rodzaju kryjówkach, a także w lasach i zaroślach. Później Ukraińcy chodzili i sprzedawali zrabowane rzeczy: buty, odzież, biżuterię. Przynosili do mamy suknie do przeróbki i materiały do szycia. Mama im szyła.

Ciąg dalszy na s. 40



Mapa powiatu kostopolskiego, 1943 FOT. REICHSAMT FÜR LANDESAUFNAHME, BERLIN

Ciąg dalszy ze s. 39

W nocy ktoś zastukał do okna. Tato otworzył drzwi i do mieszkania weszli przestraszeni Żydzi: Szyłym z synami i synową. Prosili:

– Mieciu, ratuj! Uciekliśmy. Do nocy siedzieliśmy w szuwarach nad rzeką.

Tato zaprowadził ich na strych obory, gdzie było siano. Mama codziennie gotowała duży gar zupy. Siedzieli cicho. Ukraińcy często zaglądali do obory i sprawdzali, czy czasami tato nie zabił świni lub jałówki na własny użytek. Na to potrzebna była zgoda władz. Tato drżał ze strachu, że odkryją Żydów. Tylko małe dzieci nie wiedziały.

My, starsi, wiedzieliśmy i musieliśmy milczeć.

Po jesieni przyszła ostra zima. Koce i kurtki nie wystarczały. Chleb zamarzał na kość. Zupa momentalnie stygła. Więc przychodzili w nocy do mieszkania ogrzać się. Nie wolno było o tym nikomu pisnąć słowa, gdyż groziła śmierć całej rodzinie. Pamiętam, kiedyś w nocy przyszli do mieszkania i przerażeni zobaczyli, że w kuchni jest Marysia (3,5-letnia) i patrzy na nich, a po chwili mówi: „To Żydy". Boże! Ile trzeba było dziecku się natłumaczyć, że zaraz pójdą, nie wiemy dokąd. Toteż wiosną poszli w lasy. Prawdopodobnie zginęli wszyscy troje. Było im dane przeżyć w strachu i zimnie tylko jedną zimę.

Przyszedł rok 1943. Tymczasem policja ukraińska przeistoczyła się w bandę UPA, grożąc, że teraz wymordują Polaków i będą mieli wolną Ukrainę. Znowu strach i przerażenie padły na ludność polską. Wpadali do domów polskich, rewidowali, szabrowali i zapewniali o przyjaźni, gdyż niektórzy Polacy zaczęli wyjeżdżać do miast. Między innymi babcia z ciocią Zosią, stryjkiem Wackiem i ciocią Kazią wyjechali do Kostopola do cioci Broni. My zostaliśmy. Po głodnej wiośnie tato postanowił trochę się zaopatrzyć na wyjazd. Tymczasem zaczęły napływać coraz bardziej alarmujące wieści o tym, że Ukraińcy mordują Polaków, że napadają na większe wsie, wszędzie jest panika. Tato wykopał dół pod stodołą i schował trochę rzeczy, miał jechać jeszcze do młyna. Mama jeszcze szyła Ukraińcom, którzy zapewniali, że nigdy nie przyjdą nas mordować. Któregoś wieczora tato mnie, Zosię i Julka schował w schronie pod stodołą i przykrył darnią, mówiąc:

– Może te dzieci przeżyją.

Następnego ranka powyciągał nas, na wpół żywe wskutek braku powietrza. Tato był jakiś otępiały, nic nie mógł robić, zamyślał się.

Pierwsze dni maja 1943 były jednym pasmem strachu i chęci ucieczki. Po nocach się czuwało, były dyżury i przy najmniejszym podejrzeniu ruchu wszyscy byli na nogach, gotowi do ucieczki w zboża i do lasu. Julek mówił:

– Mamo, tylko mnie obudź, mam taki schron, że nikt mnie nie znajdzie.

Z 25 na 26 maja 1943 na noc przyszły do nas z Grud kuzynka Maria Żukowska z córeczką, Adela Sewrukowa z dwojgiem dzieci oraz staruszka Sewrukowa. Bały się, że tej nocy ich wieś będzie mordowana. Nie było gdzie spać, więc tato mnie i Zosię zaprowadził do obory na stryszek z sianem. W nocy obudziły nas jakieś głosy. Pies Brysio wył całą noc. Teraz słychać było jakieś trzaski. Wyprowadzają bydło z obory? Co się dzieje? Zosia mówi:

– Ja zejdę i zobaczę, ty zostań.

Ale ja się nie zgodziłam. Trzymałam się jej kurczowo i prosiłam, aby została. Wtedy cichutko zeszłyśmy z Zosią na dół. Zapamiętałam tylko króliki na wolności, parasolkę rzuconą u drzwi wejściowych szeroko otwartych i ciszę, okropną ciszę. Weszłyśmy do domu i zobaczyłyśmy mamę całą we krwi na progu sypialni. Podniosła głowę i mówi:

– To wy żyjecie?

Cisza dzwoni w uszach, przerażenie, rozpacz. Co tu się stało? A mama mówi:

– Sprawdźcie, może ktoś żyje?

Nieprzytomna i roztrzęsiona ułożyłam z siostrą mamę na łóżku. Kurczowo trzymałam się siostry i tylko byłam w stanie szeptać:

– Zosiu, uciekajmy.

Ale ona wyniosła zarąbaną 4-letnią Marysię do dużego pokoju, a ja spojrzałam na drugie łóżko. Już dniało, powoli mrok się rozjaśniał i zobaczyłam Jasia, 2,5-letniego brata. Leżał śliczny w białej koszulce, tylko dziwnie główkę miał odrzucona na bok. Nachyliłam się i zobaczyłam przerąbaną szyję, głowa wisiała na skórze. Tylko krzyknęłam:

– Mój Jasio nie żyje!

Położyłam rękę na jego udzie. Jeszcze poczułam żywe, pulsujące ciało. Chwyciłam się za głowę i wypadłam z pokoju, szukając Zosi. Uczepiłam się jej, nieprzytomna na widok pokotem leżących trupów.

Marysia Żukowska córeczkę miała pod sobą. Obie zarąbane, cały pokój we krwi. Czternastoletni Jurek leżał obok bez części czaszki, z rozlanym mózgiem. Zosia odwracała ciała sprawdzając, czy ktoś jeszcze żyje. Żyła staruszka Sewrukowa z przerąbaną szczęką. Przeniosłyśmy ją do sypialni mamy. Zosia położyła Jasia przy trupach. A ja nieprzytomna, wciąż uczepiona Zosi, szeptałam:

– Uciekajmy!

Wtedy mama mówi:

– Chowajcie się, jadą jakieś wozy drogą.

Ja wsunęłam się pod łóżko mamy, pod którym była krew Marysi. Zosia schowała się w szafie w dużym pokoju. Weszli. Bałam się oddychać. Noga bandyty była tuż przy mojej twarzy. Chwilę postał i wyszedł. Po chwili mama mówi:

– Helka, idź gaś.

Cicho szepczę:

– Może jeszcze są.

W tej chwili wpada Zosia i mówi cicho:

– Cały dach w płomieniach, musimy mamę i staruszkę wyprowadzić (wynieść) z domu w zboże, za stodołę.

Zosia się uwija, wynosi, co może. Ja trzęsąc się, tylko szepczę:

– Uciekajmy.

Wyprowadzamy mamę z płonącego domu. Zosia mówi:

– Prowadź, ja skoczę, jeszcze coś wyniosę z domu.

Już dniało. Spojrzałam na mamę i zobaczyłam odrąbane ramię i wiszące ciało. Blada wyszeptała:

– Idź, coś jeszcze uratuj, ja sama pójdę.

Kiedy wróciłam, mama leżała w tym samym miejscu, gdzie ją zostawiłam. Zosia wypadła z domu z garnkiem zsiadłego mleka i łyżką. Dowlokłyśmy mamę do żyta za stodołą. Już było widno, kiedy uciekałyśmy przez łąki do Kostopola. Tam była babcia i reszta rodziny.

W nocy był przymrozek. My bose, w kretonowych koszulinach, przerażone do nieprzytomności. Na trawie był szron i nogi tak mi zmarzły, że z bólu pomyślałam: Czemu mnie nie zabili. Wtedy zobaczyłyśmy, że ktoś nas goni. Z lasu wypadli bandyci i do rzeki nas dogonili. Zosia za rękę przeciągnęła mnie na drugi brzeg. Woda sięgała jej ramion, a mnie zalewała oczy. Była przeraźliwie zimna. Obejrzałyśmy się, bandytów nie było. Oni tylko nocami mordowali, a w dzień udawali przyjaciół i niby żal.

Wracając z wyprawy palili te domostwa, gdzie były trupy. Spieszyli się, gdyż już świtało. Kiedy nasz dom palili, nawet nie zauważyli, że dzieci nie było, tylko mama i staruszka leżały w sypialni. To nas uratowało.

Na wpół żywe z przerażenia, drżące z zimna, bose, w kretonowych koszulinach, oszronionych łąkami, omijając wsie ukraińskie, o godzinie szóstej rano dotarłyśmy do Kostopola. Nie pamiętam, jak babcia, brat i siostry ojca to przeżyły. Miałam 14 lat i pierwszy raz zobaczyłam światło elektryczne. Brat ojca, Wacek, mieszkał u dalszej kuzynki, a babcia i ciocia Zosia – u cioci Broni, która na stałe mieszkała w Kostopolu.

Zaraz rano brat ojca, Wacek i mąż cioci Zosi, Józef Reszczyński, pojechali zabrać mamę i panią Sewrukową do szpitala. W południe byłyśmy w szpitalu. Przywieźli mamę sąsiedzi z okolicznych wiosek, Cecylówki i Grud, którzy zobaczyli pożar, przyszli na osiedle w Małym Siedliszczu, zastali pogorzelisko i znaleźli za stodołą mamę i panią Sewrukową. Przywieźli je do szpitala w Kostopolu 26 maja 1943. Widziałam, jak mamę znoszono z wozu całą we krwi i strzępach porąbanej bielizny. Szok, przerażenie, głód i na wpół żywa mama.

Lista Polaków zamordowanych i zranionych przez Ukraińców w nocy z 25 na 26 maja 1943 roku w Małym Siedliszczu:

1. Mieczysław Szczurowski, ur. w roku 1903, mój ojciec z Małego Siedliszcza,
2. Julian Szczurowski, ur. w roku 1929, syn Mieczysława,
3. Maria Szczurowska, ur. w roku 1939, córka Mieczysława,
4. Jan Szczurowski, ur. w roku 1941, syn Mieczysława,
5. Maria Żukowska, około 29-30 lat, kuzynka z Grud,
6. NN. Żukowska, około 3 lat, córka kuzynki,
7. Adela Sewruk, około 40 lat, znajoma,
8. NN. Sewruk, około 6 lat, syn Adeli,
9. NN. Sewrukowa, około 60 lat, teściowa Adeli, z Grud, porąbana siekierą – przeżyła,
10. Aleksandra Szczurowska, ur. w roku 1905, żona Mieczysława, moja mama, z Małego Siedliszcza, porąbana siekierą – przeżyła.

Osoby wymienione pod liczbami porządkowymi od 1 do 8 zostały zarąbane siekierami i spalone w domu. Staruszka Sewrukowa została wyleczona, ale miała wykrzywioną twarz po przerąbaniu siekierą szczęki. Żyła gdzieś w Polsce, kontaktu z nią nie miałam.

W Kostopolu rozpoczął się nowy etap naszego życia.

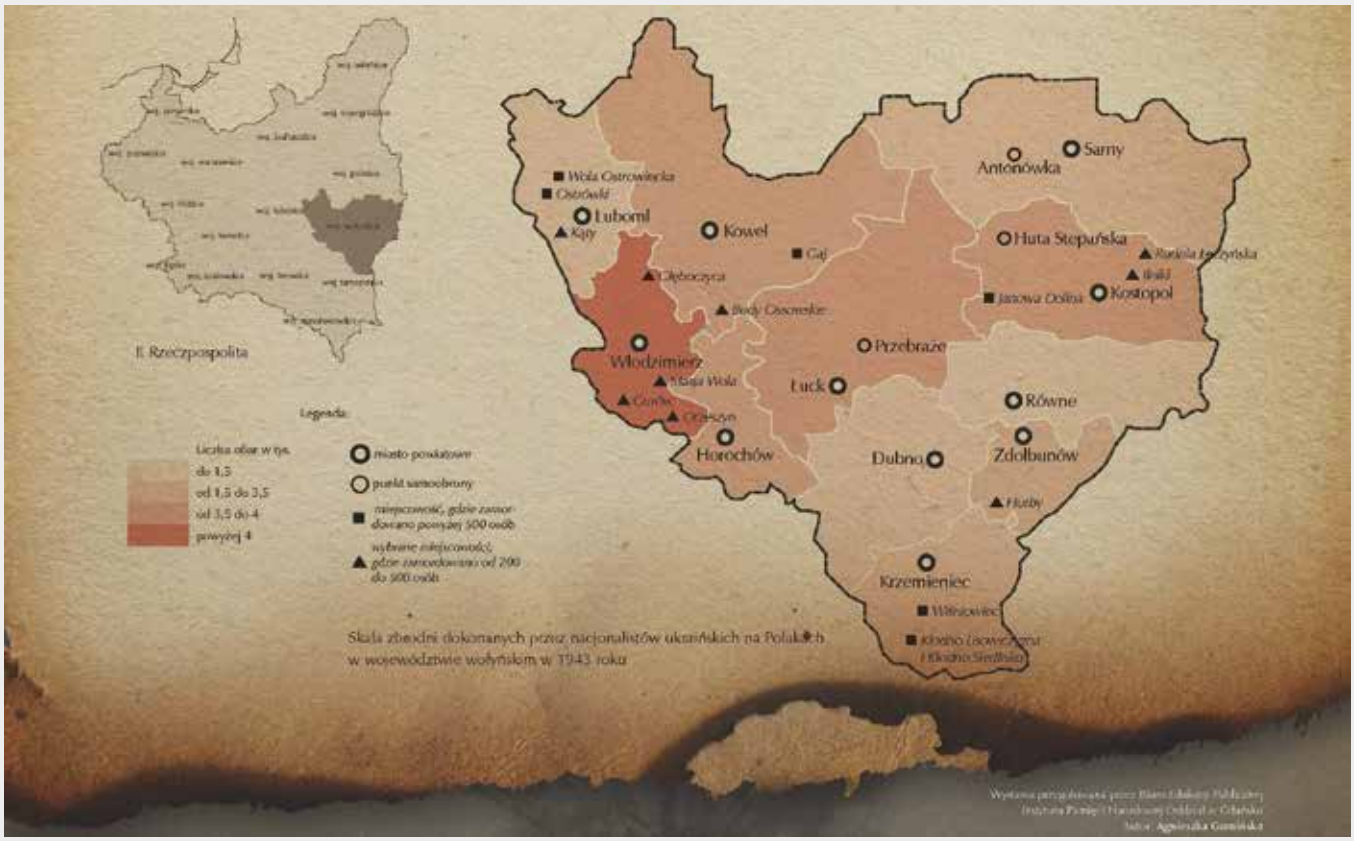
Po przewiezieniu mamy do szpitala lekarze powiedzieli:

– To już trup, szykujcie trumnę.

Wieczorem była narada rodzinna, co z tymi dziewczynami zrobić. U cioci Broni, kostopolanki, była już babcia z córką Kazią i Zosia Reszczyńska z mężem i malutkim, tygodniowym dzieckiem. Stryj Wacek z żoną Weroniką i córką Zosią mieszkał u dalszej kuzynki. Nie wiadomo, co poczną i kto da jeść 14- i 15-letnim dziewczynom.

W końcu dalsza kuzynka, która wyszła za mąż za pana, który dogrzebał się niemieckich przodków, i była folksdojczką, zgodziła się na dach nad głową za to, że Helena będzie pasła jej krowę, ale jeść nie da. Pewna wielka pani, kochanka oficera niemieckiego, której krowę też pasłam w podkostopolskich lasach, dała mi stary płaszcz. Płakałam z rozpaczy, i z głodu, a kiedy dostałam przypadłość kobiecą, wydarłam kawałek podszewki z tego starego płaszcza – i to była podpaska.

Ciąg dalszy na s. 42



Ciąg dalszy ze s. 41

Czasem dała mi kawałek spleśniałego sera i suchy kawałek chleba. Często dzieliła się ze mną swoim śniadaniem Kazia, która pasła krowy babci. Mama wciąż żyła. W końcu za wypas krów dostawałam, oprócz noclegu, jeden litr mleka do szpitala dla mamy. W czasie wojny Niemcy polskich chorych żywili jak w obozie.

W dalszym ciągu po całych dniach i nocach płakałam i rozmyślałam o tym okrutnym świecie, gdzie człowiek przyciskając nogą leżącego na ziemi innego człowieka, zadaje mu śmierć siekierą. I tylko dlatego, że jest Polakiem. Czasami wydawało mi się, że postradałam zmysły i nigdy nie pogodzę się z tym, co się stało.



FOT. © IPN

Po trzech miesiącach mama wyszła ze szpitala. Z opuchniętą lewą ręką, opanowana, spokojna, jak gdyby przespała wszystko to, co przeżyła. Czy patrząc tylko w kawałek sufitu przez parę tygodni, odrodziła się do życia, pogodzona ze stratą męża i trojga dzieci oraz domu i wszystkiego, co do życia potrzeba?

Zbliżał się rok 1944. Folksdojcze zaczęli uciekać do Niemiec. Zostałyśmy z mamą same w mieszkaniu dalszej kuzynki. Zosi z nami już nie było. Z pociągu, wiozącego dziewczęta na roboty do Niemiec, uciekła i znalazła się w Krasnymstawie w Lubelskiem.

Jak przeżyliśmy w Kostopolu, nie wiem, gdyż zdobycie ziemniaka czy kawałka chleba było cudem. Mama jakoś zdobywała kilka ziemniaków i skórkę ze słoniny, i gotowała zupę wodziankę. Przeżyłam głodową biegunkę. Nie przyznałam się mamie, że jestem chora. [...] Cierpiałam męki wiecznego ciągnienia jelit w pięty. A kiedy rozpaczałam, mama z opuchniętą ręką i też głodna, prosiła:

– Uspokój się! Ludzie mówią, że mam nienormalną córkę.

Byłyśmy z mamą świadkami wyzwolenia Kostopola. Strasznie przeżyłam bombardowanie miasta przez Sowietów. Niemcy przed opuszczeniem Kostopola szaleli, strach było wyjść na ulicę. W styczniu 1944 weszli Sowieci. Wyglądali jak banda obdartych zawszawionych ludzi z karabinami na sznurkach. Do ludzi w oknach wrzeszczeli: Czego smotrisz. Uklękłyśmy z mamą do modlitwy myśląc, że to UPA i że zaraz nas zamordują. A to byli Rosjanie i znowu niewola.

W maju 1945 roku wywieziono nas na zachód. Z mamą i siostrą przez dwa tygodnie jechałyśmy w odkrytych wagonach w Kostopola do Kwidzyna. Polacy bali się Ruskich i chowali zegarki. Pamiętam napis na dworcu w Bydgoszczy: „Bierzcie czasy i rowery, i wyjeżdżajcie, do cholery".

O wydarzeniach tragicznej nocy z 25 ma 26 maja 1943 roku mama opowiadając wspominała, że tato się bał i mówił, że zawsze ma siekierę pod drzwiami i zginie jak przyjdą, ale jednego *hada* zabije. Kiedy zaprowadził mnie i siostrę Zosię na noc do obórki na stryszek, gdzie było siano i gdzie przechowywał przez zimę rodzinę żydowską, wrócił i powiedział, że będzie czuwał do północy. Marysia Żukowska, której córeczka marudziła, zaproponowała, że ona będzie czuwać do północy. Tato nie zgodził się i sam czuwał do godziny 12:30 w nocy, a następnie Marysia.

Wszyscy spali, kiedy nad ranem, może o 3:30 mama usłyszała, że coś się dzieje dookoła domu. Obudziła wszystkich, ale już do drzwi walili siekierami i wybijali okna, cały dom był otoczony.

Mama nie mogła obudzić Julka, który wcześniej mówił w skrytce, gdzie nikt go nie znajdzie. Kiedy Julek się obudził, bandyci byli już w domu. Straszni, z karabinami i siekierami za pasem. A tato już nie był człowiekiem, tylko roztrzęsioną galaretą. Wszystkim kazano iść do pokoju. Tato prosił:

– Pójdziemy nadzy, wszystko bierzcie, tylko nie zabijajcie.

– My was nie zabijemy, tylko zrobimy rewizję – odpowiedziano.

Wszystko zaczęli wynosić. Zabrali, co się dało. Aż w pewnym momencie wpadł do mieszkania inny Ukrainiec i wrzasnął:

– Dlaczego żyją, wszystkich zabić!

I padł rozkaz: *Łożys*.

– Módlmy się – powiedziała mama kładąc się przy ojcu na podłodze.

Słyszała jęki i ani na chwilę nie straciła świadomości. Poczuła oblewające gorąco i pomyślała, co oni mi zrobili, może coś w środku odbili, ale poruszyła językiem w ustach normalnie. Mama miała gruby, długi warkocz. A ponadto wieczorem bolało ją gardło, więc szyję owinęła na noc wełnianą chustką.

Kiedy odeszli i zapanowała cisza, mama pomyślała, że może te małe dzieci ocalały w pierzynach. Wstała i upadła. Pokotem leżało dziewięć osób we krwi i bez życia. Ale co mi jest, pomyślała i dowlokła się czołgając do kuchni i napiła się wody. Następnie podeszła do drzwi sypialni, otworzyła je i na progu upadła, gdy zobaczyła, że poduszki i pierzyny zabrano, a dzieci (Marysia, 4 lata i Jasio, 2,5 roku) zamordowano siekierami. Tuż przed wojną tato kupił maszynę do szycia, która stała w dużym pokoju pod oknem.

Po pewnym czasie bandyci wrócili, między sobą mówiąc:

– Trzeba sprawdzić, może ktoś żyje.

Drugi dodał:

– Po co? Poodrąbywać głowy i spokojnie odjedziemy.

Mama pomyślała – no to koniec. I wtedy, kiedy nachylił się, by rąbać, zobaczył maszynę do szycia. Już na dworze robiła się szarówka. Prawie dniało, jak się mówiło na wschodzie. Szybko wynieśli maszynę i odjechali.

Pierwsze słowa mamy były, kiedy zobaczyła mnie i Zosię:

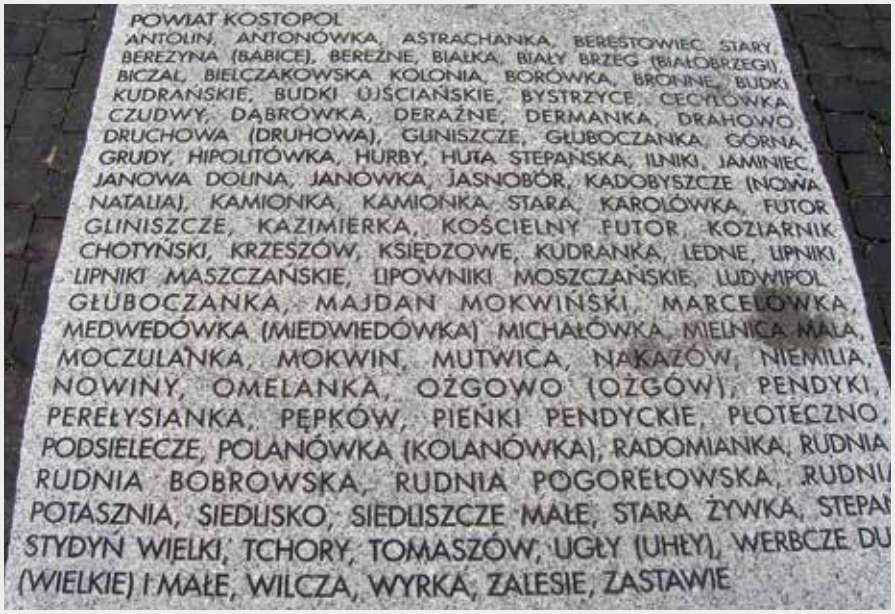
– To wy żyjecie!

Warkocz miała odrąbany i chustę w strzępach.

Mama nawet pamiętała, kiedy rano sąsiedzi przybiegli z Grud, ich rozmowę:

– Sewrukowa żyje, ale Olesia Szczurkowska już zmarła.

Przykryli jej twarz. Muszę ją zobaczyć – powiedziała któraś z obecnych. Kiedy odkryła twarz, mama na nią spojrzała. Wtedy szybko wóz, konie – i do szpitala do Kostopola.



Tablica Pomnika Rzezi Wołyńskiej w Warszawie z nazwami miejscowości powiatu kostopolskiego FOT. © GLAUBE CC BY-SA 4.0

Widziałam, kiedy mamę znoszono z wozu na noszach. Krew, strzępy warkocza i chustki oraz wiszące, odrąbane ciało przy lewym ramieniu.

Mama cały czas była przytomna. Słyszała rozmowę lekarzy, którzy ją zszywali. Jeden pytał drugiego:

– Czy ty szyłeś kiedyś trupa?

– Tak – padła odpowiedź.

– Ta kobieta ma skórę twardą – to już trup.

Kiedy teraz o tym wspominam, to wiem, że warkocz, chusta i maszyna do szycia uratowały mamie życie, i że człowiek w chwili grozy nawet bólu nie czuje.

Mama żyła do roku 1988. Miała 83 lata kiedy zmarła, zabierając do grobu siedem blizn od uderzenia siekierą.

Oprócz Polaków zamordowanych w Małym Siedliszczu, o czym napisałam wyżej i czego była naocznym świadkiem wiem, że zostali zamordowani też inni Polacy, w tym moi dalsi krewni we wsi Druchowa, gmina Ludwipol, powiat Kostopol.

Wieś Druchowa była położona około 17 km na północ od Małego Siedliszcza i liczyła ponad 200 zagród. Mieszkała tam siostra babci Teofili Szczurowskiej, Anna Płomińska z domu Wereda z rodziną: mężem, dwoma synami, dwiema córkami (Anielą i Genią) oraz synową Ukrainką z dzieckiem. Starszy syn Józef był żonaty z Ukrainką. Jak miał na imię młodszy syn, nie pamiętam.

Któregoś dnia w maju 1943 babcia Ania podała całej rodzinie kolację i poszła do obory doić krowy. Między domem a oborą rosły konopie. Po pewnym czasie usłyszała, że w domu coś się dzieje. Wskoczyła w konopie i zobaczyła, że synowa Ukrainka z dzieckiem na ręku wychodzi z domu i ucieka.

Po paru minutach podjechał wóz drabiniasty i banda wynosiła z domu trupy zarąbanych siekierami: męża, synów i córek. Wywieźli pod las i spalili trupy wraz z wozem. Wiem, że babcia Ania po wojnie mieszkała w Rawiczu. Przeżyła wszystko i zmarła jako staruszka.

Wówczas przez Ukraińców zostali zamordowani:

NN. Płomiński, ojciec rodziny, mąż Ani,
Józef Płomiński, starszy syn,
NN. Płomiński, młodszy syn,
Aniela Płomińska, córka,
Genia Płomińska, córka.

* * *

Pokolenie, tak strasznie doświadczone podczas ostatniej wojny, powoli wymiera. Historia zawsze coś tam skręci pod kątem ustroju, układu granic i niby przebaczenia dla dobra następnych pokoleń. Ale te rany i mordy, nawet w grobie powinny wykrzyczeć prawdę [...].

Zamordowano tam w bestialski sposób kilkaset tysięcy naszych rodaków, w tym kobiety, dzieci i starców za to tylko, że byli Polakami.

Do dzisiaj zbrodnia ta nie została potępiona [...] i zbrodniarze nie zostali ukarani. Żeby dopełnić upokorzenia Polaków, mordercom z UPA stawia się pomniki!

Serce boli, gdy o tym myślę!

HELENA BIELECKA

Do druku przygotowała Lucyna Kulińska



Dom, który był większy od Polski
80 lat Instytutu Literackiego

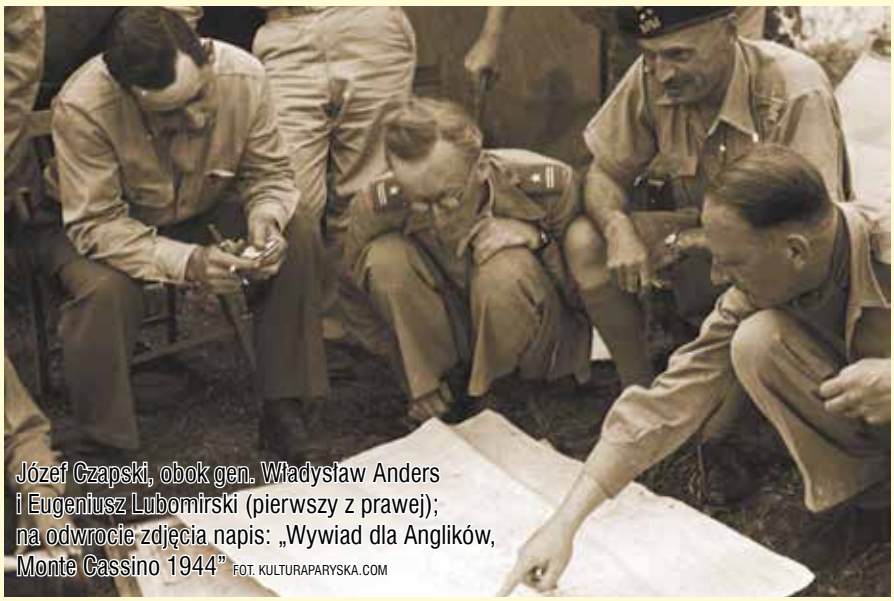


IRENEUSZ ST. BRUSKI

Są w historii polskiej kultury miejsca, które z czasem przestają być tylko adresami. Zaczynają oznaczać ludzi, idee i wydarzenia. Jednym z takich miejsc stał się niepozorny dom w Maisons-Laffitte pod Paryżem, przy avenue de Poissy.

Przez dziesięciolecia przechodziły przez niego książki, rękopisy, listy i dokumenty. Przychodzili pisarze, poeci, historycy, publicyści i emigranci. Z kraju docierały wiadomości, których nie można było swobodnie publikować w Warszawie. W drugą stronę, do Polski, wędrowały teksty i książki, które musiały pokonać granicę państwa, cenzury i politycznego strachu.

W tym domu działał Instytut Literacki – jedno z najważniejszych centrów polskiego życia intelektualnego na emigracji. Jego znaczenie wyrosło jednak daleko poza działalność wydawniczą. Przez ponad pół wieku był miejscem, w którym można było niezależnie myśleć o Polsce, jej historii, kulturze i przyszłości.



Józef Czapski, obok gen. Władysław Anders i Eugeniusz Lubomirski (pierwszy z prawej); na odwrocie zdjęcia napis: „Wywiad dla Anglików, Monte Cassino 1944” FOT. KULTURAPARYSKA.COM

Rzym, 1946

Historia Instytutu Literackiego nie zaczęła się jednak w Maisons-Laffitte, lecz w Rzymie, wśród żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, kilka miesięcy po zakończeniu wojny w Europie.



Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz i Henryk Giedroyc; Rzym, 22 czerwca 1945 FOT. KULTURAPARYSKA.COM

11 lutego 1946 roku przy 2. Korpusie Polskim powołano do życia Instytut Literacki. Formalny akt organizacyjny związany był z rozkazem gen. Kazimierza Wiśniowskiego, szefa sztabu 2. Korpusu. Dzięki pożyczce z funduszów Korpusu zakupiono drukarnię, a wydawnictwo zarejestrowano jako Casa Editrice „Lettere”. 4 października 1946 roku gen. Władysław Anders mianował Jerzego Giedroycia dyrektorem Instytutu.

Giedroyc miał już za sobą doświadczenie przedwojennego redaktora i publicysty. Był współtwórcą „Buntu Młodych”, a następnie „Polityki”. Wojna i powojenny podział Europy zmieniły jednak skalę problemu, przed którym stanął. Polska znalazła się w sowieckiej strefie wpływów, a znaczna część jej politycznych i intelektualnych elit pozostała poza krajem.

Instytut miał prowadzić działalność wydawniczą, a zarazem gromadzić i popularyzować dorobek polskiego piśmiennictwa. Giedroyc od początku widział w nim jednak coś więcej niż oficynę przeznaczoną dla emigracji. Chciał stworzyć niezależny ośrodek kultury i myśli, który nie będzie podporządkowany ani władzom komunistycznym w kraju, ani emigracyjnym partiom politycznym.

Była to decyzja o znaczeniu dalekosiężnym. Jeśli nie można było odbudować niepodległego państwa, trzeba było przynajmniej zachować przestrzeń, w której można będzie swobodnie myśleć o jego przyszłości.

W Rzymie wokół Giedroycia skupili się jego najbliżsi współpracownicy: Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński, Zofia i Zygmunt Hertzowie. Instytut zaczął wydawać książki. Wśród pierwszych publikacji znalazły się m.in. *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza, *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec* Jerzego Stempowskiego, eseje Bolesława Micińskiego oraz antologia opowiadań wojennych. Wznawiano również dzieła Sienkiewicza, Reymonta, Sieroszewskiego, Struga i Kadena-Bandrowskiego.

Szybko okazało się jednak, że sama działalność wydawnicza nie wystarczy. Instytut potrzebował własnej trybuny – miejsca, w którym można byłoby komentować aktualne wydarzenia, przedstawiać emigracyjnych autorów, podejmować problemy polityczne i społeczne. W czerwcu 1947 roku ukazał się pierwszy numer „Kultury”, pod redakcją Jerzego Giedroycia i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, z opracowaniem graficznym Stanisława Gliwy. W słowie wstępnym stwierdzono: „Kultura” pragnie uprzytomnić czytelnikom polskim, którzy wybrawszy emigrację polityczną, znaleźli się poza granicami kraju ojczystego, że krąg kulturalny, w którym żyją, nie jest kręgiem wymarłym.

Początkowo miało to być pismo literackie. Pierwszy numer ukazał się w nakładzie 2 tys. egzemplarzy. Z czasem „Kultura” stała się jednym z najważniejszych polskich czasopism XX wieku.

Maisons-Laffitte

27 sierpnia 1947 roku generał Anders zatwierdził skład personalny Instytutu Literackiego. Jerzy Giedroyc zostaje kierownikiem,

Zofia Hertz – sekretarzem, Gustaw Herling-Grudziński – doradcą literackim i współredaktorem „Kultury”, Zygmunt Hertz – administratorem.

Demobilizacja 2. Korpusu, rosnąca konkurencja włoskich drukarń i oddalenie Rzymu od głównych skupisk polskiej emigracji sprawiły, że postanowiono sprzedać drukarnię i przenieść działalność do Francji, do Maisons-Laffitte pod Paryżem. Zaciągnięte pożyczki zostały spłacone, a po demobilizacji Korpusu wiosną 1948 roku Instytut uniezależnił się również organizacyjnie od wojska.

31 października Jerzy Giedroyc oraz Zofia i Zygmunt Hertz wprowadzili się do wynajmowanych pomieszczeń domu przy avenue Corneille 1.

– Kiedy przyjechaliśmy po raz pierwszy do domu, załamaliśmy na jego widok ręce. Był rzeczywiście potwornie zniszczony przez Niemców – będzie wspominać Zofia Hertz. – Powyrywane futryny z okiem i drzwi, brud, w salonie resztki ogniska, część domu była w gruzach. Zakasaliśmy rękawy i zabraliśmy się do sprzątania [...]. Pierwszą noc spędziliśmy we trójkę, ja, Zygmunt i Jerzy w kostiumach kąpielowych, na szorowaniu domu” (I. Chruślińska, *Była raz Kultura... Rozmowy z Zofią Hertz*, Lublin 2003).

W grudniu ukazał się kolejny, podwójny (2/3) numer „Kultury”, w nakładzie 1005 egzemplarzy. Pismo różniło się od pierwszego numeru mniejszym formatem oraz inną konwencją graficzną, która odtąd pozostanie prawie niezmieniona. Pismo ukazało się z szeregiem błędów będących efektem braku korekty. Jerzy Giedroyc podejrzewał w tym „świństwo albo mały sabotaż” rozważając nawet nieprzyjęcie numeru, w końcu jednak zaakceptował go ze względu na opóźnienie, jakie spowodowałby druk od nowa. Od tego momentu „Kultura” była już wydawana w Paryżu.





Rachunek za wydrukowanie pierwszego numeru „Kultury”

W 1954 roku Instytut Literacki przenosi się do nowej siedziby. Dzięki pomocy przyjaciół i składkom czytelników, udało się kupić własny dom przy avenue de Poissy 91, na granicy miejscowości Maisons-Laffitte i Le Mesnil-le-Roi. W ciągu dwóch lat został on spłacony. Ten szczegół ma znaczenie. Niezależność Instytutu nie była tylko deklaracją. Opierała się również na czytelnikach, prenumeratorach i przyjaciołach, którzy uznali, że utrzymanie takiego miejsca jest także ich sprawą.

W Maisons-Laffitte ukształtował się stały zespół Instytutu: Jerzy Giedroyc, Zofia i Zygmunt Hertzowie oraz Józef Czapski. W 1952 roku dołączył do niego Henryk Giedroyc, który zajmował się przede wszystkim sprawami administracyjnymi. Nie była to wielka redakcja. Jej siłą okazało się niezwykłe połączenie talentu, pracowitości i poczucia odpowiedzialności za sprawy wykraczające poza interes jednego środowiska.

Początkowo możliwości finansowe były bardzo ograniczone. Kapitał pozostały po sprzedaży rzymskiej drukarni pozwalał przede wszystkim na wydawanie „Kultury”, która została przekształcona w miesięcznik. Rosnąca liczba prenumeratorów sprawiła jednak, że pismo stało się przedsięwzięciem dochodowym. Dzięki temu w 1953 roku Instytut mógł ponownie rozpocząć wydawanie książek.

Pierwszym tomem Biblioteki „Kultury” była książka Witolda Gombrowicza zawierająca *Trans-Atlantyk* i *Ślub*. W tym samym roku ukazał się *Zniewolony umysł* Czesława Miłosza. Od tego czasu Instytut Literacki stał się ważnym wydawcą ich twórczości.

Obok autorów już uznanych Giedroyc publikował debiutantów, m.in. Mariana Pankowskiego, Leopolda Lipskiego i Andrzeja Chciuka. Równocześnie z literaturą ukazywały się książki poświęcone filozofii, socjologii, politologii i kulturze. Czytelnik mógł znaleźć tu zarówno dzieła polskich pisarzy, jak i przekłady czy prace autorów europejskich i amerykańskich.

Instytut nie tworzył więc wyłącznie biblioteki literatury emigracyjnej. Budował szerokie zaplecze polskiego życia umysłowego.

Książka, która przekraczała granicę

Najbardziej niezwykła część historii Instytutu zaczynała się jednak wtedy, gdy książka opuszczała Maisons-Laffitte i ruszała w drogę do Polski.

Wydawnictwa Instytutu były w PRL zakazane. Trzeba było więc znaleźć sposoby, by ominąć kontrolę. Niektóre książki otrzymywały okładki mające zmylić celników. *Rok 1984* George'a Orwella ukazał się pod okładką z reprodukcją sowieckiego plakatu. *Zdobycie władzy* Czesława Miłosza otrzymało fikcyjny tytuł *Wyzwolenie* i fikcyjnego wydawcę.

Dzisiaj takie historie mogą brzmieć jak anegdoty. Wtedy za książką kryło się realne ryzyko.

Ważniejsze teksty „Kultury” i „Zeszytów Historycznych” przygotowywano również w formie nadbitek, które wysyłano do wybranych osób w kraju. Tam były czytane, przepisywane, fotografowane i przedrukowywane. Publikacje Instytutu stały się jednym z najważniejszych źródeł dla niezależnej prasy i wydawnictw. Bibliografia krajowych przedruków z lat 1977-1990 obejmuje 1 073 pozycje.



Jerzy Giedroyc (drugi od lewej) w wojsku; Libia, 1941 lub 1942

FOT. KULTURAPARYSKA.COM

Ciąg dalszy na s. 46

Ciąg dalszy ze s. 45

Instytut wspierał także finansowo podziemną działalność wydawniczą. Z Maisons-Laffitte wysyłano do Polski dziesiątki tysięcy książek i czasopism, a także sprzęt poligraficzny. W ten sposób emigracyjne wydawnictwo stało się ważnym zapleczem krajowego drugiego obiegu.

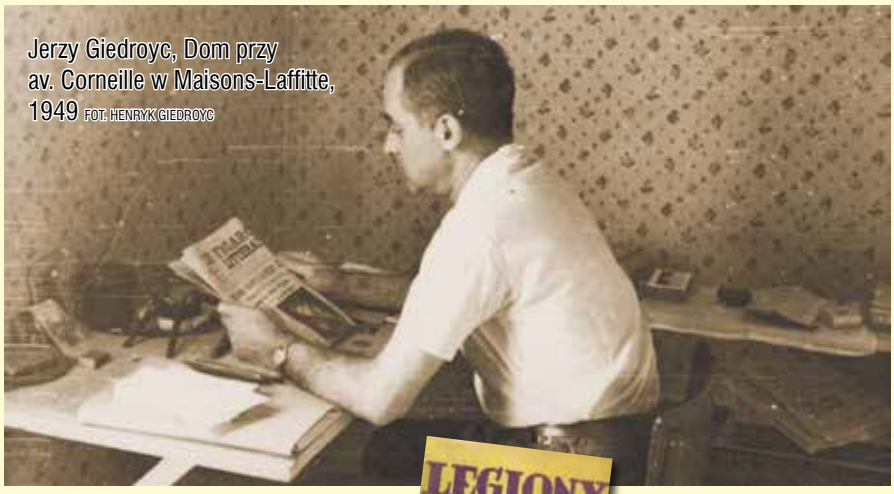
Dla mojego pokolenia „Kultura" nie była jednak tylko nazwą z historii emigracji. Była czymś, co można było wziąć do ręki – choć nie zawsze bez obaw. Sam kilkakrotnie przywoziłem z Francji do Polski numery „Kultury" i książki wydawane przez Instytut. Ich przewóz przez granicę PRL wymagał ostrożności i świadomości ryzyka. Nie były to zwykłe publikacje przywożone z zagranicy. Były nośnikiem treści, których władza nie chciała dopuścić do polskiego obiegu.

Dziś, gdy książkę można zamówić w kilka minut, a niemal każdy tekst znaleźć w Internecie, trudno odtworzyć tamto napięcie. Wtedy książka miała nie tylko treść, lecz także ciężar. Trzeba było ją zdobyć, przewieźć, przekazać dalej. Ktoś ją czytał, ktoś pożyczał następnemu, ktoś przepisywał fragment albo robił odbitki. Tak powstawał łańcuch, którego końca często nie było widać.

Wolność słowa miała więc wówczas wymiar bardzo konkretny: papieru, przesyłki, walizki, granicy i ryzyka.

Kraj i emigracja

Jednym z najważniejszych osiągnięć Instytutu było stopniowe przełamywanie podziału między kulturą emigracyjną a krajową. Giedroyc utrzymywał kontakty z autorami mieszkającymi w Polsce i szukał sposobów, aby ich teksty mogły trafiać do czytelników poza oficjalnym obiegiem.



Jerzy Giedroyc, Dom przy av. Corneille w Maisons-Laffitte, 1949 FOT. HENRYK GIEDROYC



Szlak utorował Stefan Kisielewski, który w 1967 roku pod pseudonimem Tomasz Staliński rozpoczął u Giedroycia publikację swoich powieści. Rok później Jerzy Andrzejewski pod własnym nazwiskiem ogłosił *Apelację*. W kolejnych latach w Maisons-Laffitte ukazywały się książki Kazimierza Orłosia, Wiktora Woroszylskiego, Kazimierza Brandysa, Stanisława Barańczaka, Ryszarda Krynickiego i Marka Nowakowskiego. W ten sposób Instytut coraz wyraźniej stawał się miejscem, w którym literatura polska była traktowana jako całość – niezależnie od tego, czy jej autor mieszkał w kraju, czy na emigracji.

Obok pisarzy i poetów Giedroyc otwierał łamy również dla przedstawicieli demokratycznej opozycji. Publikowali tu m.in. Jacek Kuroń i Adam Michnik, a ich teksty należały do ważnego nurtu politycznej debaty prowadzonej poza oficjalnym obiegiem. Instytut reagował także na najważniejsze wydarzenia w kraju – po wprowadzeniu stanu wojennego ukazał się między innymi *Raport o stanie wojennym* Marka Nowakowskiego.

Maisons-Laffitte było również miejscem spotkań. Przyjeżdżali tam pisarze i intelektualiści z kraju. Niektórzy właśnie dzięki Instytutowi mogli wydać swoje pierwsze książki na emigracji. W domu Giedroycia spotykały się więc dwa światy, które władza komunistyczna chciała od siebie oddzielić.

Instytut działał na rzecz ich ponownego połączenia.



Zofia Hertz, Jerzy Giedroyc i Henryk Giedroyc, Maisons-Laffitte, 1965 FOT. KULTURAPARYSKA.COM

Wschód i przyszłość

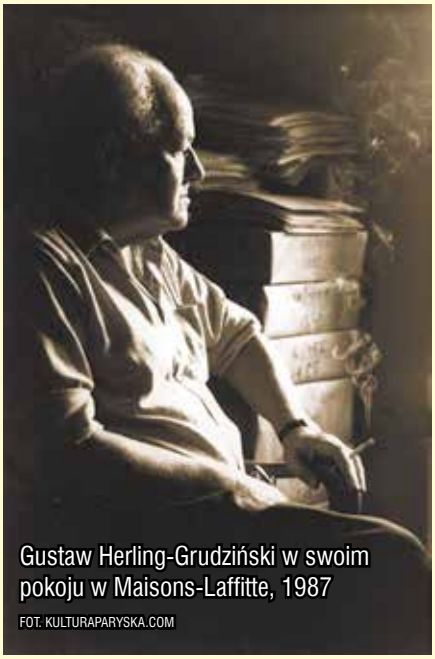
Jednym z najbardziej dalekowzrocznych, a zarazem najbardziej dyskusyjnych elementów programu „Kultury" była koncepcja Jerzego Giedroycia i Juliusza Mieroszewskiego dotycząca Europy Wschodniej.

Ich punkt wyjścia był prosty: przyszłe bezpieczeństwo Polski wymagało nie tylko własnej niepodległości, ale także podmiotowości jej wschodnich sąsiadów. Szczególne miejsce zajmowały Ukraina, Litwa i Białoruś. Polska przyszłości miała funkcjonować w otoczeniu państw zdolnych do samodzielnego kształtowania swojej polityki, a nie między kolejnymi potęgami próbującymi podporządkować sobie Europę Środkowo-Wschodnią.

Dla części polskiej emigracji była to koncepcja trudna do zaakceptowania. Pamięć o Kresach, utraconych miastach, polskim dziedzictwie kulturowym i doświadczeniach wojennych pozostawała bardzo silna. Giedroyc proponował jednak spojrzenie z innej perspektywy: nie tylko na to, co Polska utraciła, lecz także na to, w jakim otoczeniu będzie mogła bezpiecznie istnieć.

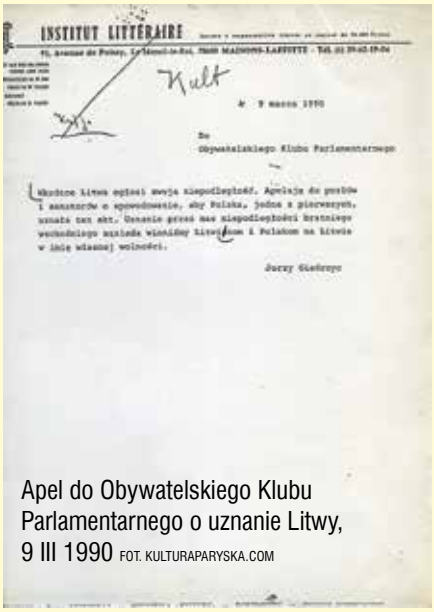
Po 1989 roku wiele elementów tej koncepcji stało się częścią polskiego myślenia o bezpieczeństwie i polityce wschodniej. Z perspektywy późniejszych doświadczeń pojawiły się jednak pytania o jej ograniczenia, zwłaszcza o to, czy w imię przyszłego partnerstwa nie odsuwano czasem zbyt łatwo na bok problemów pamięci historycznej i różnic interesów.

Szczególnie trudne pozostają relacje polsko-ukraińskie. Obok idei przyszłego partnerstwa pozostaje pamięć o ludobójstwie dokonanym na Polakach, o wysiedleniach



Gustaw Herling-Grudziński w swoim pokoju w Maisons-Laffitte, 1987 FOT. KULTURAPARYSKA.COM

i cierpieniu ludności cywilnej. Budowanie przyszłego porozumienia nie powinno oznaczać rezygnacji z prawdy o przeszłości ani pomniejszania krzywdy ofiar.



Apel do Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego o uznanie Litwy, 9 III 1990 FOT. KULTURAPARYSKA.COM

Nie przekreśla to znaczenia myśli Giedroycia i Mieroszewskiego. Ich dziedzictwo nie powinno być jednak traktowane jako zbiór niepodważalnych tez. Budowanie przyszłego porozumienia nie może oznaczać rezygnacji z prawdy o przeszłości ani pomniejszania krzywdy ofiar. Doświadczenia ostatnich dekad skłaniają raczej do ponownego odczytywania tej koncepcji i konfrontowania jej z rzeczywistością, która okazała się bardziej złożona, niż mogli przewidywać jej twórcy.

„Kultura" nie była przecież świątynią jednej obowiązującej prawdy. Była miejscem, w którym różne poglądy mogły się spotykać, ścierać i wzajemnie podważać. Jeżeli dzisiaj zamienimy jej dziedzictwo w pomnik, odbierzemy mu część tego, co stanowiło o jego sile.

Pomnik nie potrzebuje dyskusji. Wielka idea – przeciwnie.



Historia i pamięć

Ważnym filarem działalności Instytutu były „Zeszyty Historyczne", wydawane od 1962 roku. W państwie, w którym historia pozostawała pod kontrolą polityczną, publikowanie dokumentów, wspomnień i świadectw stawało się formą obrony pamięci.

„Zeszyty" nie miały być jednak jedynie magazynem emigracyjnych legend. Dawały miejsce dokumentom, relacjom i różnym interpretacjom. Pozwalały podejmować tematy, których w kraju nie można było swobodnie badać i publikować. Do 2010 roku ukazało się 171 numerów pisma.

Ich zakończenie było jednym ze świadectw zmiany epoki. Po 1989 roku zniesiono cenzurę, otwierały się archiwa, a historycy zyskali dostęp do źródeł wcześniej niedostępnych. Nie oznaczało to końca sporów historycznych, ale zmieniło warunki, w których „Zeszyty" powstawały.

Instytut potrafił więc zakończyć przedsięwzięcie wtedy, gdy zmieniły się historyczne okoliczności, które je uzasadniały. To również jest świadectwem jego odpowiedzialności.

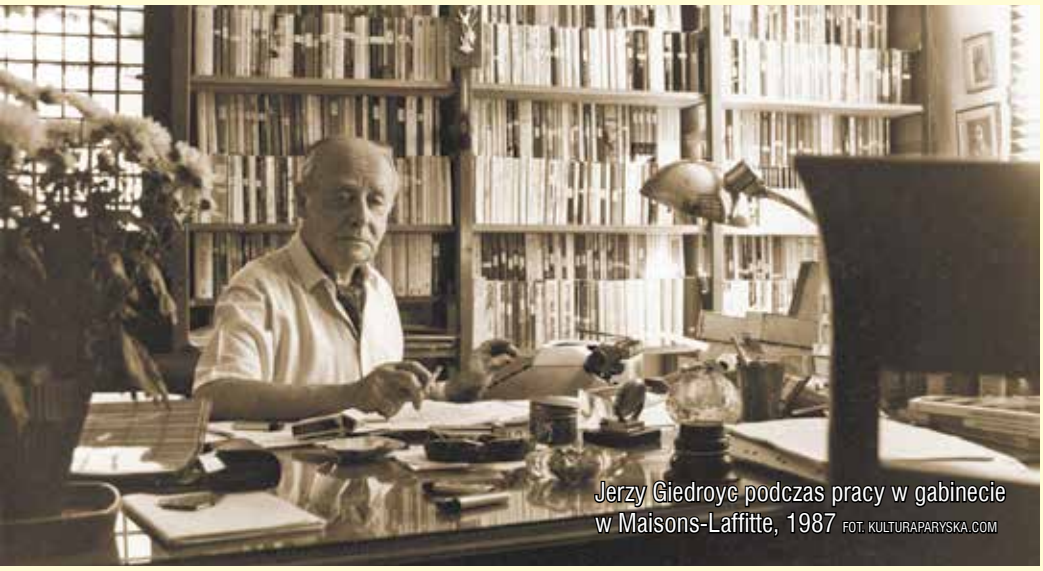
Jerzy Giedroyc zmarł w nocy z 14 na 15 września 2000 roku. Wraz z jego śmiercią zakończyła się epoka „Kultury", ale nie zakończyła się historia domu przy avenue de Poissy.

Pozostały rękopisy, dokumenty redakcyjne, fotografie, nagrania i tysiące innych świadectw działalności Instytutu. W archiwum zachowano wszystkie numery „Kultury" i „Zeszytów Historycznych", rękopisy książek wydawanych przez Instytut oraz obszerny zbiór korespondencji Jerzego Giedroycia, liczący około 150 tysięcy listów.

W 2009 roku Archiwum Instytutu Literackiego zostało wpisane na listę UNESCO „Pamięć Świata".

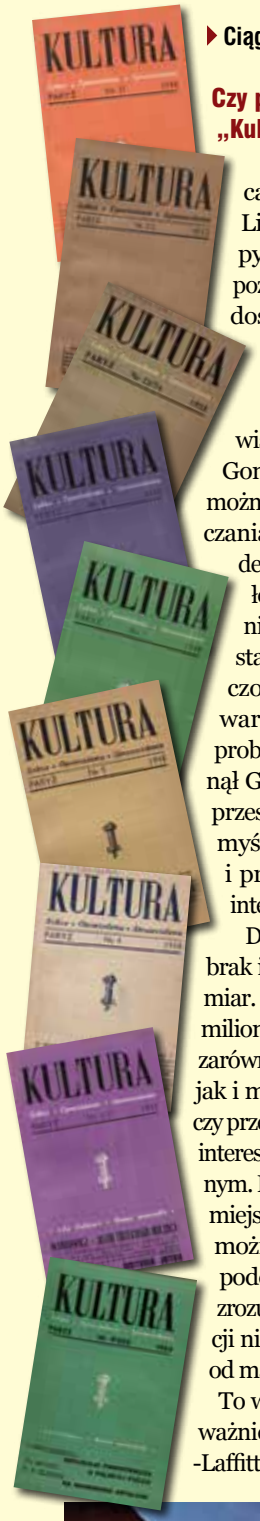
Jest w tym szczególna ironia historii. Kiedyś państwo komunistyczne próbowało ograniczyć dostęp do treści powstających w Maisons-Laffitte. Dziś archiwum tego domu jest częścią światowego dziedzictwa dokumentacyjnego i jednym z najważniejszych źródeł do poznania powojennej historii Polski i Europy Środkowo-Wschodniej.

Dom, który kiedyś służył tworzeniu historii, stał się miejscem jej przechowywania.



Jerzy Giedroyc podczas pracy w gabinecie w Maisons-Laffitte, 1987 FOT. KULTURAPARYSKA.COM

Ciąg dalszy na s. 48



Ciąg dalszy ze s. 47

Czy potrzebujemy dziś „Kultury”?

Osiemdziesiąta rocznica powstania Instytutu Literackiego skłania do pytania wykraczającego poza historię emigracji: czy doświadczenie Maisons-Laffitte jest nam jeszcze potrzebne?

Żyjemy już w rzeczywistości, w której książkę Gombrowicza czy Miłosza można zamówić bez przekraczania granicy. Cenzura nie decyduje o tym, jakie dzieło może trafić do księgarni, a dostęp do informacji stał się niemal nieograniczony. Zmieniły się więc warunki, ale nie zniknął problem, przed którym stanął Giedroyc: jak zachować przestrzeń dla niezależnego myślenia wobec nacisków i prób narzucania jednej interpretacji rzeczywistości.

Dzisiaj problemem nie jest brak informacji, lecz jej nadmiar. W ciągu kilku minut do milionów ludzi mogą dotrzeć zarówno rzetelne wiadomości, jak i manipulacje, półprawdy czy przekazy podporządkowane interesom politycznym i partyjnym. Potrzebujemy natomiast miejsc, w których różne głosy można spokojnie zestawić, poddać krytyce i próbować zrozumieć. Wolność informacji nie jest jeszcze wolnością od manipulacji.

To właśnie jest jedna z najważniejszych lekcji Maisons-Laffitte. Znaczenie Giedroycia można doceniać, nie zgadzając się ze wszystkimi jego poglądami ani przyjmując bez zastrzeżeń wszystkich tez „Kultury”. Siłą tego miejsca nie była nieomylność, lecz gotowość do formułowania pytań, prowadzenia sporów i podważania utartych odpowiedzi.

Najważniejszego dorobku Instytutu nie da się sprowadzić do jednej książki, nawet jeśli wiele z wydanych tam dzieł weszło do kanonu polskiej kultury. Nie wyczerpują go również liczby – 637 numerów „Kultury”, 512 tomów Biblioteki „Kultury” czy 171 numerów „Zeszytów Historycznych”. Najważniejsze było stworzenie niezależnej przestrzeni dla polskiego myślenia.



Spotkanie w drukarni; od lewej: Gustaw Herling-Grudziński, ks. Zenon Modzelewski, ks. Tadeusz Tomasiński, Danuta Szumska i Jerzy Giedroyc FOT. KULTURAPARYSKA.COM


Uroczystość nadania Jerzemu Giedroyciowi honorowego obywatelstwa Litwy; od lewej: Adam Michnik, NN, Algirdas Brazauskas, Jerzy Giedroyc, Aleksander Kwaśniewski i Zofia Hertz, 1997 FOT. KULTURAPARYSKA.COM

Maisons-Laffitte, 2026

Historia Instytutu Literackiego zaczęła się w Rzymie w 1946 roku jako niewielkie przedsięwzięcie związane z 2. Korpusem Polskim. Przez następne dziesięciolecia wyrosło z niego jedno z najważniejszych centrów polskiego życia intelektualnego poza krajem.

Z jego książek korzystała literatura emigracyjna i krajowa. Z jego tekstów korzystał drugi obieg. Jego autorzy wpływali na sposób myślenia o Polsce, Europie i jej wschodnich sąsiadach. Jego archiwum pozwala dziś kolejnym pokoleniom wracać do historii, która przez długi czas była częściowo zakazana, przemilczana albo zniekształcana.

Ale najważniejszego dorobku Instytutu nie da się policzyć.

Był nim fakt, że w czasach, gdy wolność myślenia została ograniczona przez system polityczny, istniało miejsce, które tej wolności nie podporządkowało. Miejsce, w którym można było powiedzieć „nie”, ale także „nie wiem” i „nie zgadzam się”.

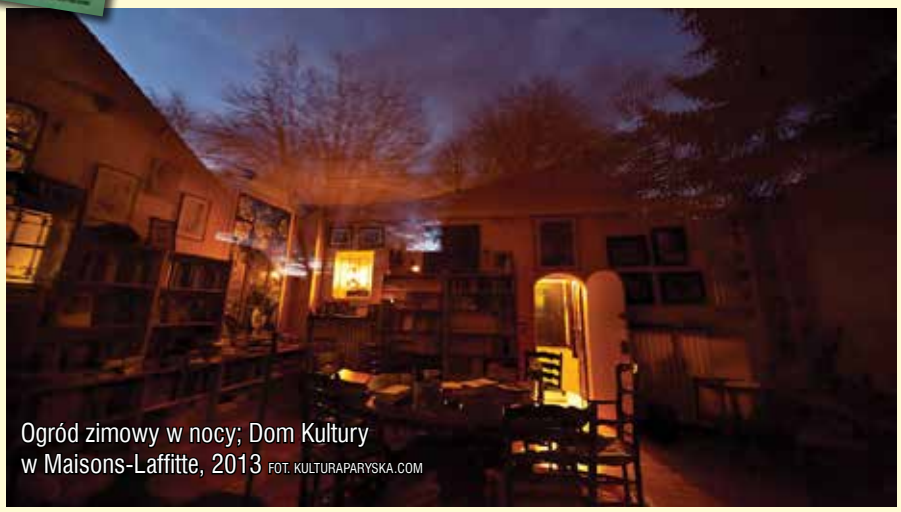
To właśnie odróżnia żywą kulturę od pomnika.

Dlatego po osiemdziesięciu latach nie warto patrzeć na Maisons-Laffitte wyłącznie jak na muzeum emigracyjnej przeszłości. Warto patrzeć na nie jak na lekcję odpowiedzialności za słowo, pamięć i przyszłość.

Bo kiedy zabrakło wolnego państwa, pozostała książka. Kiedy zabrakło wolnej prasy, pozostała „Kultura”. A kiedy książka musiała przekroczyć granicę, znalazł się ktoś, kto ją przewiózł i przekazał dalej.

Po tamtej epoce pozostał dom, który przez ponad pół wieku przechowywał coś większego niż książki – możliwość wolnej Polski.

IRENEUSZ ST. BRUSKI


Ogród zimowy w nocy; Dom Kultury w Maisons-Laffitte, 2013 FOT. KULTURAPARYSKA.COM

Mój dom w Maisons-Laffitte

Rysunki i szkice Józefa Czapskiego



Autoportret







FOT. KULTURAPARYSKA.COM

Józef Czapski (1896--1993) to jedna z najbardziej fascynujących i wszechstronnych postaci polskiej kultury XX wieku. Wybitny malarz kolorysta, pisarz i eseista, był zarazem arystokratą, oficerem Wojska Polskiego, ocalałym więźniem sowieckiego obozu w Starobielsku oraz niestrudzonym poszukiwaczem prawdy o zbrodni katyńskiej. Po wojnie, jako przymusowy emigrant, stał się współtwórcą i jednym z filarów paryskiej „Kultury".

Dom przy avenue de Poissy 91 w Maisons-Laffitte był dla Józefa Czapskiego czymś więcej niż adresem – był jego pracownią, schronieniem i miejscem, w którym przez dziesięciolecia koncentrowało się życie polskiej emigracji niepodległościowej. Czapski niemal nie rozstawał się z kajetami, w których tuszem, akwarelą i piórem utrwalał wnętrza domu, portrety przyjaciół, codzienne życie jego mieszkańców oraz grę światła w swoim pokoju.



Jerzy Giedroyc



Marynia (Maria) Czapska



Zbigniew Herbert

Black – maskotka redakcji

Prezentacja rysunków Józefa Czapskiego jest szczególną okazją, by spojrzeć na legendarną siedzibę Instytutu Literackiego nie przez pryzmat jej oficjalnej, pomnikowej historii, lecz przez intymne i wrażliwe oko jej stałego mieszkańca. **ISB**

Międzynarodowy Dzień Tańca 2026



FOT. © ANGELA STERLING

Ludzie są w ciągłym ruchu. Nasze ręce sięgają przed siebie, kolana uginają się, głowa daje znaki skinieniem, klatka piersiowa zapada się, nasze plecy się pochylają. Skaczemy, wzruszamy ramionami, zaciskamy pięści, podnosimy się nawzajem i odtrącamy. Ruch to język – w takim samym stopniu jak działanie. To właśnie to, co ciało ma do powiedzenia o naszych potrzebach, porażkach, o odwadze, rozpaczy, o pragnieniach, o radości, sprzeczności uczuć, frustracji i miłości. Te obrazy wywołują w nas emocje, ponieważ wyraźnie zapisały się w ciele – poruszyły nas.

Jesteśmy tancerzami. Wszyscy. Życie nas porusza. Życie z nami tańczy. Taniec jest złożony z nas – ulotny jak oddech, a zarazem namacalny jak kość. Kształtujemy otoczenie. Posługujemy się ciałem jak językiem bez słów, który każdy doskonale rozumie. Tańczymy – i tym samym wzbogacamy nasze wnętrza oraz wszystko, co jest wokół nas.

Taniec – tak jak życie – zaczyna się i kończy w jednej chwili. I tak jak miłość – jest poza rozumem.

Lubię myśleć o ciele jak o miejscu – przestrzeni, w której rodzi się i kształtuje nasza tożsamość. Kiedy tańczymy, jesteśmy całym sercem właśnie tam. Piszę te słowa na początku 2026 roku, kiedy prześladowania, niepokój i cierpienie na świecie nie ustają. Każdego dnia patrzymy z grozą na to, do czego zdolni są ludzie wobec siebie nawzajem. Jesteśmy świadkami mechanizmów władzy, która finansuje i podsyca niewiarygodną przemoc wobec ludzi i planety. W takim świecie taniec może wydawać się naiwną i daremną formą reakcji. Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób tancerz mógłby zmienić rzeczywistość, która rozpaczliwie potrzebuje radykalnych kroków i uzdrowienia.

A jednak sztuka, podobnie jak nadzieja, jest formą miłości. W obliczu zniszczenia – sztuka, dzięki swojej niezwykle twórczej sile, ożywia zastygły umysł i jest balsamem, który przynosi ukojenie. Jest przestrzenią, która pozwala nam wspólnie mierzyć się z pytaniami – inaczej niż poprzez szukanie odpowiedzi w wiadomościach, dokumentach i edukacji, w opiniach czy mediach społecznościowych, inaczej niż poprzez aktywizm czy protest – choć w sposób niesprzeczny z tymi aktywnościami.

Dzięki twórczości budujemy wewnętrzną siłę i mamy coraz więcej nadziei – dzieje się to poprzez drobne przejawy odwagi, ciekawość, życzliwość i współpracę. W tańcu i w tworzeniu choreografii znajdujemy dowód na to, że ludzkość jest czymś więcej niż ostatnią druzgocącą światową porażką.

Taniec nie potrzebuje jednak uzasadnienia ani wyjaśnienia. Jest z nas stworzony, ale nie jest naszym dłużnikiem. Potrzebuje tylko ciała otwartego na przyjęcie. W ten sposób może wyrazić niewysłowione – i stać się pośrednikiem między nami a tym, co niepoznane. Poruszają nas nietrwałe ślady piękna obecne w tej właśnie chwili. A gdy ucieleśniamy zarówno taniec, jak i jego brak, ożywiamy tym samym myśl o przemijaniu. Jeśli jednak będziemy uważni, taniec pozwoli nam zatrzymać chwilę i zajrzeć w głąb naszej duszy.

CRYSTAL PITE

FOT. © ANOUSH ABRAR

Crystal Pite – kanadyjska choreografka i była tancerka Ballet British Columbia oraz zespołu Ballett Frankfurt, kierowanego przez Williama Forsythe'a. W ciągu ponad 35-letniej kariery stworzyła ponad 60 choreografii dla czołowych zespołów, m.in. The Royal Ballet, Nederlands Dans Theater, Ballet de l'Opéra national de Paris i The National Ballet of Canada. W swoich pracach łączy taniec z teatrem, podejmując tematy traumy, konfliktu, świadomości i śmiertelności. W 2002 roku założyła w Vancouver zespół Kidd Pivot, z którym tworzy nowatorskie spektakle prezentowane na międzynarodowych scenach. Do najbardziej znanych należą Betroffenheit, Revisor, Assembly Hall (współtworzony z Jonathonem Youngiem), Dark Matters i The You Show. Współpracuje z Nederlands Dans Theater (Holandia), Sadler's Wells (Wielka Brytania) oraz National Arts Centre (Kanada). Jej dorobek przyniósł jej liczne wyróżnienia, w tym Jacob's Pillow Dance Award (2011), Jacqueline Lemieux Prize (2012), Benois de la Danse (2017) za choreografię The Seasons' Canon oraz Grand Prix de la Danse de Montréal (2018). W 2022 roku otrzymała Governor General's Performing Arts Award. Jest członkinią Orderu Kanady, doktorem honoris causa Simon Fraser University oraz laureatką pięciu nagród Laurence Olivier Awards związanych z jej realizacjami. Uhonorowano ją także francuskim tytułem Officier de l'Ordre des Arts et des Lettres.

Międzynarodowy Dzień Tańca ustanowiono w 1982 roku z inicjatywy Komitetu Tańca Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI), działającego pod auspicjami UNESCO. Datę 29 kwietnia wybrano na pamiątkę Jean-Georges'a Noverre'a – francuskiego tancerza i choreografa, reformatora baletu, uznawanego za jednego z twórców nowoczesnej sztuki tańca. Tego dnia przypada rocznica jego chrztu.



FOT. © AMADEUSZ KOCZERGO



FOT. © KAROLINA BILSKA

Co roku z okazji święta publikowane jest orędzie wybitnego artysty tańca, skierowane do wszystkich, którzy tę sztukę tworzą i kochają. W Polsce, z inicjatywy Fundacji na rzecz Sztuki Tańca, przygotowywane jest także odrębne przesłanie, którego autorem jest polski artysta tańca.
W 2026 roku warszawskie obchody, organizowane przez Fundację we współpracy z Ogólnokształcącą Szkołą Baletową im. Romana Turczynowicza, odbyły się tradycyjnie przy pomniku Warszawskiej Terpsychory, w pobliżu Teatru Wielkiego - Opery Narodowej. Podczas uroczystości odczytano polskie orędzie autorstwa Henryka Konwińskiego – tancerza, reżysera, pedagoga i wybitnego choreografa związanego z Operą Śląską w Bytomiu. Wygłoszono również przemówienia, wspomniano zmarłych artystów tańca i złożono kwiaty pod pomnikiem. Spotkanie dopełnił występ uczniów w gmachu szkoły baletowej przy ul. Moliera.

AS



FOT. © KAROL FATYGA

Sztuka tańca ma wielką moc

Święto tańca, to szczególna okazja spojrzenia na Was, wspaniałych ludzi, którzy dzięki ogromnej pasji, pracy, samozaparcia, zmagania z samym sobą, swoją fizycznością i duszą, wchodzicie na scenę i opowiadacie wspaniałe historie.

Jesteście nad wyraz wrażliwi. Czujecie inaczej, myślicie inaczej. Używacie innego języka wyrażając siebie i komunikując się ze światem bez słów, a przy tym bardzo, bardzo ciężko pracujecie.

Mamy swój Międzynarodowy Dzień Tańca i w tym dniu chcę się Wam głęboko pokłonić. Tobie Artystko baletu, Artysto baletu, Tancerzu, Tancerko – kłaniam się.

Dzisiaj przez chwilę, nawet jeśli się śpieszysz na lekcję, na próbę, na scenę – zatrzymaj się na moment i pomyśl, że idziesz zmieniać świat, inspirować ludzi, łączyć, poruszać serca i dusze, sprawiać, że świat dzięki uniwersalnemu językowi tańca, którym się posługujesz, staje się piękniejszy, a widzowie którzy wychodzą z teatru – lepsi.

Bo taka jest moc sztuki tańca, Twoja moc.

Życzę Ci Artystko baletu, Artysto baletu, Tancerzu, Tancerko jak najmniej zwątpień w sens swojej pracy, w sens bycia artystą, nawet wtedy, gdy masz gorszy dzień, obolałe ciało i widzisz poranione palce stóp.

Życzę Ci, aby zdrowie dopisywało, a kontuzje omijały. A Ciebie – kiedy zamierasz w finałowym akordzie, kiedy jeszcze drżysz wewnętrznie, a już w aplauzie widowni pytasz bezgłośnie: „Podobało się?" – nigdy nie opuściła radość z bycia na scenie.

Dziękuję!
Pozdrawiam!
Życzę sukcesów!

HENRYK KONWIŃSKI



FOT. © AMADEUSZ KOCZERGO



FOT. © GUILLERMO NAVARRO / ABC.ES

Afera Sokala



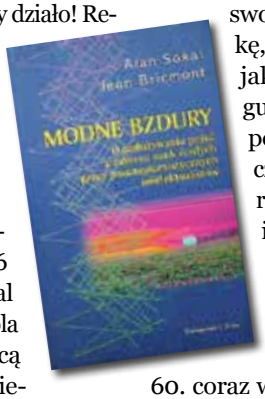
WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI

Tandeta uniwersytecka, w stadium średnio zaawansowanym, ma kilka specyficznych cech: potrafi być bezgranicznie z siebie zadowolona. Nawet zwyczajna głupota oczekuje celebracji. Zarazem, jak długo to możliwe, stara się unikać swobodnej wymiany zdań i opinii. Jej sztuczny autorytet opiera się głównie na nadrabianiu miną.

Obserwując to zjawisko z bliska, fizyk i matematyk amerykański, Alan David Sokal (rocznik 1955), absolwent uniwersytetów Harvarda i Princeton, zadał sobie szydercze pytanie, czy prestiżowe pismo naukowe zamieści na swoich łamach kompletnie bzdurną rozprawę, w której jeden idiotyzm goni drugi, a razem tworzą równie kretyńską całość. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Postanowił to wypróbować i nie pomylił się. Urodzony w Bostonie (Massachusetts) Sokal jest profesorem matematyki w University College London i fizyki na New York University.

Z czasem to bulwersujące zdarzenie w świecie nauki przywłaszczyło sobie różne nazwy: sprawa Sokala, afera Sokala, prowokacja Sokala, mistyfikacja Sokala, żart Sokala i nadal powstają zupełnie nowe określenia. Wesołek doszedł do wniosku, że chcąc urzeczywistnić ten karkołomny pomysł, zupełnie wystarczą dwa warunki, które bezwzględnie powinien spełnić autor: tekst musi, jak na naukowy artykuł przystało, dobrze brzmieć i być w miarę zbliżony do poglądów, jakie są szczególnie bliskie samej redakcji. Wtedy bezmyślność w niczym mu nie zaszkodzi. Pozornie artykuł wydrukowany przez profesora Sokala miał bardzo uczony tytuł: „Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce kwantowej grawitacji". Środek tekstu był również nafaszerowany terminologią jak się patrzy. I redakcja połknęła haczyk gładko. Za alibi wystarczyło jej, że autor jest pracownikiem naukowym i wykładowcą renomowanych uczelni.

Artykuł pełen głupot opublikował kwartalnik „Social Text", wydawany przez Duke University Press. Co to się wtedy działo! Redaktor naczelny czasopisma wkrótce stracił pracę. Nikt ze specjalistów, którzy czytali ten tekst przed jego publikacją nie dostrzegł parodii postmodernistycznego języka i przy okazji zwyczajnych drwin z tzw. uczoności. W tym samym roku 1996 redaktorzy kwartalnika „Social Text" otrzymali Nagrodę Ig Nobla w dziedzinie literatury, będącą szyderczą podróbką szwedzkiego wyróżnienia.



Lecz wbrew pozorom nie był to wcale koniec afery, jaka się rozpętała. Nie pozostało nic innego, tylko pójść za ciosem, czyli na całego, nie oglądając się na dezaprobatę otoczenia. Wkrótce Alan Sokal i Jean Bricmont napisali i opublikowali sławną książkę *Modne bzdury*, która ukazała się również po polsku. Za wdzięczny przedmiot swoich kpin wybrali humanistykę, a zwłaszcza postmodernizm, jak wiadomo, powstały w kręgu kultury francuskiej. Dlatego postmoderniści w polemikach często wypominali Sokalowi wyraźne nastawienie antyfrancuskie i przesadne szyderstwa z nauki zachodnioeuropejskiej. Nie wszyscy byli tym zachwyceni.

Teksty źródłowe ujmują to w sposób następujący: „Od lat 60. coraz większą popularnością cieszył się dość specyficzny nurt filozofii – postmodernizm. Sokal zwrócił uwagę na trzy rzeczy, którymi charakteryzowali się jego



Transgressing the Boundaries

TOWARD A TRANSFORMATIVE HERMENEUTICS OF QUANTUM GRAVITY

Alan D. Sokal

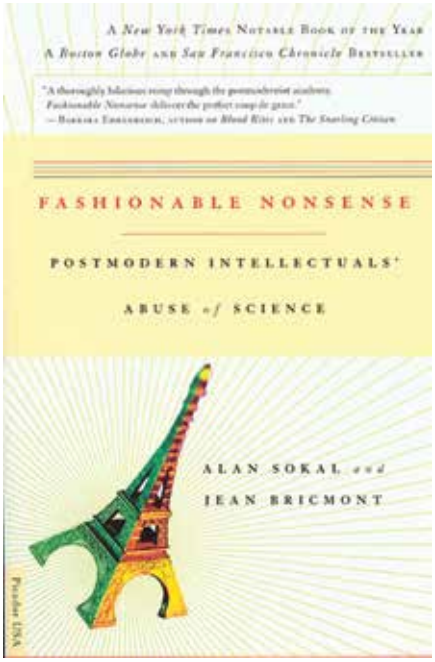
Transgressing disciplinary boundaries . . . [is] a subversive undertaking since it is likely to violate the sanctuaries of accepted ways of perceiving. Among the most fortified boundaries have been those between the natural sciences and the humanities.
—Valerie Greenberg, *Transgressive Readings*

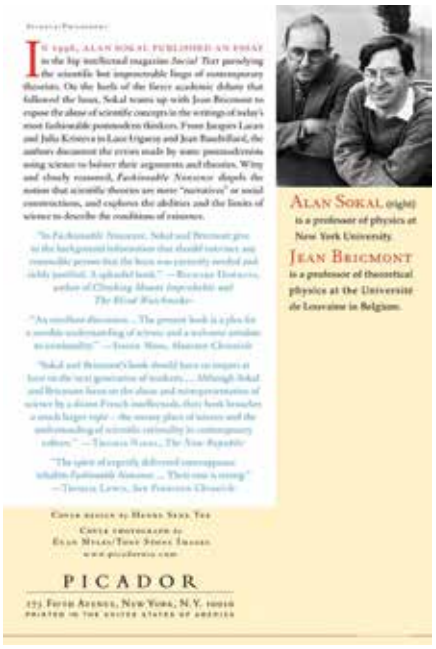
The struggle for the transformation of ideology into critical science . . . proceeds on the foundation that the critique of all presuppositions of science and ideology must be the only absolute principle of science.
—Stanley Aronowitz, *Science as Power*

There are many natural scientists, and especially physicists, who continue to reject the notion that the disciplines concerned with social and cultural criticism can have anything to contribute, except perhaps peripherally, to their research. Still less are they receptive to the idea that the very foundations of their worldview must be revised or rebuilt in the light of such criticism. Rather, they cling to the dogma imposed by the long post-Enlightenment hegemony over the Western intellectual outlook, which can be summarized briefly as follows: that there exists an external world, whose properties are independent of any individual human being and indeed of humanity as a whole; that these properties are encoded in "eternal" physical laws; and that human beings can obtain reliable, albeit imperfect and tentative, knowledge of these laws by hewing to the "objective" procedures and epistemological strictures prescribed by the (so-called) scientific method.

But deep conceptual shifts within twentieth-century science have undermined this Cartesian-Newtonian metaphysics (Heisenberg 1958; Bohr 1963); revisionist studies in the history and philosophy of science have cast further doubt on its credibility (Kuhn 1970; Feyerabend 1975; Latour 1987; Aronowitz 1988b; Bloor 1991); and, most recently, feminist and poststructuralist critiques have demystified the substantive content of mainstream Western scientific practice, revealing the ideology of domination concealed behind the facade of "objectivity" (Merchant 1980; Keller 1985; Harding 1986, 1991; Haraway 1989, 1991; Best 1991). It has thus become increasingly apparent that physical "reality," no less than social "reality," is at bottom a social and linguistic construct; that scientific "knowledge," far from being objective, reflects and encodes the domi-

Social Text 46/47, Vol. 14, Nos. 1 and 2, Spring/Summer 1996. Copyright © 1996 by Duke University Press.





zwolennicy. Po pierwsze, nawet w naukach ścisłych widzieli jedynie względne konstrukty, powstałe w wyniku uwarunkowań historycznych i językowych (przykładowo: teoria względności Einsteina to wyraz opresyjnego, białego szowinizmu). Czy coś w tym stylu. Po drugie, nie mieli o tych naukach zielonego pojęcia. I po trzecie, co w oczy rzucało się najbardziej: swoje bzdurne teorie głosili z niebywałym zapałem, totalnie nie przystającym do ich poziomu wiedzy".

Postmodernizm dość szybko osiągnął nie status wiedzy, lecz mody i religii. Domagał się kultu i stałego wyznawania wiary, a nie krytycznego myślenia, bez którego nauka przestaje być wiedzą i poszukiwaniem. Bardzo wcześnie zaczął prześladować odszczepieńców doktryny i jej heretyków. Z myślą o nich wznosił i podpalał intelektualne stosy (na szczęście tylko w wyobraźni). Niejako przy okazji rościł sobie wyłączność na posiadanie prawdy. Była ona jedyna i niepodważalna, właśnie postmodernistyczna.

Zazwyczaj głupota uczelniana odgrywa swój teatr na wielu planach; można powiedzieć, że wyżywa się w odpowiednim inscenizowaniu własnej ważności. Wówczas nieodzownym językiem, którym się posługuje, bywa przerysowany patos, jakby powaga i nadętość miały być dodatkowym argumentem. Zazwyczaj mają one do spełnienia ważne zadanie: onieśmielić ewentualnych oponentów, by ostatecznie zrezygnowali z zabrania głosu. W tym przypadku milczenie kolegów jest mile widziane i doceniane.

Nie od rzeczy będzie przypomnienie złośliwej opinii, że „uczelnie zdominowane przez postmodernistów zamiast szerzyć wiedzę stawały się paradoksalnie największym siedliskiem ciemnoty". Pod zalewem pojęć nie kryła się bowiem żadna głębsza myśl. Najbardziej w *Modnych bzdurach*, pamflecie na europejską naukę, autorzy wyśmiewają współczesnych francuskich humanistów, którzy dla dodania sobie sztucznej powagi nadużywają terminów zapożyczonych kurczowo z nauk ścisłych. Zjawisku towarzyszy coraz częstsze odchodzenie uczonych europejskich od metod racjonalnych i szanujących empirię, czyli twardy grunt faktów pod nogami. Oczywiście w końcowej fazie prowadzi to do bardzo żałosnych rezultatów. Nauka tak naprawdę okazuje się stratą czasu i w znacznej mierze udawaniem.



Niestety, zadufani w sobie autorzy nie dostrzegają nawet swojej śmieszności. Zazwyczaj uczony głuptas jest do swoich kretynizmów bardzo przywiązany i nic na to nie można poradzić. Dyskusja z nim nic nie daje, pozostaje go tylko obśmiać, a Sokal doszedł w tym do dość dużej wprawy. Oskarżono go o kalanie własnego środowiska i ostentacyjną nielojalność, lecz okazał się człowiekiem odpornym.

Oto przykład postmodernistycznej żonglerki, pierwszy z brzegu. Podobno seksizm nakazuje fizykom mężczyznom interesować się wyłącznie mechaniką ciała sztywnego. Jasne? Jak słońce. Poza tym świetnie się kojarzy. Jeśli kto ma w tej sprawie odmienne zdanie, jest przestarzały i nie idzie z duchem postępu. I ciekną popisy tego typu odkrywczej wpływologii, jakby ktoś przez nieuwagę lub zapomnienie, odkręcił kran.

W ten sposób docieramy do pewnej dygresji. Doskonale pamiętam dowcipny fragment wykładu, pochodzącego z Wilna profesora o licznych niedoróbkach intelektualnych, trapiących również środowiska artystyczne, niezależnie od miejsca i czasu. Wykładowca dawnego Uniwersytetu Stefana Batorego znęcał się nad nimi w sposób niemiłosierny. Tak to wówczas odbierałem. Po latach sądzę, że miał jednak sporo racji. Na szczęście jego wyrafinowane poczucie humoru, nieco łagodziło wrażenie wielkiej uszczypliwości, tym bardziej ponieważ w naszej uczelni uchodził za człowieka wyjątkowo dobrych manier i łagodnego stosunku do świata i ludzi.

Otóż wygłosił wówczas uniwersalną diagnozę, jak mówił: w gronie ludzi sztuki osobnicy najgłupsi najczęściej zdarzają się wśród aktorów. To prawie niepisana reguła. Dlatego na ogół zupełnie nie warto słuchać, co mają do powiedzenia na temat historii, polityki czy życia społecznego, gdyż z miną znawców recytują takie głupstwa, od których puchną uszy. Na co dzień powtarzają cudze myśli, czyli refleksje autorów dramatów. Z czasem wchodzi im to w nawyk i z wielkim patosem przytaczają każdy zasłyszany absurd, z pełnym przekonaniem, że wygłaszają nie wiadomo jak istotną mądrość.

Dalej, na drugim miejscu, są muzycy, którzy w dziedzinie dyletantyzmu walczą z plastykami. Czwórkę okupują ludzie pióra, wśród których przodują literaci. Gdy zdarzy się głupi poeta, to już jest nie do uratowania. I nic na to nie można poradzić. Swego czasu, ostrzegając Ateny przed poetami, Platon miał sporo racji. W naszych czasach wyraźnie wspierał go Gombrowicz. No cóż, stara Europa nabiera wody i zdaje się, że nic nie potrafi już jej uratować. **WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI**

IMPROBABLE RESEARCH
Research that makes people LAUGH...then THINK

Demolowania porządku moralnego ciąg dalszy

ELŻBIETA
KRÓLIKOWSKA-AVIS



FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Właśnie ogłoszono, że dr Gizela Jagielska, aborcjonistka i pupilka środowisk lewicowo-liberalnych otrzymała w plebiscycie czytelników tygodnika „Wysokie Obcasy", dodatku do „Gazety Wyborczej", tytuł „Superbohaterki 2025". Jagielska zasłynęła z tego, że od lat zabija dzieci nienarodzone, a usłyszała o niej cała Polska, kiedy w ubiegłym roku w szpitalu oleśnickim zastrzykiem z chlorku potasu, uśmierciła dziecko, Felka, w 9. miesiącu ciąży. Ten zaszczytny tytuł „Superbohaterki 2025" otrzymała za „odwagę i bezkompromisowość" oraz „wierność przysiędze Hipokratesa". Cały znany nam porządek moralny oraz znaczenie takich słów jak „odwaga" i „bezkompromisowość" zostały wywrócone do góry nogami. Z kolei przysięga Hipokratesa mówi: „po pierwsze: nie szkodzić", a uśmiercenie dziecka jest tej przysięgi największą zdradą.

Natknęłam się na kilka książek i filmów na temat aborcji. Amerykański obraz *Juno* Jasona Reitmana, polski *Ono* Małgorzaty Szumowskiej, rumuński *4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni* oraz kilka powieści, w tym *Dzieci duchy* znanej brytyjskiej pisarki Sue Townsend. Światowy sukces przyniosła jej seria *Sekretny dziennik Adriana Mole'a*, która w latach 80. była tym, czym dekadę później stał się *Harry Potter*. Potem bardzo zabawne satyry społeczne na współczesną Wielką Brytanię – *Królowa i ja, Numer 10*, chodzi o premiera Tony'ego Blaira czy *Camilla i ja*.

Sue Townsend była labourzystką, czyli socjalistką, ale odważnie protestowała przeciw niektórym poczynaniom Partii Pracy. I w 1997 roku zaskoczyła swoich czytelników książką inną niż poprzednie. Jej tytuł brzmi *Ghost Children* (*Dzieci-duchy*), a historia zaczyna się takim oto obrazkiem. Główny bohater Christopher znajduje na wysypisku śmieci niedaleko szpitala plastikową torbę, pełną wyskrobanych ludzkich płodów. Tu trzeba dodać, że w Wielkiej Brytanii do dziś obowiązuje prawo do aborcji do 6. miesiąca, na życzenie i za darmo. Chris zabiera je do domu, nadaje imiona i urządza im pochówek w swoim ogrodzie. Wracają wspomnienia. Dawno temu Chris miał dziewczynę, Angelę. Po jakiejś kłótni Angela zdecydowała się na aborcję ich dziecka, na które on czekał. Rozstali się i dziś Angela tkwi w małżeństwie bez miłości, a Chris nigdy się nie ożenił, bezrobotny po ostatnim załamaniu nerwowym. Powieść Sue Townsend odwołuje się do jej własnych doświadczeń, kiedy pisarka – mając już troje dzieci i przemocowego męża – poddała się aborcji. Wspomnienia ścigają ją, pojawiają się w myślach, rozmowach z przyjaciółkami, modlitwach i snach. Cała powieść mówi o stracie i żałobie, a więc opłakiwaniu tej straty.

Dziś jest to już dobrze znana i opisana jednostka chorobowa, która nazywa się Post-Abortion Stress Disorder (PASD), czyli stres spowodowany aborcją dokonaną wiele lat temu, której skutki zaczyna się odczuwać po latach. W 1997 roku podczas promocji książki *Dzieci-duchy* mocno już dojrzała pisarka – labourzystka mówiła: „Zawsze byłam po stronie praw kobiet do aborcji. Jednak dziś wiem, że to zła decyzja, zła w sensie fundamentalnym. To zabijanie życia. Wystarczy spojrzeć na oddział położniczy. Mnóstwo tu uśmiechniętych kobiet i ich troskliwych mężczyzn, miłe, bezpośrednie pogawędki, przyjazna atmosfera. A oddział, gdzie dokonuje się

aborcji? Cisza, nie słychać płaczu niemowląt, mężczyźni wyglądający nieswojo i milczące kobiety. Dojmujące uczucie smutku i straty, bez możliwości opłakania i żałoby. Czuję się wtedy, jakbym stała przed opuszczonym, anonimowym grobem".

Okazało się, że nie była ani pierwszą, ani jedyną pisarką, która podjęła w książce temat syndromu poaborcyjnego. Pięć lat przed nią, w 1992 roku, niemiecka autorka Karin Struck, uprzednio związana z ruchami lewicowymi, opublikowała rzecz o negatywnych skutkach psychicznych i moralnych aborcji, której sama poddała się w 1975 roku. Amerykańska feministka Rebecca Walker, w wywiadzie wspomniała o aborcji, której dokonała jako nastolatka, i o jej późniejszych skutkach. „Syndrom po-aborcyjny – powiedziała – jest jak stwardnienie rozsiane, rozwija się powoli i potrzebuje czasu". Ja sama pamiętam, że w Wielkiej Brytanii debata na temat negatywnych skutków psychicznych aborcji powróciła w 2007 roku po samobójczej śmierci malarki Emmy Beck. Nie udźwignęła ciężaru winy po pozbyciu się ciąży bliźniaczej.

Nauka przychodzi tym trzem pisarkom w sukurs. Z badań, prowadzonych w Finlandii (*Suicides after Pregnancy in Finland, 1987-94* Miki Gisslera) wynika, że odsetek samobójstw kobiet po zabiegu był dwa razy wyższy (37,7 proc.) niż odsetek samobójstw po samoczynnym poronieniu (18,1 proc.) i sześciokrotnie wyższy od samobójstw po udanym porodzie/porodach (5,4 proc.). A analizy porównawcze, przeprowadzone w Finlandii i w Kalifornii wykazały, że liczba zgonów związanych z ciążą jest dwa razy wyższa u kobiet po aborcji niż u kobiet, które donosiły ciążę (*Death Associated with Abortion Compared to Childbirths*, 2004). Ale nauka sobie, a środowiska „*pro-choice*" – sobie.

W przeciwieństwie do grup pro-life, zdaniem środowisk *pro-choice* syndrom po-aborcyjny nie istnieje, a mówienie o nim jest tylko „chwytem propagandowym środowisk *pro-life*". Uważają one także, że jeśli jakieś psychiczne problemy po zabiegu występują, są jedynie wmawianiem kobietom poczucia winy z powodu aborcji. I zwykle dostaje się wtedy Kościołowi katolickiemu, „który owo poczucie winy rozbudził i pogłębia". Mimo licznych organizacji *pro-life*, potępienia przez Watykan, wyników badań naukowych nad PASD, w polskich mediach pełno jest lewackich czupidronów – jak przy okazji fety nadawania dr Gizeli Jagielskiej tytułu „Superbohaterki 2025" – które ględzą coś o „dzielności i konsekwencji aborcjonistki" i „prawie do własnego brzucha". Sprzeciwiają się karze śmierci dla seryjnych morderców, ale nie przyjdzie im do głowy, jak należałoby nazwać dr Jagielską, aby był to termin adekwatny do tego, co od lat robi.

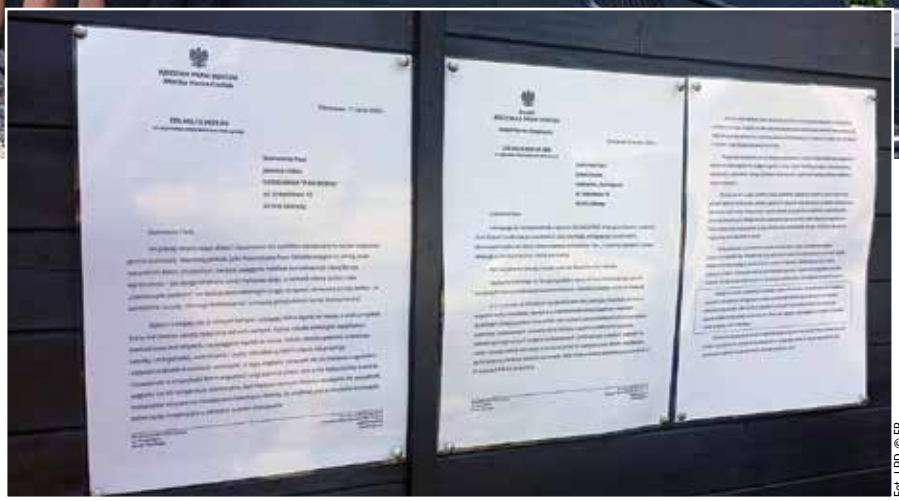
Prawo do aborcji to wciąż teren walki dwóch obozów politycznych. Z jednej strony „prawo do życia" i plakaty, przedstawiające 6-miesięczne płody – gdzie widać już wykształconą płeć dziecka – które powołują się na prawo naturalne, Dekalog, szlachetną papieską filozofię ochrony życia od poczęcia do naturalnej śmierci, pokazują skutki aborcji, medyczne i psychologiczne. Z drugiej – feministki, wskazujące na prawo do wyboru, do własnego życia, do wygody – w tle zwykle dysfunkcyjne rodziny, pogrążone w nędzy, i niekochane, zaniedbane dzieci. Zwykle pojawia się ta sama sztanca – tu biedna rodzina z marginesu, zabiedzone i maltretowane dzieci, z drugiej strony – kochająca się, zamożna gejowska para. Dlaczego przy okazji nie dodaje się, że – takie są wyniki badań – pary homoseksualne są 26 razy bardziej promiskuitywne niż pary heteroseksualne? Albo – o co wciąż pytają co bardziej rozsądni socjologowie – jakie przygotowanie do przyszłych ról społecznych (seksualnych, małżeńskich i rodzinnych) może mieć dziecko pary, gdzie jest dwóch tatusiów, albo dwie mamusie?

Nieżyjąca już brytyjska pisarka Sue Townsend, choć socjalistka, 29 lat temu napisała przejmującą książkę *Dzieci-duchy*, którą – bez względu na to, jakie poglądy wyznaje czytelniczka – czyta się jak rzecz o wieloletniej traumie, poczuciu straty i żałobie.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS







Fot. LPD © FB

Czerwony pasek

W Pszczynie od lat działa Lodziarnia Pod Dębem, która z okazji zakończenia roku szkolnego nagradza uczniów z czerwonym paskiem na świadectwie bezpłatną gałką lodów. Sympatyczny gest uznania za całoroczny wysiłek stał się lokalną tradycją. W 2026 roku akcja niespodziewanie nabrała ogólnopolskiego rozgłosu. Zainteresowała się nią Rzecznik Praw Dziecka, a wokół „lodów za czerwony pasek" rozgorzała dyskusja o tym, czy nagradzanie jednych dzieci za osiągnięcia nie jest krzywdzące dla tych, które nie uzyskały podobnego wyniku. Z pozoru niewielka historia z Pszczyny stała się więc pretekstem do znacznie poważniejszego pytania: czy we współczesnym wychowaniu można jeszcze otwarcie doceniać sukces, wysiłek i dobre wyniki, nie narażając przy tym innych dzieci na poczucie wykluczenia?

Jako adwokat rodzinny mam czasem wrażenie, że żyjemy w kraju, w którym rozwiązaliśmy już wszystkie poważne problemy dzieci.

Przemoc rówieśnicza? Opanowana.

Przemoc domowa? Załatwione.

Uzależnienia? Pod kontrolą.

Relacje rodzinne? Wzorowe.

Skoro tak, to możemy zająć się najważniejszym wyzwaniem naszych czasów: czerwonym paskiem na świadectwie i pozostałym system nagród.

Trwa dyskusja, czy nagradzanie dzieci za osiągnięcia nie jest przypadkiem krzywdzące dla tych, które takich osiągnięć nie mają. W debacie uczestniczą eksperci, politycy i instytucje publiczne. Padają pytania, czy nie należałoby zrezygnować z wyróżnień, nagród książkowych, a może nawet samych czerwonych pasków. I przyznam, że słucham tego z pewnym zdziwieniem.

Psychologowie od lat tłumaczą, że małe dzieci rzadko mają rozwiniętą motywację wewnętrzną. Najpierw pojawia się motywacja zewnętrzna. Dziecko uczy się, że wysiłek przynosi określony efekt. Można motywować strachem, karą i zawstydzaniem albo można motywować pochwałą, nagrodą i docenieniem pracy.

Przez lata słyszeliśmy, że należy odchodzić od tej pierwszej drogi co moim zdaniem słuszne.

Teraz jednak zaczynam mieć wrażenie, że druga droga również staje się niewłaściwa. Bo jeśli czerwony pasek jest zły, to może pójdźmy krok dalej.

Zrezygnujmy z tytułów laureatów konkursów.

Zlikwidujmy stypendia.

Nie przyznawajmy miejsc na studiach za wyniki.

Może rekrutację do liceów przeprowadzać alfabetycznie? Albo według kolejności zgłoszeń?

Brzmi absurdalnie? Oczywiście.

Tak samo absurdalne jest przekonanie, że samo docenienie wysiłku jednego dziecka oznacza automatycznie krzywdę drugiego.

W mojej pracy spotykam dzieci, które naprawdę mierzą się z poważnymi problemami. Są świadkami konfliktów rodziców. Doświadczają przemocy psychicznej. Zmagają się z odrzuceniem przez rówieśników. Czasem walczą o zwykłe poczucie bezpieczeństwa.

Dlatego trudno mi uwierzyć, że największym zagrożeniem dla ich dobrostanu jest dziś książka wręczona na zakończenie roku szkolnego.

Oczywiście, nie każde dziecko będzie miało czerwony pasek. Tak samo jak nie każde będzie świetnie grało w piłkę, tańczyło, śpiewało czy programowało. Każde ma inne talenty i inne mocne strony.

Ale czy naprawdę najlepszym sposobem na budowanie poczucia własnej wartości jest udawanie, że osiągnięcia nie istnieją?

Może zamiast zabierać nagrody tym, którzy ciężko pracowali, warto nauczyć dzieci, że sukces drugiej osoby nie jest ich porażką.

Bo jeśli przestaniemy nagradzać wysiłek tylko dlatego, że nie wszyscy osiągają ten sam wynik, to wychowamy pokolenie, które będzie oczekiwało nagrody za sam fakt uczestnictwa.

A świat, niezależnie od naszych najlepszych intencji, nadal będzie premiował wiedzę, pracowitość, zaangażowanie i konsekwencję.

I chyba lepiej, żeby dzieci dowiedziały się o tym w szkole niż dopiero po jej opuszczeniu.

mec. ALEKSANDRA KUTYMA

Jestem szczerze zdziwiony i zaniepokojony faktem, że inicjatywa lokalnego przedsiębiorcy, który postanowił nagrodzić dzieci za ich ciężką pracę, zaangażowanie i bardzo dobre wyniki w nauce, spotyka się z interwencją ze strony Rzecznika Praw Dziecka.

Niezależnie od tego, jakie są argumenty obu stron, warto zadać sobie pytanie: czy naprawdę doszliśmy do momentu, w którym trzeba tłumaczyć się z promowania nauki, systematyczności i ambicji?

Prywatny przedsiębiorca postanowił z własnych środków sprawić radość dzieciom, które osiągnęły bardzo dobre wyniki. Nie dyskryminował nikogo, nie odbierał niczego innym dzieciom, a jedynie chciał docenić wysiłek tych, którzy przez cały rok pracowali na swoje osiągnięcia.

Mam ogromny szacunek dla wszystkich dzieci – zarówno tych z czerwonym paskiem, jak i tych, które każdego dnia pokonują własne trudności i osiągają sukcesy na miarę swoich możliwości. Jedno nie wyklucza drugiego. Można wspierać wszystkie dzieci, jednocześnie nagradzając konkretne osiągnięcia.

W mojej ocenie instytucje publiczne powinny przede wszystkim skupiać się na realnych problemach dzieci i młodzieży: przemocy, wykluczeniu, kryzysach psychicznych, uzależnieniach czy bezpieczeństwie w sieci. To tam potrzebna jest największa aktywność i zaangażowanie.

Docenianie pracy, wysiłku i osiągnięć młodych ludzi nie powinno być powodem do kontrowersji. Wręcz przeciwnie – powinno być czymś, co wspólnie wspieramy i promujemy.

PIOTR KUBIŃSKI

Witajcie! Ostatnio wokół naszej Lodziarni Pod Dębem zrobiło się bardzo głośno za sprawą lodów za czerwony pasek.

Chcielibyśmy z całego serca podziękować Wam za tysiące pozytywnych komentarzy, wiadomości i słów wsparcia. Jesteśmy ogromnie wdzięczni za tyle życzliwości, a jednocześnie szczerze zaskoczeni skalą zainteresowania, jaka pojawiła się w ostatnich dniach.

Niestety, wraz z rozgłosem otrzymujemy również tysiące telefonów i wiadomości o różnych porach dnia, a nawet późnym wieczorem. Bardzo prosimy o uszanowanie naszej pracy oraz czasu wolnego.

Prowadzenie rodzinnej lodziarni to nie tylko chwile spędzone za ladą, ale także wiele obowiązków wykonywanych poza godzinami otwarcia.

Chcemy nadal skupiać się na tym, co robimy najlepiej – przygotowywaniu dla Was pysznych lodów i zapewnianiu najwyższej jakości obsługi. Dlatego będziemy wdzięczni za odrobinę wyrozumiałości i cierpliwości.

Jeszcze raz dziękujemy za wszystkie odwiedziny, miłe słowa i ogrom wsparcia. To dzięki Wam Lodziarnia Pod Dębem jest tak wyjątkowym miejscem.

Do zobaczenia przy okienku!

Zespół Lodziarni Pod Dębem

Pszczyna, 5 czerwca 2026





Zakończenie roku szkolnego w Lodziarni pod Dębem, czerwiec 2026 FOT. © PLESS.PL

OBCHODY 85. ROCZNICY ŚMIERCI WITOLDA HULEWICZA

1941 – 12 czerwca – 2026







UPAMIĘTNIENIE WITOLDA HULEWICZA

12 czerwca 1941 roku o 4. rano z Pawiaka wyjechał samochód. Wiózł 14 kobiet i 15. mężczyzn. Przejechał przez miasto i skierował się szosą na Modlin. Na 22. kilometrze skręcił polną drogą w lewo, a następnie za wsią Palmiry w prawo. Ustawiono ich na skraju wykopanego w lesie rowu. Rozległa się seria z broni maszynowej. W Polsce obchodzono tego dnia Święto Bożego Ciała. Po egzekucji rowy zasypywano starannie ziemią, pokrywano mchem i igliwiem oraz sadzono na nich młode sosny, aby możliwie najlepiej zatrzeć ślady zbrodni.

Palmiry to jedno z wielu miejsc w Polsce, gdzie niemieccy okupanci realizowali *Intelligenzaktion*. Razem z Witoldem Hulewiczem śmierć ponieśli tego dnia m.in. adwokat Stanisław Malinowski, działacz ruchu narodowego, publicysta i krytyk Stanisław Piasecki i Jerzy Szurig, prawnik, publicysta, działacz związkowy.

Msza w Bazylice Świętego Krzyża w Warszawie, 11 czerwca 2026, godz. 16:30
Modlitwa i zapalenie Znicza Pamięci w Palmirach i przy Pomniku Drzewa Pawiackiego
11 czerwca 2026, godz. 18:00, Muzeum Więzienia Pawiak, Warszawa, ul. Dzielna 24/26



XXXI GALA NAGRODY IM. WITOLDA HULEWICZA

PATRONAT HONOROWY

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Marszałek Województwa Mazowieckiego

Nagroda powstała w 1995 roku, w 100. rocznicę urodzin Witolda Hulewicza (1895-1941). Nagrodę przyznaje Stowarzyszenie Jego imienia za osiągnięcia na polu twórczości literackiej, artystycznej i naukowej oraz działalności organizacyjnej i społecznej.

LAUREACI NAGRODY ZA ROK 2026

Stanisław Niemczyk (1943-2019) – Wielka Nagroda Honorowa (pośmiertna) za wybitne dzieła architektury sakralnej w Polsce • ks. dr **Ireneusz St. Bruski** (Olsztyn) – Wielka Nagroda Honorowa za całokształt działalności publicystycznej i wydawniczej • dr inż. **Konrad Sutarski** (Budapeszt, Węgry) – Wielka Nagroda za całokształt działalności twórczej i wierną służbę Polsce • prof. dr **Katsuyoshi Watanabe** (Nagaoka, Japonia) – Wielka Nagroda za promocję polskiej kultury w Japonii • **Chór Bydgoskiej Izby Lekarskiej „Medici Cantares"** pod dyrekcją kpt. **Joanny Krause** – Nagroda za działalność artystyczną promującą kulturę muzyczną w środowisku medycznym • **Kazimiera Katarzyna Murawska** (Cudahy, USA) – Nagroda Honorowa za działalność publicystyczną w mediach polonijnych • dr **Stanisław Rubkiewicz** (Warszawa) – Nagroda Honorowa za pełną poświęcenia opiekę lekarską w środowiskach kombatanckich • **Urszula Bogobowicz** (Warszawa) – Nagroda za działalność społeczną i wybitne osiągnięcia organizacyjne • **Dobrochna Bugiera** (Olsztyn) – Nagroda za osiągnięcia w twórczości graficznej • prof. UŁ dr hab. **Przemysław Dakowicz** (Łódź) – Nagroda za twórczość na polu literatury • **Teresa Gibas** (Kobylice) – Nagroda za działalność na polu utrwalania pamięci o bolesnej historii Kresów Wschodnich, w tym za działalność organizacyjną w ramach Stowarzyszenia Kresowian w Kędzierzynie-Koźlu • **Radosława Pieniężna-Grabowska** (Zielona Góra) – Nagroda za działalność społeczną w duchu przesłania Witolda Hulewicza • **Wojciech Reszczyński** (Henryków Urocze) – Nagroda za działalność dziennikarską i publicystyczną • **Beata Kowalczyk, Tetsunosuke Watanabe** i **Agnieszka Kowalczyk** (Warszawa) – Nagroda za film dokumentalny o prof. Katsuyoshi Watanabe oraz działalność w mediach społecznościowych

12 czerwca 2026, godz. 15:00, Muzeum Niepodległości, Warszawa, al. Solidarności 62

ORGANIZATORZY

Stowarzyszenie Imienia Witolda Hulewicza

35 lat Muzeum Niepodległości

PARTNERZY

Muzeum Warszawy

Pamięć Jastrzębska – Stowarzyszenie Pamięć Jastrzębska

Muzeum Więzienia Pawiak – Oddział Muzeum Niepodległości

PATRONAT MEDIALNY

się myśli

Ostoja

Epoka więdnących książek



WITOLD GADOWSKI

Słyszałem taką sarkastyczną uwagę, że dziś jest więcej piszących niż czytających. Jest to taki sam opis rzeczywistości jak spatynowany już dowcip z okresu PRL-u: „Aby stać się członkiem Związku Literatów Polskich, należy wydać książkę i... kilku kolegów". Obie refleksje zawierają gorzkie prawdy, ale przecież nie są dogłębnym opisem rzeczywistości.

Fakt – gdy książki w Polsce kosztują ponad 50 złotych, wiele osób staje przed bolesnym dylematem: albo książka, albo obiad! Ubożeją zaś przede wszystkim ci, którzy mają rozbudowane potrzeby intelektualne. Cięcie wydatków na kulturę, w tym przede wszystkim na książkę, jest bolesną zapowiedzią wielkiego kryzysu ekonomicznego, który coraz bardziej odczuwamy. Nic na to nie poradzą kolejne kłamliwe kampanie nagłaśniające rzekome sukcesy obecnego rządu.

Ludzie biednieją i nie mają już środków na czytanie. Oczywiście, można byłoby zapytać, ilu spośród tych, którzy twierdzą, że nie stać ich już na książki, wydaje setki złotych na Netfliksa czy też inne platformy streamingowe, na których oferowana jest coraz bardziej zideologizowana papka filmowa, a trafienie tam na dobry serial lub film graniczy niemal z cudem. To zresztą niepojęte, ile zideologizowanego chłamu jest obecnie produkowane, aby stać się uzależniającą gumą do żucia dla mózgów. Seriale z kobietami jako herosami, podmianka bohaterów w klasycznych opowieściach, z których – przecierając oczy ze zdumienia – dowiadujemy się, że np. król Artur był czarnoskóry i miał homoseksualne ciągoty – brednia leje się z ekranów, a propagandyści mają świadomość jednego faktu: kto ogląda, staje się bezwolnym niewolnikiem łatwych treści, kto zaś czyta, ten wyrywa się z klatki na wolność.

Czytanie niesie wolność, ponieważ uruchamia niepowtarzalny mechanizm tworzenia literackiego świata we własnej wyobraźni, przeżywania go w sobie tylko właściwy sposób. Prawdą niestety jest, że dziś byle celebryta czy gwiazdeczka nie wiadomo z czego znana czuje się niemal w obowiązku, aby wydusić z siebie jakąś książczynę, w której liczne zdjęcia i obrazki mają przysłonić katastrofę sztampy i nudy. Mnożą się więc debilne poradniki serwowane przez jakieś tam persony i chłam wydawany tylko po to, aby dostarczyć komuś gotówki i jakże porządnego fejmu (starszym wyjaśniam, że teraz młodzież tak określa sławę). Puste książczyny zastępują to, co kiedyś było najcenniejsze – nowe powieści poruszające problemy naszego czasu.

Do tego dochodzi niestrawny koktajl serwowany przez tworzycieli tzw. kryminałów, którzy nie potrafią porządnie opisać prostej historii, sadzą się na wyszukane fabuły nieposiadające najmniejszego sensu, a do tego mieszają się – nachalnie reklamowani – byli esbecy, którzy teraz piszą „thrillery szpiegowskie". Nudne, bez polotu, ale sadzące się na to, aby były przedstawiane od razu jako bestsellery. Każdy były esbek czuje się dziś polskim Johnem le Carré, a żaden nie potrafi poprawnie napisać prostej rozprawki. Cóż, takie czasy, gdy rzedniejąca społeczność czytających zwodzona jest podróbkami, chłamem i propagandową pustotą przedstawianymi jako literackie odkrycia. Do tego dołącza cała masa rozparzonych panienek przenoszących na papier swoje seksualne fantazje i nerwice. Jednym słowem – nie jest dobrze!

Gdy braknie dobrej opowieści, zaniknie kultura i nie uratują jej istnienia pisane przez narcyzów erzace prawdziwej literatury. Kultura polska została porządnie zachwaszczona przez nachalnie promowanych grafomanów i osoby nagradzane różnymi premiami, których utwory odstraszają i tak nieliczną grupę czytelników. Jeśli jednak stracimy słuch literacki, autorów prawdziwie obdarzonych talentem i siłą wyrazu, zaniknie magiczne przyciąganie polskiej kultury. Jeśli nie obronimy kultury prawdziwej, utracimy niepodległość!

To nie jest zdanie na wyrost, to jest groźny fakt. Dziś liczy się każdy dobry pisarz, który potrafi tworzyć zajmujące dzieła... jednym z ostatnich takich jest Waldemar Łysiak, ale jemu poświęcę odrębny tekst. Czytajcie, ile możecie, wspierajcie polskich autorów, to naprawdę naszej Polsce się opłaci.

Czy katolicy w Polsce mają prawa polityczne?

Muszą nadstawiać drugi policzek, a jeśli już coś powiedzą w obronie, to trzeba im zamknąć usta kilkoma wybranymi cytatami z Ewangelii. Co ciekawe, klepią je zwykle ci, którzy nie mają z Ewangelią najmniejszego związku.

Katolik – wedle obiegowych opinii – nie może domagać się poszanowania swoich symboli i prawd wiary, no bo to jest „mieszanie się religii do polityki", a to przecież jest ze wszech miar napiętnowane..., chyba że chodzi o islam czy judaizm. Jeśli islam lub – co w Polsce częstsze – judaizm wciskają się w sferę publiczną i piętnują katolickie prawdy, to wszyscy posłusznie stoją na straży praw judaizmu do swobodnego wyrażania swoich opinii. Większość katolicka zachowuje się w Polsce potulnie jak mniejszość. Żydom wolno głośno się modlić, gdzie tylko zechcą, wyznawcy Mahometa nic sobie nie robią z naszych przestrzeni i wrażliwości i tylko patrzeć, jak w dużych miastach wyrosną meczety i rozpoczną się hałaśliwe nawoływania z minaretów. Wszyscy mają prawo do „własnej ekspresji", tylko katolicy muszą milczeć i się samoograniczać!

Michnikowszczyzna wmówiła nam, że stanowimy zagrożenie, że nie mamy prawa do bycia w polityce i kulturze. Odebrano nam praktycznie wiele możliwości istnienia. Skutecznie zablokowano powstanie wpływowej katolickiej telewizji, uderzano we wszystkie nasze media i starano się zagonić je do kruchty. Prześladuje się karnie działaczy *pro-life*. Medialne błazny skutecznie – od wielu lat – wyśmiewają katolickich działaczy i polityków. W dzisiejszej Polsce mile widziane jest bycie homoseksualistą, pracownicą seksualną (prostytutką) czy wszelkiego rodzaju wynaturzeńcem... ale w mediach oburzenie budzą katolicka postawa i publicznie dawane świadectwo wiary.

Nie wolno mówić o Dekalogu i prawach Boga, bo to klerykalizm. Partia chrześcijańsko-demokratyczna nigdy w Polsce nie powstała, bo zablokowali jej powołanie tzw. progresywni działacze polityczni, tacy jak Tadeusz Mazowiecki i Andrzej Wielowieyski. Katolicka nauka społeczna (jak wykładali ją m.in. ks. Kłósak i ks. Majka) nigdy nie zyskała uwagi takiej, na jaką zasługuje, a przecież dziś okazałaby się wielkim odkryciem społecznym, gdyby ktoś potraktował jej nader praktyczne postulaty poważnie. Katolickie rozwiązania społeczne, polskie doświadczenia na niwie spółdzielczości i pomocy społecznej dziś głośne są w świecie, ale... zapomniane i wyszydzone w Polsce.

Ciąg dalszy na s. 60

Ciąg dalszy ze s. 59

Katolików w Polsce zaczęto traktować jako ludzi drugiej kategorii, których można upokarzać pod pozorem sztuki, kultury, wymogów życia społecznego. Kosztem katolików można dziś dokazywać do woli, można publicznie drzeć Pismo Święte, niechby jednak ktoś odważył się uczynić podobnie z Torą czy z Koranem... Czas jednak, aby ta mysz ryknęła, aby sami katolicy w Polsce zobaczyli, jak ciągle wielką siłę stanowią. Kiedyś Solidarność była jedynym na świecie potężnym związkiem zawodowym, mającym wpływ na sprawy w kraju. Dziś pozostały po tym jedynie coraz bardziej mgliste wspomnienia.

Obserwowałem ostatnio dużą procesję wielkopostną, która przeszła przez krakowski Rynek. Po raz pierwszy widziałem, jak katolicy poruszają się po coraz bardziej obcej sobie przestrzeni. Pijani Ukraińcy głośno dowcipkowali sobie z uczestników procesji, turyści z Zachodu mijali ją z obojętnymi albo wrogimi minami, młodzi Polacy byli obojętni.

Jeśli katolicyzm zostanie w Polsce wyparty z przestrzeni ideowej i publicznej, to zastąpi go coś zupełnie obcego, wrogiego. Natura nie znosi próżni, w miejsca opuszczone przez katolików i katolicyzm wejdzie kultura bardziej ekspansywna i wroga. I będzie to proces nieodwołalny, którego nie zmienią dziwacznie nauczeni samoograniczania się polscy katolicy.

Jeżeli teraz nie przemówimy publicznie, nie zorganizujemy własnej realnej siły, to przegramy naszą ziemię i przyszłość nadchodzących po nas pokoleń. Bycie katolikiem nie może się odbywać bezobjawowo i być ograniczone jedynie do osobistej, intymnej przestrzeni. Dziś Polsce potrzeba katolicyzmu walczącego, pozbawionego wszelkich kompleksów i reprezentującego gospodarzy tej ziemi. Musimy tu istnieć stanowczo, wyraźnie i pokazywać innym, jakie są warunki mieszkania i życia tu, nad Wisłą.

Ukraiński szok

Pani Tulsi Gabbard, była już szefowa wywiadu narodowego Stanów Zjednoczonych, ujawniła, że jej kraj nieoficjalnie utrzymywał 120 laboratoriów zajmujących się badaniami nad rozmaitymi formami broni biologicznej, a 40 z tych nielegalnie utrzymywanych placówek mieściło się... na Ukrainie. Tym samym potwierdziły się najgorsze przypuszczenia osób, które dotychczas uważane były za fantastów i wyznawców „spiskowej teorii dziejów". Niestety, potwierdza to także opowieści Władimira Putina.

To szokująca wprost wiadomość, która powinna być na czołówkach mediów. Tymczasem wokół cicho, jak makiem zasiał. Dlaczego? No bo nie spełnia to wymogów proukraińskiej propagandy. To ogromny wstyd dla dziennikarstwa, które dawno już zostało sprowadzone do roli fabryki informacji agitacyjnych i propagandowych. Cisza w mediach aż rani duszę. Czyżby wszystko zostało już tak podporządkowane zniewoleniu umysłów?

Co rewelacje p. Gabbard oznaczają w praktyce? Otóż zyskujemy potwierdzenie faktu, że amerykańscy podatnicy są oszukiwani, ich pieniądze bowiem przeznaczane są na hiperniebezpieczne badania, które mogą zaszkodzić całej ludzkości. W czasie pandemii drobiazgowo opisywałem, jak niebezpieczne badania zostały wyprowadzone z USA do laboratorium w Wuhan w Chinach i jakie były tego następstwa dla całego świata. Teraz proszę sobie wyobrazić, że CIA utrzymywała 120 takich placówek w krajach uzależnionych od Stanów Zjednoczonych i biedniejszych od państwa północnoamerykańskiego. Prowadzone tam były zbrodnicze eksperymenty nad uzłośliwieniem patogenów zwierzęcych, aby stały się groźne dla ludzi. Nie przejmowano się przy tym przepisami wprowadzonymi jeszcze za kadencji Baracka Obamy, które kategorycznie zakazywały prowadzenia eksperymentów nad tzw. *gain-of-function* – wzmocnieniem oddziaływania patogenów przez odpowiednie podrasowanie ich budowy genetycznej.

Czterdzieści tak niebezpiecznych placówek działało – jeszcze przed wybuchem wojny – na Ukrainie. W kraju, który przecież został boleśnie doświadczony wybuchem w reaktorze atomowym elektrowni położonej niedaleko Czarnobyla! Nielegalne laboratoria okazały się faktem, a nie wymysłem putinowskiej propagandy. Niestety, podobnie jest z narastającym nazizmem na Ukrainie, o którego rozmiarach alarmuję już od wielu miesięcy.

O czym jeszcze nie wiemy? Co wyjdzie na jaw, gdy rozwieją się nieco mgły wojennych kłamstw? Jak bardzo polskie media zostały zdegenerowane, że bezwiednie powtarzają propagandę tworzoną w otoczeniu Wołodymyra Zełenskiego?

Pora już na stawianie sobie pytań o to, co będzie po wojnie i jakie konsekwencje wojennych wydarzeń okażą się brzemienne dla Polski. Nikt – ani w rządzie Mateusza Morawieckiego, ani w rządzie Donalda Tuska – nie prowadził i nie prowadzi prac analitycznych przygotowujących nasze państwo na różne warianty powojennego zachowania się Ukrainy. Ba, nie wolno nawet stawiać pytań, które zamieszczam poniżej.

Co może się stać, gdy powojenny reżim w Kijowie całkowicie opanują antypolscy wyznawcy Bandery i będą chcieli wykorzystać przeciwko Polsce sztucznie utworzoną w naszym kraju mniejszość ukraińską?

Co mogłoby się stać, gdyby do władzy w Kijowie doszło jakieś wyraźnie promoskiewskie stronnictwo?

Co by było, gdyby Ukraina przedstawiła wobec Polski roszczenia terytorialne?

To tylko kilka kwestii, nad którymi dzień i noc powinny ślęczeć grona politycznych oraz wywodzących się ze służb specjalnych analityków. Oczywiście, opisywane w tych pytaniach sytuacje mogą nigdy nie zaistnieć, ale nasze państwo powinno być gotowe na najgorsze scenariusze. Kiedy na poważnie zostanie wznowiona prawdziwa działalność Instytutu Studiów Wschodnich i kiedy powstanie Instytut Studiów Zachodnich? Sytuacja jest naprawdę poważna, a skoro widzi ją zwykły Gadowski, to pomyślcie o tym, co wiedzą służby specjalne...

Przykry felieton o przemilczanych sprawach

Żyłem w PRL-u i na własnej skórze przekonałem się, co rzeczywiście oznaczała walka z komunizmem. Dziś ci, którzy wtedy drżeli lub służyli i ich dzieci, pouczają mnie, czym są demokracja i polski patriotyzm.

Jako reporter śledczy zajrzałem w samo sedno bebechów prywatyzacji – afer, o których z całą pewnością mogę powiedzieć, że to było gigantyczne złodziejstwo kreujące nową szlachtę – byłych funkcjonariuszy bezpieki i aparatczyków komunistycznych partii: PZPR, ZSL, SD. Zrobiłem unikalne filmy o aferze paliwowej, aferze prywatyzacji PZU, aferze „wiedeńskiego kręgu" – powiązań Kwaśniewskiego i jego żony z przestępcami z Wiednia i Chicago: braćmi Kunami, Aleksandrem Żaglem, Edwardem Mazurem. Jako jedyny opisałem mechanizm sprowadzania kokainy do Europy i handlu amfetaminą, w który wplątani byli polscy politycy.

Wreszcie przez wiele miesięcy tropiłem ukraińsko-sowieckiego mafioza Siemiona

Mogilewicza i naświetliłem gigantyczną aferę związaną z dostawami gazu do Polski, w którą zamieszani byli najwyżsi polscy urzędnicy i politycy. Odkryłem powiązania Petera Vogla ze szwajcarskiego Coutts Banku z polskimi politykami i oficerami, którzy w tym banku mieli swoje tajne konta. Prowadziłem wiele innych śledztw. Kosztowało mnie to kilka wypadków (sześćdziesiąt szwów na twarzy), unikanie wynajętych na mnie zabójców i trochę innych przygód.

Czy zatem ktoś może mi powiedzieć, że nie mam doświadczenia i wiedzy o tym, jak formował się przestępczy mechanizm Trzeciej Rzeczypospolitej?!

Własnymi rękami dotykałem afer i spotykałem się z przestępcami, aby zrozumieć, że byli oni tylko wykonawcami zaprojektowanych przez polityków operacji okradania naszego kraju. Jestem też w wieku, gdy zaczyna się gromadzić doświadczenie i wyciągać z tego wnioski. Kiedy zatem dziś widzę szczeniaków uwieszonych u nogi czy to PiS, czy PO, którzy usiłują ośmieszać i wydrwiwać to, co mówię, mogę tylko spokojnie odwrócić od nich głowę. Nie zdążyli nawet powąchać dziennikarstwa, nie potrafią nic, ale jakaś niepowstrzymana pycha pcha ich na dno bycia propagandystami w stylu komunistycznych bojówek z początków PRL-u. Można ich lekceważyć i omijać jak niemile pachnące substancje, problem jednak w tym, że w dzisiejszym polskim dziennikarstwie nie ma już prawdziwych dziennikarzy albo jest ich bardzo niewielu i są bezczelnie zakrzykiwani przez propagandystów.

Dzisiejsza rzeczywistość partiokracji, w której ważne role pełnią wciąż ludzie po łokcie umaczani w afery, nie napawa wielkim optymizmem. Jeżeli niknie kontrolująca rola dziennikarzy, ludzie władzy postępują w myśl zasady: „Hulaj dusza, piekła nie ma!”. Nikt już nie kontroluje ich ruchów, nikt nie nagłaśnia sposobu wydawania przez nich publicznych środków.

Przeżyliśmy ogromne afery związane z pandemią COVID-19 i nikt nie stanął przed sądem, a społeczeństwo nie poznało nazwisk osób, które osobiście wzbogaciły się na sanitaryzmie i jego procedurach. Urosły polityczne fortuny, bez względu na partyjną przynależność, i nikt nie ujawnił ich źródeł. Potem przyszły gigantyczne afery związane z wojną na Ukrainie – o nich nawet publicznie nie wolno dziś mówić, bo właśnie aferzyści natychmiast wrzeszczą, że takie postępowanie to w istocie „służba Putinowi i bycie ruską onucą”. Nie można głośno mówić o korupcji i złodziejstwie, bo natychmiast jest się linczowanym przez wynajętych propagandystów. Rozmiary tej afery kiedyś przerażą, ale dziś nie wolno o niej mówić. To już nie miliony dolarów, to bezczelnie ukradzione miliardy. Niestety, biorą w tym udział także polscy politycy i urzędnicy.

Od czasów pandemii nikt jednak już nie sprawdza wydawania publicznych pieniędzy. Rosną bogate domy, fortuny, o których nie da się nawet powiedzieć, jakie mają źródła swojego finansowania. Nikt nie ma odwagi prowadzić na ten temat dziennikarskich śledztw. W dzisiejszej Polsce nie ma już niezależnych dziennikarzy śledczych, a ci, którzy się w te piórka stroją, to po prostu prymitywni propagandyści załatwiający rozmaite zlecenia płynące od gangów ulokowanych w służbach specjalnych.

To nie jest miły felieton i zapewne wywoła wiele sprzeciwów, moją rolą jednak nie jest uczestniczenie w uroczystych „akademiach ku czci...”, tylko alarmowanie opinii publicznej, zanim będzie za późno. Zanim wszędzie zapanuje totalitarna cenzura.

WITOLD GADOWSKI





Geograficzna wycinanka cz. 4

FOT. © AREK SOCHA

Historyk do wszystkiego



MIROSŁAW PRANDOTA

W teoretycznym państwie Bajlandia mieszkało wielu mądrych ludzi, ale rządzili politycy, bo na przykład wszyscy mądrzy mieli zbyt cienką skórę, aby rządzić. Cienka skóra pęka pod fontanną krytyki. Mogli co najwyżej narzekać, wybrzydzać, pukać się demonstracyjnie w głowy i przeklinać, co jednak nie skutkowało doprowadzeniem do żadnych zmian, a gdyby nawet doprowadziło, to i tak polityka zastąpiłby inny polityk.

Zapobiegliwi rodzice tak straszyli swoje leniwe dzieci:

– Jasiu, ucz się, bo jeżeli nie będziesz się uczył, zostaniesz politykiem!

Przestraszony dzieciak zapewniał, że da z siebie wszystko, aby tylko nie zostać politykiem, ale co z tego, skoro wolał grać w piłkę niż się uczyć? W decydujących momentach rodzice znowu stawali na wysokości zadania:

– Jasiu, bądź ambitny! W naszej rodzinie jeszcze nigdy nie było magistra. Najlepiej będzie, jeżeli zostaniesz magistrem historii. Historycy trzymają władzę.

Jasio markotniał. Jego koledzy zamierzali zostać inżynierami, filologami, lekarzami, prawnikami, biologami, matematykami, z czym wiązało się trzymanie kasy, a on ma zostać historykiem i jeszcze trzymać jakąś władzę? To nie lepiej trzymać kasę? Próbował protestować:

– Jejku, dlaczego akurat historii?

– Bo historyk najlepiej nadaje się do trzymania władzy i kasy – pocieszał tatko strapionego syna. – Przy każdej zmianie władzy zmieniane są też podręczniki historii. A ty będziesz wyjaśniał poddanym, dlaczego to, co do soboty było historyczną prawdą, od poniedziałku jest już tylko historyczną propagandą. No i nie fajna robota?

Wbrew wcześniejszym obawom, od samego początku dobrze Jasiowi szło, więc ukończył studia jako dyplomowany historyk, czyli kandydat na polityka. Gdyby okazał się zdolniejszy niż był, mógłby pracować naukowo, zdobyć tytuł profesora i być dyżurnym telewizyjnym popularyzatorem samobójczych decyzji rządu. Ponieważ profesorem nie został, bo nie miał cierpliwości do dalszej nauki, wystartował w wyborach na posła. Niestety, nie był wystarczająco rozpoznawalny, więc przepadł jako kandydat, ale tatko odkrył któregoś dnia, że w parlamencie służył jakiś krewny, też historyk. Niech stryjek znajdzie robotę dla młodego magistra, który na razie będzie musiał zadowolić się pozycją politycznego śpiocha!

I tak magister Jasio został dyrektorem baru mlecznego. Akurat odszedł stamtąd kucharz, który zatruł się jedzeniem przygotowanym dla gości. Ktoś inny zajął się gotowaniem, a dla Jasia została funkcja dyrektora.

Niedługo później władze oświadczyły publicznie, że to wstyd, aby Bajlandczycy jadali w barach mlecznych, wszak powinni jadać wyłącznie w eleganckich restauracjach. W ślad za takim przekazem bary zlikwidowano, w ich miejsce powstały restauracje pierwszej kategorii, a tam, gdzie zabrakło pieniędzy na restauracje, zainstalowały się banki lub kaplice.

Z konieczności losowej historyk Jasio został więc dyrektorem banku, bo na księdza zupełnie się nie nadawał. Wprawdzie stryjek z parlamentu trzymał jeszcze dla niego wakat w postaci stanowiska dyrektora szpitala, jednak Jasio uznał, że jako dyrektor banku będzie bardziej kompetentny i pożyteczny dla kraju. Tak czy owak, Jasio uważał się za patriotę, a w Bajlandii istniało akurat ogromne zapotrzebowanie na patriotów. Na fachowców nieco mniejsze, ale na patriotów – ogromne. ■

Minister Wujek

Budynek, w którym mieszkał minister wojny, Maciak, otoczony był wysoką siatką z grubego drutu, długim szlabanem od frontu i rzędem samochodów terenowych z inicjałami ministerstwa wojny. Przy wejściu mieściła się solidna budka wartownicza z żywym i uzbrojonym żołnierzem w środku.

Do takiej budki zbliżył się młody mężczyzna ubrany w dżinsową marynarkę i podobne spodnie, popatrzył wartownikowi w oczy i powiedział:

– Idę do ministra Maciaka.

Wartownik spojrzał na nieznajomego z góry.

– Jak to „idę”? A gdzie przepustka? Pan minister nikogo nie przyjmuje!

– Mnie przyjmie, bo to mój wujek.

Wartownik zrobił pogardliwą minę i sięgnął po słuchawkę telefonu.

– Panie ministrze, tu wartownia. Kręci się tutaj jakiś podejrzany cywil i podaje się...

Odwrócił się do przybysza z zapytaniem:

– Za kogo podajecie się, obywatelu?

– Jestem Michał Wyborski – padła obojętna odpowiedź.

– Otóż to, panie ministrze – żołnierz znowu zagaił do słuchawki. – Ten osobnik podaje się za niejakiego Michała Wyborskiego.

– Natychmiast wpuścić!

Minister promieniał uśmiechem w otwartych na oścież drzwiach.

– Misiek! Bardzo się cieszę! Gdzieś ty był tyle czasu?

– Byłem w Kalifacie Północnym, wujku. Jako korespondent „Tygodnika Społecznego”. Dopiero wczoraj wróciłem.

– Świetnie, że w ogóle wróciłeś, bo ludzie opowiadają dziwne rzeczy o tamtych stronach. Wejdź szybko, bo ktoś nas namierzy!

Już w środku, na fotelu i przy herbacie z piernikami Michał zapytał, kto mógłby namierzyć ministra i siostrzeńca, bo on akurat nie widział nikogo.

Maciak machnął tylko ręką.

– Chłopcze, w tym kraju można spodziewać się wszystkiego! Agenci, podsłuchy, drony, lasery i diabli wiedzą, co jeszcze. Mam zasadę: dmucham na zimne.

– Wujku, to okropność! – zmartwił się Michał. – Czy zanosi się na wojnę?

– Jeszcze nie. Jeszcze nie podjąłem odpowiedniej decyzji. Ale podejmę!

– Będę wujkowi towarzyszył, jak zwykle.

– Liczę na to, mój chłopcze. Co tam w Kalifacie Północnym? Czy biała rasa przetrwa?

– Nie ma takiej gwarancji, wujku. Ostatnio jedna z tamtejszych pań ministerek, bo tam rządzą raczej kobitki niż chłopy, oświadczyła publicznie, że kraj stać na przyjęcie co najmniej trzydziestu milionów Muslimów.

– Ciekawe. Była trzeźwa? A ile ludności rdzennej liczy ten kraj?

– Osiem milionów.

– Bardzo ciekawe – zgodził się wujek sam ze sobą. – Mają gest albo w ogóle nie trzeźwieją. A czym zajmują się Muslimy, którzy już tam są?

Michał cmoknął niezdecydowanie.

– Niczym... – powiedział jakby nie wierzył sam sobie.

– Chyba żartujesz! – zdziwił się minister. – Przecież muszą zarabiać na życie.

– Nie muszą, bo gdy mają pracę, zasiłek przepada. Sam wujek widzi, jaki mają wybór.

– No, widzę. Widzę, ale nie wierzę w to, co słyszę. Nie nudno im tam?

– Nie, bo mają bardzo napięty harmonogram dnia. Wstają koło południa, grupami ruszają w miasto bić tubylców, potem dopadają nieostrożne kobitki, którym organizują moc takich wrażeń, o jakich nie zapomina się do końca życia, wieczorem napadają na sklepy, obrzucą kamieniami policjantów, a w nocy podpalają samochody albo posterunki policji, od czasu do czasu podkładają bombę pod jakąś ulubioną kamienicę, kogoś zastrzelą i tak to leci.

– Niezwykle pracowita rasa ludzka! – z podziwem zakrzyknął wujek Maciak. – A co na to tamtejsze komuchy?

– Występują w telewizji i mówią, że zaproszonych gości nie wypada krytykować. Przekonują naród, że kraj pełni rolę stolicy światowego humanitaryzmu, więc nowym mieszkańcom kraju trzeba okazywać szacunek, życzliwość, miłosierdzie, pełne zrozumienie dla ich potrzeb i broń Boże nie krytykować pod karą więzienia.

– Bardzo ciekawy naród! – głos wujka przepełniony był coraz większym podziwem. – Popatrz, Misiek, a ja dotychczas myślałem, że największe komuchy to Ruslandzczycy. Czego to ludzie nie wymyślą! – dodał kiwając głową. – Stolica światowego humanitaryzmu! Dobre!

– Świat się zmienia, wujku – rezolutnie odparł Michał. – A co słychać w kraju?

– W kraju? – Maciak skrzywił się nieprzyjemnie. – Przybyło tylu komuchów, że nie wiadomo, co z nimi robić.

– Skąd przybyli?

– Znikąd. Nagle okazało się, że ci, którzy udawali demokratów, w rzeczywistości są komuchami. Jak przekonałem się na własnej skórze, nawet w Usalandii pełno komuchów udających wolnych ludzi. Najgorsze, że nie ma na nich siły, a jedynym człowiekiem, który coś robi, jestem ja. W wojsku pozwalniałem wszystkich generałów, bo ukończyli ruską akademię wojskową i szerzą zarazę, ale teraz widzę, że trzeba jeszcze pozwalniać pułkowników i majorów, bo zostali nasączeni komuszym jadem od tych generałów. W końcu zostanę z samymi sierżantami, ale jak tu z nimi iść na wojnę?

– A z kim, za przeproszeniem, ma być ta wojna? – zainteresował się Michał.

– Przecież to jasne. Z Ruslandczykami.

– Ojejku! Bardzo zagrażają? – Właśnie w tym rzecz, że nie zagrażają! – zirytował się wujek. – I o tym nie wolno głośno mówić! To jest niebezpieczne. Sprowadziliśmy kilka tysięcy usalandzkich żołnierzy, żeby nas bronili przed Ruslandczykami, a oni nadal nie zagrażają!

– To straszne! – zawołał Michał. – Jakie jest wyjście z tej trudnej sytuacji?

– Nie ma wyjścia. Trzeba atakować póki czas, bo ciemny lud już się niecierpliwi!

– Rozumiem. Od tej pory trzymam kciuki za wujka.

– Dobrze, ale najpierw napijemy się herbaty.

– Chętnie. A co wujek załatwił w tej Usalandii?

– Szkoda gadać! – machnął ręką wujek. – Poznałem takiego jednego komucha, Dżon ma na imię, robił wrażenie, że dużo może, ale ja go od razu wyczułem, że nic nie może, potem próbowałem skontaktować się z prezydentem, no i wyobraź sobie, że ten ich prezydent poszedł sobie na mecz Łysych z Trędowatymi. W godzinach pracy! – dodał z oburzeniem.

– Może akurat wykorzystał zaległy urlop? – podpowiedział Michał.

Minister wujek spojrzał na bratanka z politowaniem.

– Urlop? – roześmiał się krótko. – Jaki tam urlop? Zwykła złośliwość. Ja przyjeżdżam specjalnie do Usalandii, a on w tym czasie bierze urlop. To się w głowie nie mieści!

– Rozumiem, że wujek nie odpuści...

– Właśnie, że odpuszczę! Jak tylko usalandzki prezydent przyjedzie kiedyś do Bajlandii, tego samego dnia biorę urlop i jadę na ryby. Niech wie!

CDN.

MIROSŁAW PRANDOTA

Spokojny głos z Warmii



Zmarły niedawno wielki niedoceniony na razie Bogdan Urbankowski, znakomity historyk, krytyk myśli filozoficznej, pisarz – pytany za kogo uważa się najbardziej odpowiadał – jestem przede wszystkim poetą. I rzeczywiście jego bolesny wiersz *Kordian i Cham* o tym jak z poległego za ojczyznę w boju żołnierza-powstańca chłop zdziera buty. Ten wiersz przenika do głębi i dręczy potem złymi myślami o ludziach.

Zenon Złakowski jest poetą, ale i dziennikarzem, pisarzem. W czasie sierpniowego buntu wybrał „Solidarność” i dotrwał przy tych wartościach, które wówczas były i nadal są ważne. Od kilkudziesięciu lat chodzi ulicami po swoim Olsztynie. Mówi:

W mieście
z każdym rokiem
przybywa ludzi
ubywa znajomych.

To słowa o przemijaniu. Dotyczą nas wszystkich. W codziennej pogoni nie wiadomo za czym nie myślimy o tym. Dopiero gdy poeta nam przypomni zastanawiamy się nad życiem.

Znam autora od lat i zawsze słucham go z uwagą. To spokojny głos w dzisiejszym rozedrganym świecie. Ostatnie dziesięciolecia przyniosły wiele: „Solidarność”, przekaz papieża Jana Pawła II – wielkie zwycięstwo i wielkie nadzieje, ale i rozczarowania głupotą skłóconej władzy i pazernością co przyniosło niepowetowane straty. Teraz otumaniona a nawet nie wiadomo dokąd pręca społeczność prowadzi nas w złym kierunku, tak jak niedouczeni wodzowie, których bardziej interesuje samo rządzenie niż losy kraju. Zawodowi historycy niechętnie piszą o tym co dzieje się tu i teraz. W tej sytuacji przykłady życia i przemyślenia ludzi mądrych mogą być drogowskazem. Oczywiście jeśli będą szczere.

Mądrali mamy coraz więcej tak jak i tub medialnych. Oni to puszczają słuchaczy radiowych i leni telewizyjnych w kolejny kanał. Mniej myślimy, czytamy, więcej się gapimy i biernie słuchamy. A warto jest poczytać tych, którzy już coś w życiu przeżyli, przemyśleli, zamiast klepaczy wytartych komunałów, złodziei mądrości skradzionych od innych. Duża jest Polska, a może być jeszcze większa, jeśli pozbędzie się głupków, leni, pyskaczy, cwaniaków i nierobów rozleniwionych osiąganiem łatwych pieniędzy. Ministrowie, wojewodowie, sędziowie zmieniają się jak w kalejdoskopie. Zaczynają od obietnic, coś bełkocą lecz szybko przestają być słuchani. Idą precz, a my oddychamy chwilowo z ulgą. O ich grzechach szybko się zapomina. Potem następuje *da capo al fine*.

Na szczęście jeszcze poeta pamięta. On mówi do nas. Dziś Olsztyn, Warmia i Mazury, cała nasza Ojczyzna to wielka wspólna sprawa. Przypomina o tym również pisarstwo Złakowskiego – powieści, eseje, wiersze, nawet te krótkie wspomnienia i opisy z dnia codziennego. Poeci zwracają uwagę na rzeczy, których my często nie dostrzegamy. Pan Zenon mówi o tym delikatnie, niczego nie narzucając i chyba dlatego trafia do czytelnika. Czytajmy poetów i pisarzy. Poeta w sutannie wskazywał, że ludzie tak szybko odchodzą. Trzeba oderwać się choćby na chwilę od medialnego szumu. Słowo przecież było pierwsze i będzie najważniejsze do końca świata.

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

Oficyna wydawnicza Stowarzyszenia im. Witolda Hulewicza „Ostoja” opublikowała zbiór wierszy *Nagie włókno prawdy*. Wiersze wybrane autorstwa Zenona Złakowskiego – dziennikarza i pisarza związanego z Olsztynem, którego twórczość i działalność publiczna od lat łączą głęboką refleksję duchową z zaangażowaniem obywatelskim.

Ta antologia to nie tylko zbiór poezji, lecz przede wszystkim zapis wieloletniej refleksji nad kondycją człowieka, narodu i świata. To poezja człowieka, który w słowie poszukuje prawdy i znajduje w nim siłę, by tę prawdę nieść dalej – zwłaszcza w czasach, gdy bywa ona zakrzykiwana, relatywizowana i prześladowana. *Nagie włókno prawdy* jest swoistym podsumowaniem wieloletniej drogi twórczej autora, rozpoczętej w latach siedemdziesiątych XX wieku.

Poezja Złakowskiego to literatura zakorzeniona w konkretnym czasie i przestrzeni. W jego wierszach odnajdujemy emocje codzienności, duchowe niepokoje i głęboki pokłon wobec Tajemnicy istnienia. Pisze o Bogu, śmierci, Polsce, rodzinie i mieście, z którym związał swoje życie – często w tonie modlitwy, czasem buntu, zawsze z po czuciem odpowiedzialności za słowo.

Utwory prezentowane w tym zbiorze układają się w wielogłosowy dziennik życia człowieka głęboko doświadczonego i zaangażowanego. Począwszy od „Podróży udziwnionej”, gdzie przywołuje utwory z pierwszego tomiku z 1979 roku, w którym dominują motywy egzystencjalnego niepokoju i młodzieńczych rozterek. Już wtedy, wśród wierszy takich jak *Obudziłem się czy Wiem, że to sen tylko*, Złakowski odsłaniał świat widziany oczami człowieka wrażliwego na tajemnice codzienności i niespodziewane zwroty losu.

Z czasem jego poezja dojrzewa – pojawiają się silniejsze akcenty religijne, refleksje nad miłością, ojcostwem i historią. W częściach takich jak „Włókno prawdy”, „Przez syna” czy „Czas paskudy oraz inne wiersze” widzimy autora jako świadka czasów, który nie tylko notuje, ale i ostrzega, komentuje, a niekiedy modli się. W poetyckich zapiskach z okresu pandemii czy refleksjach o Smoleńsku i współczesnej Polsce („Patrzę na miasto”) słyszymy nie tylko głos poety, ale i zatroskanego obywatela, dbającego o los ojczyzny i prawdę historyczną.

W czasach, gdy wiele wartości zostaje zakwestionowanych lub zagubionych, głos Zenona Złakowskiego brzmi jak przypomnienie i przestroga – o tym, co naprawdę ważne, co warto ocalić, co przemija, a co zostaje. W ostatnich utworach, zawartych między innymi w części „Czas paskudy” (2021), odnajdujemy twórcę, który z dystansem i troską komentuje świat pełen sprzeczności i niepokojów, nie tracąc nadziei. Jego poezja to nieustanny dialog z historią, wiarą i codziennością, gdzie „szept”, „dylemat” czy „źródło” stają się metaforami uniwersalnych doświadczeń.

Prezentowana antologia zawiera zarówno dotychczas wydane tomiki, jak i nowe, dotąd niepublikowane wiersze, które razem tworzą pełny obraz twórczości poety, pisarza i obywatela. Książka jest nie tylko literackim dorobkiem, ale też osobistym świadectwem wierności wartościom, tradycji i prawdzie.

Wydając tę antologię, chcemy oddać należny szacunek autorowi, a zarazem zaprosić czytelnika do zatrzymania się, refleksji i wspólnej podróży – może nieco „udziwnionej”, ale jakże prawdziwej. Bo przecież, jak pisze sam Złakowski, „świat jest w porządku” – jeśli tylko człowiek nie zapomni, kim jest i dokąd zmierza.

Najnowszy tom „Ostoi” przygotowaliśmy z myślą o czytelniku ceniącym szczerość zapisu, wagę słowa i znaczenie historii. Ufamy, że stanie się on nie tylko źródłem literackiej satysfakcji, lecz także inspiracją do własnych przemyśleń i rozmów – o człowieku, Bogu, Ojczyźnie i czasie, który jest nam dany.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Im nowsze, tym...

Na naszym podwórku piętrzą się odpady w postaci mebli i sprzętów domowych wszelakiego asortymentu. Służby porządkowe nie nadążają usuwać pralek i lodówek, których żywot kończy się po dwuletniej gwarancji. Nikt już ich nie reperuje, bo tak zostały skonstruowane, żeby uniemożliwić ich naprawę. Na tym właśnie polega nowoczesność: im nowsze, tym gorsze!

Dewastacja środowiska naturalnego pod hasłem jego ochrony to tylko jeden z przykładów, jak się robi ludziom wodę z mózgów. Czy można temu zaradzić?

Twórcy chaosu nie są zainteresowani ograniczaniem ich działalności, a ofiarom, czyli nam, brak możliwości. W pojedynkę nie osiągniemy pożądanych skutków naszej pracy. Od czegoś trzeba jednak zacząć, na razie od uświadamiania ludziom, co ich czeka pod rządami unijnych gangsterów.

Prawo do paradoksu

Ponoć na medycynie zna się każdy. No to po co nam lekarze i szpitale? „Nasz" rząd likwiduje takie zbędne placówki. IZBY WYTRZEŹWIEŃ powinny wystarczyć. Oszczędność najważniejsza. Jest tylko mały szkopuł: kto będzie kupował, a właściwie dzierżawił, ten sprzęt medyczny od zaprzyjaźnionych z ORKIESTRĄ ŚWIĄTECZNEJ POMOCY firm? Może jednak szpitale, przed definitywną upadłością wezmą dodatkowe kredyty w zachodnich bankach, a później my wszyscy będziemy je spłacać, ciesząc się zardzewiałym badziewiem?

Jak już zdrowie mamy zapewnione, to zajmijmy się prawem, którego, jak wiadomo, nieznajomością tłumaczyć się nie można.

Obawiam się, że w całej Europie nie znajdzie się prawnik znający całe prawo obowiązujące jego i jego współziomków. W samej Unii Europejskiej prawo produkuje się z prędkością stu stron na minutę, albo szybciej. Każde przestępstwo można przedstawić jako zgodne z prawem, nie podając oczywiście odpowiednich paragrafów. Niech sąd sam sobie poszuka uzasadnienia. Taki zaprzyjaźniony z rządem sąd, nawet tego nie musi, wystarczy, że prawo „rozumie" tak, jak Tusk. On ma prawo do każdego paradoksu, żeby nie określić tego dosadniej.

Certyfikat celebryty

Obecny rząd/nierząd zaspakaja potrzeby zwłaszcza tych, którzy potrzebują zarobić/ukraść – nie napracować się. W Spółkach Skarbu Państwa są takie stanowiska w obfitości. Mała niedogodność polegała na tym, że ubieganie się o stanowisko w radzie nadzorczej firmy, wymaga posiadania doktoratu ale potrzeba matką wynalazku. Stąd popularność *Collegium Tumanum*, którego dyplom kupić można było, jak kapustę na straganie.

Tytuł celebryty nie wymaga nakładów finansowych. Może nim zostać byle bloger, pod warunkiem jednak, że będzie wiedział, skąd wiatr wieje. Jest bowiem pewna „zagwozdka": póki nie jest się celebrytą, nikt twoich wpisów czytać nie będzie, bo inteligentnym jakieś wypociny nie przypadną do gustu. Ci zaś, którzy gustu są pozbawieni, celebrytę poznają po tym, że już jest celebrytą, bo sam się za niego podał. A żeby się nim stać, trzeba nawypisywać sporo wulgaryzmów pod adresem jakiegoś „faszysty", lub innego „przyjaciela Putina".

Nie wiem doprawdy, jak to się stało, że jeszcze nie zostałam zaliczona do tych ostatnich i aresztowana. Minęła właśnie czwarta rocznica napaści Putina na Ukrainę i nikt dotąd nie zapytał dlaczego wybrał właśnie datę 24 lutego. Bo zamierzał uczcić moje imieniny, ale spóźnił się o dwa dni. Odkąd włada nami Demokracja Warcząca, tego dnia co roku o szóstej rano czekam na uzbrojony patrol, ale nikt nie przychodzi. Oj, chyba żadna ze mnie celebrytka. Na razie nigdzie tego nie ogłaszam, a swoją drogą mam nadzieję, że Putin odpowie za swoje czyny.

Kredyt dla kretynów

– Czy ty rozumiesz, o co chodzi z tym sejfem? – spytała Małgorzata.

– To takie miejsce do trzymania, między innymi, gotówki – odpowiedział DUCH CZASU.

– Nie to miałam na myśli, tylko te miliardy oferowane nam przez Unię Europejską.

– Oferowane, powiadasz? To tak jakbym ci oferował kredyt na bliżej nieokreślony procent, pod warunkiem, że kupisz ode mnie to, co ci każę za cenę, której zażądam.

– Podobno z przeznaczeniem na zbrojenia.

– Rzeczywiście, co jak co, ale zbroić to Niemcy się lubią. Mają milenijne tradycje. Bez tego nie wywołaliby ani pierwszej, ani drugiej wojny światowej.

– Sami tego kredytu nie biorą.

– Wystarczy, że znaleźli frajerów, którzy im to sfinansują.

– Podobno jest już jakaś polska firma zbrojeniowa...

– Która przygarnie miliony? Firma-krzak ukryta za Poncjuszem Piłatem, zarejestrowana w miejscu niedostępnym dla nieuprawnionych podzieli szmal między tych, co trzeba według instrukcji z Berlina.

– Z tych przeznaczonych dla Niemców?

– W porozumieniu z nimi, rzecz jasna.

– Duży przekręt to duże ryzyko.

– Dlatego beneficjenci zrobią wszystko, żeby „europejska" mafia, której służą, nie straciła władzy w Generalnej Guberni.

MAŁGORZATA TODD



Strefa Gazy: będziemy nieść pomoc tak długo, jak to możliwe

Pomimo decyzji władz izraelskich nakazującej 37 organizacjom pozarządowym opuszczenie Okupowanych Terytoriów Palestyńskich do 1 marca 2026 roku, Lekarze bez Granic zamierzają kontynuować swoją działalność tak długo, jak będzie to możliwe. Organizacja apeluje do społeczności międzynarodowej o zapewnienie Palestyńczykom dostępu do niezbędnej pomocy.

W Strefie Gazy trwa katastrofa humanitarna. Mieszkańcy cierpią z powodu przemocy oraz ograniczonego dostępu do wody, schronienia, leków i opieki medycznej. Na Zachodnim Brzegu sytuację pogarszają przymusowe wysiedlenia, ataki osadników, wyburzenia domów i utrudnienia w dostępie do placówek ochrony zdrowia.

Zgodnie z międzynarodowym prawem humanitarnym władze izraelskie, jako siły okupacyjne, są zobowiązane do zapewnienia ludności niezbędnego wsparcia. Tymczasem nowe wymogi rejestracyjne mogą doprowadzić do dalszego ograniczenia działalności organizacji niosących pomoc.

– Potrzeby są ogromne, a drastyczne restrykcje mają śmiertelne konsekwencje. Setki tysięcy osób potrzebują opieki medycznej i psychiatrycznej, a dziesiątki tysięcy wymagają długotrwałego leczenia, operacji i wsparcia psychologicznego – mówi Christopher Lockyear, sekretarz generalny Lekarzy bez Granic.

Wycofanie przez władze izraelskie rejestracji organizacji z dniem 1 stycznia 2026 roku już utrudnia jej funkcjonowanie. Od początku stycznia Lekarze bez Granic nie mogą sprowadzać międzynarodowego personelu ani dodatkowych dostaw. Od 1 marca zagraniczni pracownicy będą zmuszeni opuścić terytoria palestyńskie. Zagrożona jest w ten sposób ciągłość leczenia, rehabilitacji, opieki pediatrycznej oraz programów zdrowia psychicznego i reprodukcyjnego.

– Nasze programy mają kluczowe znaczenie dla ratowania życia. Tak szerokiej opieki medycznej nie da się łatwo zastąpić. Będziemy działać tak długo, jak będzie to możliwe, wzywając władze izraelskie do umożliwienia prowadzenia działań humanitarnych na odpowiednią skalę – podkreśla Christopher Lockyear.

Lekarze bez Granic działają na terytoriach palestyńskich od 1988 roku. W 2025 roku ich zespoły udzielały świadczeń przy co piątym łóżku szpitalnym w Strefie Gazy, pomagały przy co trzecim porodzie, przeprowadziły 913 284 konsultacje ambulatoryjne i rozprowadziły ponad 700 milionów litrów wody.

Tylko w styczniu 2026 roku organizacja przeprowadziła 83 579 konsultacji ambulatoryjnych, udzieliła pomocy w 40 646 przypadkach nagłych i leczyła 5 981 osób z urazami. Na rozszerzenie działalności w 2026 roku planowano przeznaczyć 130 mln euro, jednak realizacja tych zamierzeń stoi obecnie pod znakiem zapytania.

Lekarze bez Granic zwracają również uwagę na globalną kampanię internetową promowaną przez rząd Izraela, której celem – zdaniem organizacji – jest jej zdyskredytowanie i podważenie wiarygodności.

– Gdy międzynarodowi dziennikarze nie mają wstępu, a palestyńscy reporterzy są regularnie zabijani, ograniczanie dostępu organizacjom pozarządowym oznacza pozbawianie kolejnych świadków możliwości dokumentowania przemocy i jej skutków dla ludności cywilnej – mówi Christopher Lockyear. **AS, LBG**

Polska: Sprzeciw wobec zmian w edukacji

Ponad 200 tys. podpisów zebranych pod czterema petycjami dotyczącymi polskiej szkoły przekazano w ostatnim dniu roku szkolnego Ministerstwu Edukacji Narodowej i Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Autorzy inicjatyw sprzeciwiają się zmianom w edukacji zdrowotnej i organizacji lekcji religii, a także domagają się dymisji minister edukacji Barbary Nowackiej. Ponad 71 tys. podpisów zebrano pod petycjami dotyczącymi bezpośrednio jej odwołania.

Dwie petycje („Stop seksualizacji dzieci" i „Religia zostaje w szkole") przekazano do MEN. Pierwsza postuluje pozostawienie przedmiotu „wychowanie do życia w rodzinie", sprzeciwia się obowiązkowej edukacji zdrowotnej i podkreśla prawo rodziców do wychowywania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Druga wyraża sprzeciw wobec ograniczania lekcji religii, w tym zmniejszania liczby godzin i łączenia uczniów w grupy międzyklasowe.

Pozostałe dwie petycje („Nowacka musi odejść" i „Dymisja Nowackiej") złożono w KPRM. Ich autorzy domagają się odwołania minister edukacji, krytykując kierunek zmian w polskiej szkole. Wśród



FOT. © TOMASZ DANILUK / OI

podnoszonych zastrzeżeń wymieniają wprowadzenie edukacji zdrowotnej oraz zarzucane resortowi ograniczanie treści dotyczących polskiej historii i bohaterów narodowych.

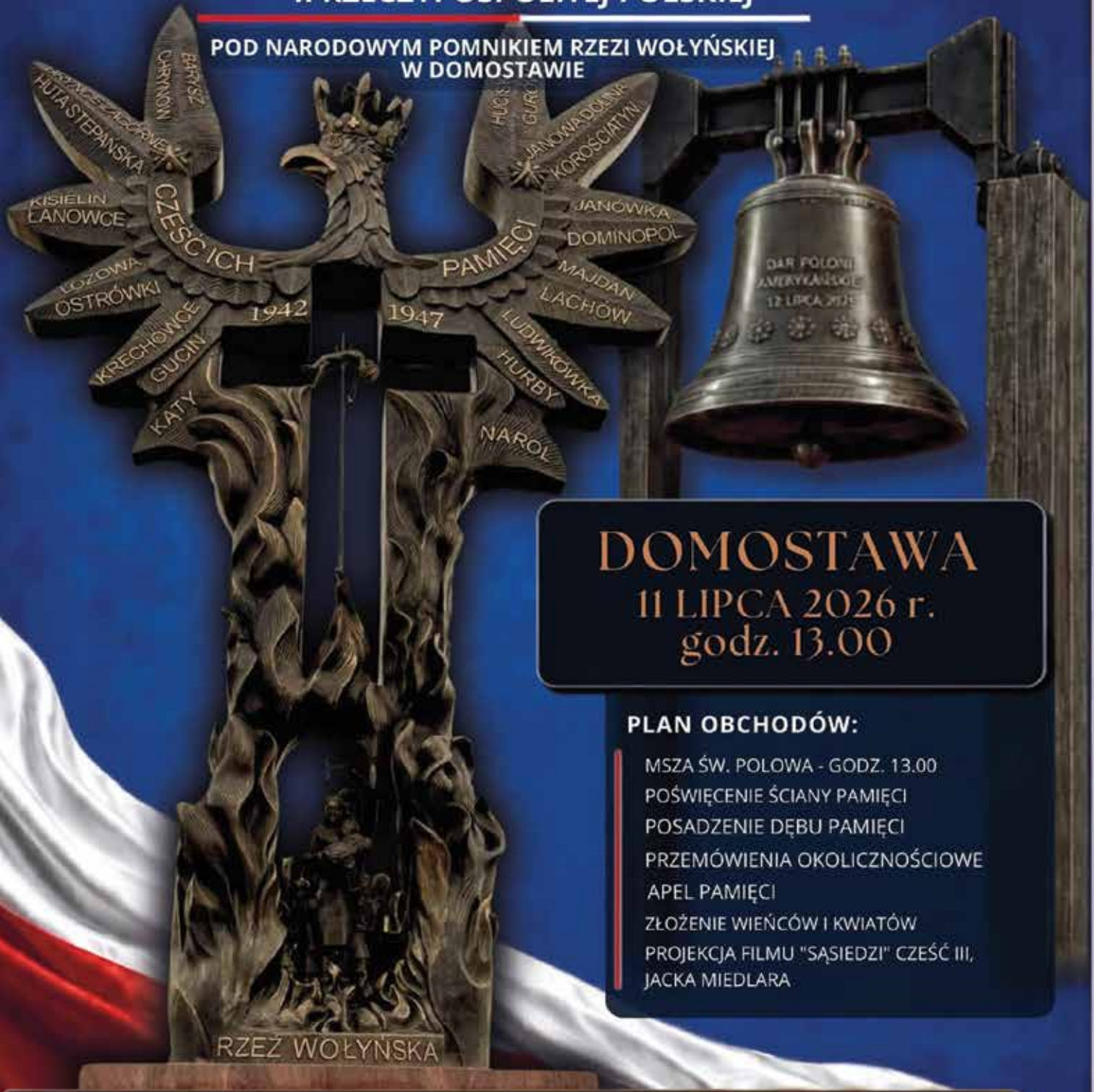
Przed złożeniem podpisów Marcin Perłowski, dyrektor Centrum Życia i Rodziny, przedstawił cele poszczególnych inicjatyw oraz argumenty ich organizatorów. Wskazał, że wspólnym mianownikiem czterech petycji jest – w ich ocenie – obrona konstytucyjnego prawa rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami oraz sprzeciw wobec kierunku zmian w polskiej edukacji. Dyrektor Perłowski zaapelował również o dymisję minister Barbary Nowackiej. Podkreślił, że zakończenie roku szkolnego powinno być zarazem końcem jej urzędowania. **OI**

OBCHODY NARODOWEGO DNIA PAMIĘCI O POLAKACH

OFIARACH LUDOBÓJSTWA
DOKONANEGO PRZEZ OUN I UPA

NA ZIEMIACH WSCHODNICH II RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

POD NARODOWYM POMNIKIEM RZEZI WOŁYŃSKIEJ W DOMOSTAWIE



DOMOSTAWA
11 LIPCA 2026 r.
godz. 13.00

PLAN OBCHODÓW:

- MSZA ŚW. POLOWA - GODZ. 13.00
- POŚWIĘCENIE ŚCIANY PAMIĘCI
- POSADZENIE DĘBU PAMIĘCI
- PRZEMÓWIENIA OKOLICZNOŚCIOWE
- APEL PAMIĘCI
- ZŁOŻENIE WIEŃCÓW I KWIATÓW
- PROJEKCJA FILMU "SĄSIEDZI" CZEŚĆ III, JACKA MIEDLARA

ORGANIZATOR:

SPOŁECZNY KOMITET BUDOWY POMNIKA „RZEŹ WOŁYNSKA" W DOMOSTAWIE

GMINA JAROCIN

PATRONAT:

NARÓD POLSKI

PATRONAT MEDIALNY:

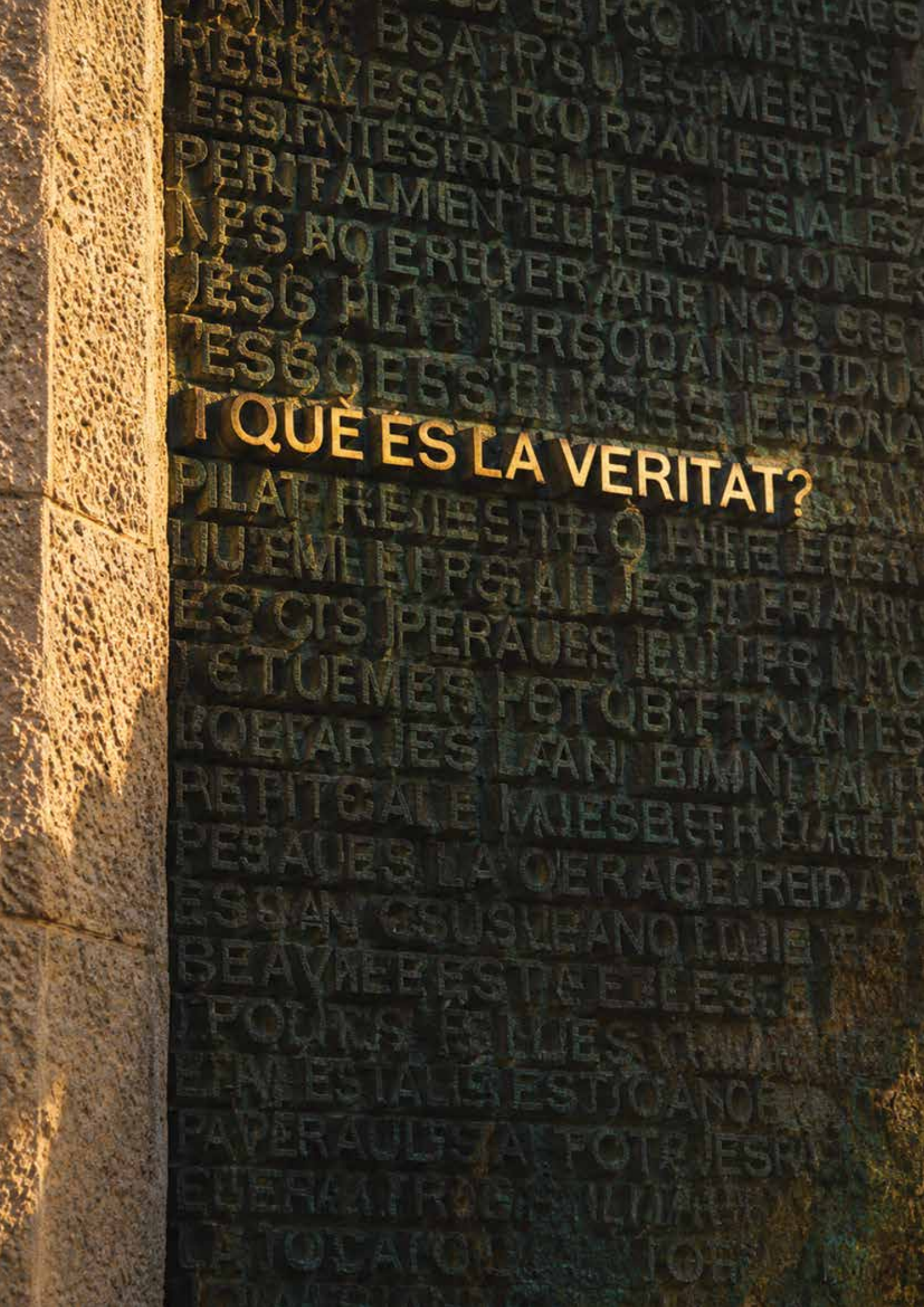
OSTOJA

mizanskie.info portal informacyjny

MAPA DOJAZDU

Google Maps

DOMOSTAWA


QUÈ ÉS LA VERITAT?